

# Kobieta *dość* doskonała



Sylwia  
**KUBRYŃSKA**



Sylwia Kubryńska

Kobieta *dość* doskonała



Copyright © Sylwia Kubryńska, 2015  
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015

Redaktor prowadząca: Magdalena Genow-Jopek  
Redakcja: Katarzyna Gwincińska  
Korekta: Alicja Krawczak  
Projekt okładki: Aleksandra Płocińska  
Projekt typografii czyny i łamanie: Stanisław Tuchołka /  
panbook.pl

Zdjęcie autorki: Bartosz Kubryński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz  
Nowacki

Wydanie elektroniczne 2015

eISBN 978-83-7976-328-3

**CZWARTA STRONA**  
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.  
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań  
tel.: 61 853-99-10  
fax: 61 853-80-75  
redakcja@czwartastrona.pl  
www.czwartastrona.pl

*The Good Wife's Guide*, amerykański poradnik dla kobiet z 1955 roku:

1. Przygotuj obiad. Zaplanuj go wcześniej, nawet poprzedniego wieczora, tak by pyszna potrawa czekała na jego przyjście. W ten sposób dajesz mu znać, że myślałaś o nim i przejmujesz się jego potrzebami.

2. Odpocznij 15 minut, byś była odświeżona na jego przyjście. Popraw makijaż, zawiąż wstążkę na włosach i wyglądaj promiennie.

3. Posprzątaj. Przed jego przyjściem ogarnij wzrokiem główną część mieszkania.

4. Przygotuj dzieci. Przeznacz kilka minut, by umyć im ręce i buzie (jeśli są małe), uczesać włosy i, jeśli to konieczne, przebrać je. To małe skarby i on chce zobaczyć je w tej roli. Na czas jego przyjścia wyeliminuj hałas zmywarki, suszarki i odkurzacza. Zachęć dzieci, by były cicho.

5. Bądź trochę bardziej radosna i trochę bardziej interesująca dla niego. Coś musi rozświetlić jego nudny dzień - to twój obowiązek.

6. Dobra żona zawsze zna swoje miejsce.

Zabawne, prawda? Dziś do powyższych obowiązków doszedł nam ośmiogodzinny dzień pracy.

Poza tym bez zmian.

## DZIEWCZYNKA

To przedszkole było w Nowej Wsi pod Kętrzynem. Nigdy nie zapomnę nazwy tej miejscowości. Nowa Wieś. Zupełnie nowa, lepsza, odremontowana, po jakichś super fajnych zmianach, albo może jeszcze całkiem młoda? Może niedawno założona? Każda nazwa wywołuje w dziecku ciekawość. We mnie też wywoływała, dopóki nie została zgaszona.

Kiedy mama odwoziła mnie autobusem, strasznie płakałam i błagałam ją, żeby mnie tam nie zaprowadzała. Mama chciała porozmawiać z paniami, zapytać, o co chodzi, dlaczego dziecko płacze i tak bardzo boi się pań? Ale wtedy one były szalenie miłe i słodkie. Gdy odchodziła, te same kobiety stawały się srogie i nieprzystępne. Krzyczały, stosowały dziwne kary.

Któregoś dnia pani ukarała mnie za coś, nie pamiętam za co. W każdym razie musiałam nieźle nawywijać, bo rozebrała mnie do naga i kazała innym dzieciom na mnie patrzeć. To trwało strasznie długo i było mi okropnie wstyd.

Wyparłam to na długie lata i udawałam, że to się nigdy nie wydarzyło, a nawet jeśli - to nic dla mnie nie znaczy.

Znaczyło.

Wyartykułowałam to dopiero jako osoba dorosła. Przypomniałam sobie bardzo dokładnie tamtą scenę. Pamiętam leżak, na którym leżałam nieruchomo podczas tak zwanego leżakowania, pamiętam dzieci, które ciekawie przyglądały się mnie - gołej. I tę srogą minę, tę oburzoną postać, która żelaznym uściskiem mnie przytrzymała, żebym z tego leżaka nie związała, żebym się nie skurczyła, nie zniknęła, nie przestała być taka widoczna, taka obnażona, taka beznadziejnie bezbronna. Żebym nie ukryła wreszcie tego, co najwstydliwsze na świecie, co tak wszystkim przeszkadza, że istnieje, co taką wywołuje sromotę.

I zrozumiałam, czemu przez całe życie śni mi się sen, że

jestem naga w miejscu publicznym i zżera mnie potwór o siedmiu miliardach par oczu.

\*\*\*

Od wieków kolejne pokolenia cieszą się przyjściem na świat potomka, dziedzica, następcy. I choć historia pokazuje, że dziedziczka tronu całkiem nieźle radzi sobie z królestwem, ludzkość uparcie wypatruje syna. Syna, nie córki.

Syn ma jaja i to jest kwintesencja szczęścia. Zawsze słyszałam, z jaką swobodą i pasją chłopcy rozprawiają o swoich narządach. Była w tym taka duma, że im szczerze zazdrościłam. Ale nie zazdrościłam im tego, co mają między nogami. Zazdrościłam swobody mówienia o tym. Gdy jeden chłopak drugiego niechcący walnął piłką w krocze, tamten wydzierał się w niebogłoso: „Moje jaja, moje jaajaaa, ała, moje jaaaaja!”. A potem, gdy już mu przeszło, opowiadał wszem i wobec, jak to dzielnie oberwał piłką. Pełen respekt. Gdy więc spadłam z górnej barierki trzepaka na dolną okraciem, zareagowałam podobnie. Zakręciło mi się w głowie z bólu, ujrzałam gwiazdy i wystękałam głośno:

- Alć, moja cipka!

Dzieciaki parsknęły śmiechem, dorośli spojrzeli po sobie z zażenowaniem. Ktoś pokazał coś na czole. Ktoś szturchnął kogoś łokciem. Zapadła cisza. Cisza oznaczająca jedyną możliwą prawdę: nie powinnam była tego mówić. Nie powinnam przyznawać się, że mam coś takiego, że to coś mnie zabolalo, że daje o sobie znak. Bo oficjalnie nie mam tam nic. Skoro nie mam jaj.

Po latach, gdy dorosłam, jakby w rekompensacie za tamten wstyd, słyszałam nieraz taki, prześladujący mnie komplement: „Ty jesteś prawdziwa baba z jajami”.

Trudno powiedzieć, czym sobie na to zasłużyłam. Obawiam się, że jednak sobie na to nie zasłużyłam. Bo gdyby faktycznie tak było, gdybym miała te „jaja”, bez zastanowienia powiedziałabym to, co analogiczne: „A ty jesteś prawdziwy facet z cipą”.

Dziewczynka nie jest dobrym dzieckiem. Nie jest dobrym

dzieckiem, bo lalce operacje zrobiła i co tu kryć, lalkę - całkiem dobrą, od ruskich sprowadzoną - kompletnie zniszczyła. Bo wieczorem fika, nie chce spać. Śpiewając fałszuje. Nie tańczy zbyt ładnie. No i płacze za często, za głośno. Bo gdy miała dwa lata, rzuciła się na podłogę i wierzgała nogami, że chce lody. Bo za resztę z zakupów kupiła balonówkę marki Donald. Bo siku nie może wytrzymać. Bo przeżyła rozwód rodziców nie tak pokornie, jak powinna. Bo się głupio zachowuje przy ludziach. Bo zgubiła kartki na mleko. Bo psa nie dopilnowała i pod samochód wpadł. Bo za mało - zawsze za mało! - pomaga przy młodszym rodzeństwie. Bo się nie stara. Bo się nie dostosowuje. Bo ze szkoły przynosi cztery plus, nie pięć.

Bo ma cipkę, a nie jaja.

\*\*\*

Dziewczynka nie jest dobrym dzieckiem, kiedy jest niegrzeczna. To chłopiec może być niegrzeczny, nie dziewczynka. Dziewczynka powinna być grzeczna, w nagrodę dostanie odznakę wzorowy uczeń. Chłopiec może być niegrzeczny, w nagrodę wyrośnie na prezesa zarządu.

Córka jest dobrym dzieckiem, gdy można się nią pochwalić. Można na rodzinnej uroczystości pokazać świadectwo z czerwonym paskiem i ciotce Jadźce na nerwach pograć.

- Mamo, czemu mnie nigdy nie chwaliłaś?
- Bzdura. Zawsze się tobą chwaliłam.

\*\*\*

Najtrudniejsze są schody. Wielkie, drewniane, rozłożyste jak drzewa. I zawsze, zawsze ich tyle! Do Babci - na trzecie piętro. Do domu - na trzecie piętro. Do ciotki Jadźki - na czwarte piętro! Wszyscy mieszkają wysoko! A każdy stopień jak góra. Ale na górze nagroda. Babka drożdżowa i strych. I gołębie. Dziadek gołębie hodował. Każdy gołąb miał imię. Króliki też ponazywał, choć z nich potem skórę ściągał. Dziadek miał też świniaka na działce. Zrobił mu zagrodę i koryto.

- Dziadku, jak się świniak nazywa?
- Świnia to świnia. Nie ma imienia.

Ja też nie miałam imienia, mojego imienia dziadek nie pamiętał. Dziadek imiona pomijał, albo przekręcał. Gdy trafiła mu się wnuczka Edytka, nazywał ją: Dydytka. Ja też wyobrażałam sobie, że się inaczej nazywam, że nie tak zwyczajnie, ale jakoś super fajnie, jak postać z baśni, że, na przykład, nazywam się Alicja. Jestem Alicja. Inna niż wszystkie dzieci.

W naszej rodzinie dzieci było pełno: wiecznie zabieganych, pogubionych, straszonych piekłem i Cyganami. Płatały się pod nogami, rosły dziko niczym winorośl pośród tej zapętlonej rzeczywistości. Przyjaźniłam się z dziećmi ciotki Jadźki: starsi nieco ode mnie Ola i Whisky. Whisky zawdzięczał przewisko mojemu ojcu, który w swojej fantazji tak się do niego zwracał. Kuzyn kochał mojego ojca miłością szczerą i bezwarunkową, tym mocniejszą, im większa była do niego niechęć jego matki. Ciotka Jadźka chyba z gruntu facetów nie lubiła. Męża wyrzuciła z domu, bo piwo wypił. Natychmiast znalazł sobie towarzystwo i postanowił pić dużo więcej, już nie tylko piwo. Pozbawiony ojca Whisky znalazł wsparcie w wujku. Niedługo się cieszył.

Tymczasem rosłam - ja, bezimienna Alicja, szarowłosa, potulna i cicha jak ta dziadkowa świnia. Nasze drogi się rozeszły. Ja poszłam do szkoły, a ona trafiła na babciny stół, by zapachem wnętrzości zdusić moją dziecięcą sympatię do zwierząt. Ponuro patrzyłam, jak wujek Franek wyciąga jelita. Jak Babcia te jelita wypełnia kartoflami. Jak kroją razem mięsivo i rzucają na patelnię.

Wnętrzości zwierzęcia mieszały się teraz z zapachem smażonego mięsa, opalanych włosów, przetrawionej wódki i tego oczekiwania na nieuchronność, którą zawsze, ale to zawsze była apokaliptyczna awantura przekarmionych tłuszczem i przepojonych wódką mężczyzn ze wschodnich zabiedzonych miasteczek czasów największego kryzysu Polski Rzeczypospolitej Ludowej.

„Jak zwykle, na stole rynek!” - mawiała Babcia. Na stole bowiem było wszystko: dzemy, ogórki, grzyby, chleb, smalec, świnia.



Wódka.

Wódka na stole jak amen w pacierzu, co wieczór odmawianym. Siusiu, paciorek i spać - mówili. Powinni mówić: wódka, siusiu, paciorek i spać. Pusta butelka pod stół. Zęby w garści. Łomot na klatce. Drewniane schody niosą hen. Niosą na strych wśród pajęczyn cienkie głosy bogobojnych dzieci.

- Boziu, Boziu, daj zdrówko tatusiowi...

- Ty się o tatusia nie martw. On się o ciebie nie martwi.

\*\*\*

*Traf, traf, Misia Bela..*

Tata Misi wracał późnym wieczorem. O tej porze Misia powinna już spać. Ale nie spała. Każda komórka jej ciała czuwała, tętniła, pulsowała. Cała była napięciem, cała była strachem. Ale najgorszy strach pojawiał się w chwili, gdy tata wchodził na schody. Szedł powoli, ciężko i głośno. Najgłośniejszym jednak slychać było jego krzyk. Wydobywający się gdzieś głęboko z trzewi, nieludzki ryk zapętlony w jeden, zdławiony wyraz: „Kuuurwa!”.

*...Misia Kasia Konfacela...*

Tata Kasi wrócił do domu, gdy Kasia miała piętnaście lat. Gdy zniknął sześć lat wcześniej, była jeszcze małym dzieckiem. Pewnie by go nie poznała, gdyby nie Ola. Tata Oli nie wrócił nigdy. Zmarł na raka wątroby w kętrzyńskiej bramie. Jolki ojciec przepadł na początku jej życia, chyba po prostu miał ciekawsze sprawy niż ojcostwo. Nawet na jej pogrzeb nie przyszedł. Z kolei tata Misi umarł na raka płuc. Jej chrzestny, jak się napił, regularnie bił się z ojcem. Swoim. Też pijanym. Spadł ze schodów.

Nie żyje.

*...Misia A, Misia B, Misia Kasia Kon-fa-ce...*

Gdy Ola rodziła synka, były przy niej wszystkie kobiety. Babcia, ciocia i przyjaciółka. Po czterdziestu godzinach urodził się maleńki, wymęczony, mizerota, sierota. Jest kopią swojego ojca. Jego ojciec widział go raz. W postaci różowej kreski na teście ciążowym.

*Raz, dwa, trzy...*

*Kasia to ja.  
A którą dziewczynką jesteś ty?*

\*\*\*

Gdy miałam siedem lat, ciotka Jadźka ofukała mnie za to, że mam chód „po tatusiu”. Powiedziała to z pełną nienawiścią pasją, bo, jak wspomniałam, nie znosiła mojego ojca. Przy okazji poinstruowała mnie, że powinnam chodzić „jak dziewczynka”.

Nie, nie chodzi o to, że coś mi pokazała. Nie zaprezentowała mi godnego stąpania, nie wywinęła przede mną trasy z wybiegu dla Top Models, nie zaproponowała przyspieszonego kursu dystynkcji. Może dlatego, że sama miała chód po swoim tatusiu? Jej tatuś miał chód bardzo charakterystyczny. Chodził od krawężnika do krawężnika.

Moja ciotka nie mogła dać mi żadnych życiowych lekcji chodzenia „jak dziewczynka”. Ale zostawiła we mnie to kłujące oczekiwanie, że tak mam się nauczyć chodzić, aby jej było chociaż odrobinę mniej źle. Bo jej zawsze było źle. A jak komuś jest źle, to musi komuś innemu spieprzyć życie. Jeśli nie całkiem, jak własnym dzieciom, to chociaż trochę - jak mnie.

Żeby jej było różniej.

Żeby miała poczucie, że nie wszyscy jesteśmy aż takimi bydlętami z małej miejsciny, że może chociaż te dzieci wypełnią jej dramatyczną pustkę, która w niej zionęła od najmłodszych lat. Żeby się z niej nieco tej pustki wylało, żeby się rozlało na innych, bo tam w środku hula zbyt boleśnie, zbyt dotkliwie uwiera to destrukcyjne uczucie bycia gorszym, kimś, kto nie chodzi jak modelka z wybiegu.

Zbyt mocno zżera ten kompleks niższości, którym każde pokolenie zaraża pokolenie następne.

Od tamtej pory więc przez całe swoje życie staram się stawiać stopy ostrożnie, do wewnątrz, skromnie i godnie, ale zabijcie mnie - tak naprawdę nie wiem jak. I nie wiem, czy jest jakaś dziewczynka na tym świecie, która by potrafiła to wyjaśnić. Wiem tylko, że jest na świecie zatrzęsienie dziewczynek, które - tak jak ja - starają się z całej siły sprostać oczekiwaniom jakiejś

sfrustrowanej ciotki. Bo ja zaczęłam się właśnie tak starać. Ja codziennie od rana pilnowałam, aby stawiać stopy inaczej, niż bym stawiała, gdybym nie pamiętała. Codziennie, od rana do wieczora. Nawet wtedy, gdy w nocy wstawałam na siku. Ciągłe sobie o tym przypominałam. Inaczej. Inaczej stawiaj stopy. Nie na zewnątrz. Nie do wewnątrz. Nie tak głośno. Nie tak stanowczo. Nie tak prędko. Nie tak natarczywie. Nie tak, nie tak, nie tak. Inaczej. Ciszej. Ostrożniej. Mniej zdecydowanie, bo przecież właściwie nie wiesz jak. A jak nie wiesz, to najlepiej, kurwa, zniknij.

Właśnie wtedy zaczęłam chorować na migrenę.

\*\*\*

Zanim się zapadłam w to piekło, tłący się w lewej skroni nieznaczny ból potajemnie rozrósł się w bestię. Obudziłam się już w jej szponach i przeżyłam pierwszą w życiu poranną śmierć.

Mam osiem lat. Nie mogę wstać, zjeść śniadania, nie mogę wyjść do szkoły, nie mogę dostać kolejnej czwórki z plusem, nie pytajcie, dlaczego nie mogę dostać piątki. Nie mogę, ale to robię, jak maszyna, raz, dwa, pulsuje głowa na sto dwa. Zakładam buty, nie mam siły robić sobie śniadania, nie mam siły robić sobie kanapek, będę głodna przez cały dzień, trudno. Ciągnę własne truchło do szkoły i układam w myślach kolejne frazy dzieła życia, książki, którą napiszę, zanim umrę na migrenę.

Ale na migrenę się nie umiera, migrena to fiu bzdziu

- dowiem się kiedyś w szpitalu, od lekarza, który westchnie i powie: „Moja żona też ma globus, ech, kobiety”.

Tymczasem wyobrażam sobie, że oprócz mojej rozkapryszonej kobiecej głowy jest gdzieś na świecie druga, a może i trzecia, a może i jest ich wiele, może nawet milion albo dwa miliony, albo jakieś dziesięć milionów głów, w których płaczą się podobne do moich genetycznie zniekształcone tętnice i ta cała choroba to nie są pańskie fupy, ale rzecz całkiem poważna. Ale na poważną chorobę są leki, działają w aptekach, w szpitalach dyżury. O poważnej chorobie się mówi,

pisze, poważne choroby się leczy.

Mnie nikt nie leczy. Mnie się wyleczyć nie da. Ja mam wrodzoną wadę wrażliwości na światło, dźwięk, zapach, mamę, tatę i ciotkę Jadźkę. Ja mam chorobę na własną niefajność, ja mam nerwy na wierzchu, ja mam na wierzchu mózg i łyżki, którymi nie potrafię odgrodzić się od wielkiego, niepojętego, pełnego grozy świata.

\*\*\*

Nie mogę iść do szkoły, w domu też sama nie zostanę. Mama chce zabrać mnie do swojej pracy, ale się ociągam, bo tam jest ten dziwny człowiek. Kierownik, którego wszyscy lubią, bo ciągle żartuje. Jest podobno bardzo śmieszny. Nie mam pojęcia, co to znaczy, na czym ta śmieszność polega, bo mnie nie śmieszy w ogóle. Ja się go boję. I mówię mamie, że się boję. Wtedy mama tłumaczy, że to absurd, w ogóle się nie boję, bo on jest przecież taki wesoły, nie ma się czego bać. Zastanawiam się nad tym, jak mogę się aż tak mylić, czemu drętwieje mi całe ciało ze strachu przed tym starym facetem, skoro mama mówi, że nie.

Nie boisz się.

Musi coś w tym być, na pewno WYDAWAŁO mi się, że się boję. Wtedy postanawiam, że w razie czego powtórzę to, co mówiła mama. Bo to musi być prawda. I faktycznie, gdy już jesteśmy w biurze, przychodzi ten kierownik i pochyla nade mną twarz skrzywioną w jakimś dziwnym, nieszczerym grymasie, myślę sobie, że nie wolno mi się bać, bo on tylko „żartuje”. A żartuje ściśle na mój temat, bo taka jestem śmieszna, nieśmiała i zastraszona, że „chyba zaraz się sfajdam”. Nie tarzam się ze śmiechu, jak inni w tym pomieszczeniu, jeszcze tego nie umiem, jeszcze się nie nauczyłam, na to jeszcze przyjdzie pora. Tymczasem przełamuję dławiący strach i podnoszę oczy, żeby rozprawić się z tym potworem, który przecież wcale nie jest straszny, nie może być straszny, skoro mama mówi, że się go nie boję, to się nie boję, więc podnoszę już (cholera!) zażawiony wzrok i dukam przez ściśnięte gardło:

- Nie boję się ciebie.

Następuje dręta cisza, śmiech pracowników zamiera, pojęcia nie mam, co się wydarzy, a wydarzy się na pewno coś złego, to już czuć w powietrzu, w powietrzu, które nagle przecina głośnie (za głośnie!):

- CO?!

Teraz już oczy opuszczam, nie chcę właściwie nic mówić, nie chcę w ogóle istnieć, ta przezroczystość nie jest taka zła, ja w tę przezroczystość bym chciała się zapaść, ale niestety, to niemożliwe, bo wciąż jestem, wciąż moje ciało na tym biurowym fotelu się kuli.

- Co powiedziałaś?!

- Nie... - zaczynam, ale daleko mi do końca zdania, koniec zdania jest gdzieś na innym archipelagu, za przepaścią, w piekle. A ja do tego piekła muszę zstąpić, bo ten potwór nade mną wisi i rozkazuje powtórzyć GŁOŚNO mój własny wyrok.

- Nie... nie boję się... ciebie.

Świecie zaczarowany, czemuś wtedy nie prysł w niebyt?! Czemuś się nie stracił, nie zniknął? Czemu klątwa, która mnie naznaczyła od pierwszych dni, klątwa lejących się po policzkach łez - nie przepadła? Bo ta klątwa nie przepada nigdy. A ja dalej muszę trwać. Nawet wtedy, gdy z żartującego kierownika, którego krzywą twarz widzę tylko ja, bo przecież całe biuro się skręca ze śmiechu z jego żartów, a sekretarki piszczą, gdy on im strzela ze staników, no więc z tego wesołego dowcipnisia wyłazi nagle gniewny typ, który już w ogóle nie żartuje, tylko ściąga brwi i podnosi głos:

- Jak ty się do mnie odzywasz, smarkulo?!

Lecą łzy po policzkach, nic już ich nie zatrzyma. A mama strofuje. Tak nie można. Nie można tak. Kiedy ktoś żartuje, trzeba się śmiać.

\*\*\*

Sporo uwagi poświęca się wyglądowi dziewczynek. Niewielu się trzęsie nad kwestią, czy chłopiec jest wystarczająco śliczny. Samo bycie chłopcem jest już taką satysfakcją, że na temat jego wyglądu można właściwie tylko pisać. Z dziewczynką jest inaczej, od dziewczynki WYMAGA się, żeby była śliczna.

Dobrze, żeby miała genetycznie piękne rysy, włosy i oczy. Włoski zaplątane w fikuśne warkocze mają cieszyć otoczenie. Mają być źródłem radości rodziców, ciotek, babek i sąsiadek. Jeśli nie ma co zaplątywać na tej małej głowie, prędzej czy później rzecz zostanie zauważona i odnotowana. W moim przypadku komentarz dotyczący mojego wyglądu został zawarty w krótkich, ale jakże wymownych słowach: „Włosy trzy na krzyż, popielate. Oczy niebieskie”.

I konsekwentnie obcinano mi te nieciekawe włosy na krótko, wierząc niezbitcie, że w ten sposób się wzmacnią, zgęstnieją, zrobią się bujne niczym podcinany regularnie trawnik. Tym sposobem, do Pierwszej Komunii Świętej przystąpiłam we fryzurze na chłopaka.

Nieco później, w wieku względnej niezależności zapuściłam włosy i z niezłomną nadzieją wywoływaną wpatrywaniem się w zdjęcia modelek na kolejnych pudełkach farb do włosów, których paleta rozciągała się od odcienia wścieklej miedzi, przez cyklamen, mahoń, heban, złoto kanionu, gorzką czekoladę, piasek Sahary, lodowy blond, platynę i, cokolwiek to znaczyło, sen Szeherazady - usiłowałam zmienić kolor włosów. Nigdy, przenigdy obiecany kolor na pudełku nie spełnił moich oczekiwań, nigdy żaden proces farbowania nie dokonał cudu przemiany trzech popielatych włosów w burzę filmowej fryzury, nigdy nie spełnił się żaden sen Szeherazady, nigdy nawet w ułamku procenta nie zbliżyłam się urodą do modelek z pudełka. Ale też nigdy żadne fiasko nie zniechęciło mnie do podejmowania dalszych prób metamorfozy. Owszem, po czterdziestominutowym tkwieniu w wyobrażeniach o szokującym efekcie, zazwyczaj gnałam do najbliższego czynnego marketu po kolejne pudełko, z kolejną piękną o włosach z sennych marzeń, z baśni tysiąca i jednej nocy, o możliwie najbardziej odmiennym odcieniu niż ten, który aktualnie miałam na głowie.

Co ciekawe, w ogóle nie zrobił na mnie wrażenia wspomniany niebieski kolor oczu. Niebieski kolor oczu przepadł, zaplątał się w trzech włosach, zgasł, pogrzebał się w popiele. Matka mówiła

mi wprowadzie dla pocieszenia wierszyk, że oczy niebieskie to życie królewskie, ale jakaś część mojej - mimo że rozbrykanej - wyobraźni poczuła jednak, że taka interpretacja rzeczywistości jest już zbyt naciągana. Że nawet ja, która przecież żyłam w konsekwentnym oderwaniu od faktów, muszę niestety przyznać, że z życiem królewskim nie mam absolutnie nic wspólnego. I jedyne, co mogę w takiej sytuacji zrobić, to owo pocieszające motto o życiu królewskim najzwyczajniej na świecie zlekceważyć. I zająć się poważniejszymi sprawami. Mianowicie przemianą trzech popielatych włosów we włosów ognistą burzę.

Trwała. Pierwszą zrobiłam już w wieku szesnastu lat, bo tylko to mogło uratować mnie od dramatycznej prawdy. Dość wcześnie więc poznałam prawdę o stokroć bardziej dramatyczną, prawdę o połamanych od kwasu włosach tuż przy samej skórze, rozdwojonych, roztrojonych, rozczworzonych końcówkach, o włosach ciągnących się jak guma, o kruszących się tych włosów strzępach.

Ale to nic. To nic, bo kiedy po raz pierwszy byłam w Niemczech, zobaczyłam w telewizji Claudię Schiffer i jej L'Oréal. I też chciałabym być tego warta. Uciułałam więc na taki sam szampon, co ma Claudia, i pomknęłam do sklepu. Szamponów w sklepie na półce było strasznie dużo, były szampony do włosów suchych, zmęczonych, cienkich, łamliwych, takich, śmakich, ale nie było ani jednego szamponu do trzech włosów na krzyż. Dlaczego nie wyszłam? Dlaczego nie rozumiałam wtedy, że ta cała operacja na mojej głowie, ten bezlitosny zabieg na otwartym mózgu nie ma żadnego sensu? Bo moja matka była piękną kobietą, włosy miała gęste, kasztanowe, falujące. A ja miałam trzy na krzyż. Popielate. To jak ja miałam cokolwiek zrozumieć? Jak mogłam wyjść ze sklepu bez szamponu Claudii Schiffer? Bez iluzji, bez otarcia się o jej boskość, bez mentalnego przekonania, że mam z nią coś wspólnego? Jak mogłam przestać katować się farbami i trwała? Jak mogłam nie stosować od najmłodszych lat najróżniejszych odżywek? Jak mogłam nie eksperymentować z surowymi żółtkami,

octem, pokrzywą, piołunem, henną, korą dębu, borowiną, cukrem, oliwą, cytryną, diabli wiedzą czym jeszcze?

Nie mogłam.

Nie mogłam, bo nieosiągalny efekt zawsze gdzieś tam majaczył jak sen Szeherazady, która w gruncie rzeczy przecież nigdy nie zasnęła. Nie zasnęła, bo opowiadała baśnie z pudełek od farb o tym, że za chwilę, za czterdzieści minut stanę się piękną o bujnych włosach o zapierającym dech w piersiach kolorze. I wszystko się ułoży. Wszystko będzie inaczej. Bo to właśnie o to chodzi. Ta zmiana, ten paraliżujący moment, w którym wybija czterdziesta minuta oczekiwania z cuchnącą amoniakiem mazią na głowie, on ma wszystko odmienić. On jest tą chwilą czarodziejską, godziną pasowej róży. Od tego momentu życie zamienia się w film. A ja zamieniam się w gwiazdę filmową. I nie mam właściwie już żadnych problemów. Matka musi przyznać, że sorry, ale tamto o trzech popielatych włosach to już nieaktualne, nieprawda, pomyłka. Ojciec musi zrobić minę pełną zdumionego uznania i WRÓCIĆ z odwiecznej nieobecności. Nikt nie może na mnie podnieść głosu, bo na takie piękności, to się, kurwa, nie krzyczy. Nikt nie może mnie uderzyć, nikt nie może mnie obrazić, nikt nie może się ze mnie śmiać. Koleżanki z klasy muszą mnie polubić. Chłopcy muszą na moi punkcie oszaleć. Matematyka musi dać się zrozumieć. Praca musi się znaleźć. Książka musi się wydać. Podatek musi się zwrócić. Wory spod niebieskich oczu muszą zniknąć. Słońce musi zaświecić.

Zaświecić? Toż to ma być Kalifornia! Raj wiekuisty, plaża i błękit. A na plaży romans, ten brunet (Hanzi? Jarek? Krzysztof?), który od owego magicznego momentu przemiany trzech włosów na krzyż w gąszcz romantycznych loków zakocha się na zabój i już zawsze, zawsze będzie mnie kochał. Bo przecież tylko te włosy dzielą go od płonącego uczucia, gdyby nie te włosy, dawno by pojawiła się miłość. Ale na razie miłości nie ma, na razie ten chłopak się nie zakochał, tylko tak, od niechcienia, między wierszami, między jednym papierosem a drugim, po trzecim browarze, lekko zawiany i niespójny, spojrzął i wypalił: „Ładne masz oczy. Zielone”.



\*\*\*

W moim dzieciństwie zawsze ktoś śpiewał. Ja sama śpiewałam, głównie do słuchawki prysznicowej. Dziadek mój śpiewał *Ulanów* przy wódce. Matka szła przez życie z piosenką: *Wyszłam za mąż, zaraz wracam*, a ojciec z utworem *Nie wierz nigdy kobiecie*. Wujek Janek każdej soboty dawał patriotyczny popis intonując *W Polskę idziemy*, będąc jednak do śmierci wiernym mieszkańcem Kętrzyna. Każdy wiedział, że ciotka Jadźka ma ostrą szajbę, dlatego pierwotnie ulubiony przebój *Wariatka tańczy* zamieniła wkrótce na *Jesteś szalona*.

Whisky śpiewał od urodzenia, a śpiewał doprawdy niezwykle, przy akompaniamencie rakiety od badmintona, w dodatku po angielsku. Rakietę do badmintona służyła za gitarę. Whisky, skacząc na tapczanie pod sufit, wygrywał jemu tylko wiadome akordy i darł się wniebogłosy słowami: „Endży dźlendży, endży dźlendży, eeeeendży dźlendżyyyyy!!!”. Twierdził, że to czysta angielszczyzna, ściśle tekst, którego nie rozumiemy, do muzyki rockowej, której nie rozumiemy. Żeby go uciszyć, należało samemu zacząć śpiewać, najlepiej utwór o wielkiej wymowie, przekazany przez Babcie, która dobrze znała życia realia, a zaczął się on tak:

*Cztery mile za Warszawą wydał ojciec córkę za mąż  
Wydał młodą córkę za Henryka  
Największego rozbójnika.*

Wówczas Whisky gwałtownie przerywał koncert i z impetem rzucał swoją czarodziejską gitarę w wykonawcę. Problem polegał na tym, że wykonawca, a raczej wykonawczyni utworu (ja albo Ola) zniknęła za oszklonymi drzwiami pokoju prędzej niż rakietę zdołała ją osiągnąć. Zabłąkany instrument Whisky'ego trafiał zazwyczaj nie w piosenkarce, nie we framugę, nie w róg szafy i nie w sufit, ale - niestety - w oszklone drzwi. Ściśle: w szkło.

Szyba w drzwiach wylatywała wraz z rakietą do badmintona systematycznie, średnio raz w miesiącu. Przynajmniej raz w miesiącu należało więc powiadomić o tym ciotkę Jadźkę,

która z tego powodu wpadała w furję. To znaczy - wpadałaby, gdyby mogła sobie na to pozwolić. Nasze głowy w tym, żeby nie mogła. Koncerty odbywały się zawsze pod jej nieobecność. Ciotka Jadźka w tym czasie przebywała w pracy. A pracowała w jedynym sklepie tamtych czasów, gdzie ekspedientka była miła dla klientów. W Peweksie.

Natychmiast po stłuczeniu szyby udawaliśmy się więc do Peweksu, aby poinformować ją o stracie. Ciotka była mistrzynią pozorów. Widząc nas z daleka, baczna na przyglądający się jej personel, klientelę i zwierzchnictwo, przyoblekała się w nieskończoną dobroć i serdeczność. Nieskończona dobroć i serdeczność zawsze eleganckiej i imponująco zadbanej ciotki Jadźki pozwoliły jej zdobyć uznanie całego środowiska małego miasteczka na wschodzie Polski. Przynajmniej tak jej się wydawało. Furia, w którą wpadała natychmiast po zamknięciu drzwi mieszkania w bloku, niosła się bowiem po piętrach z niezwykłą siłą i nie było tajemnicą, jaki w ciotce Jadźce drzemie demon.

Tymczasem my szliśmy jak na szafot, wiedząc jednocześnie o niechybnym ułaskawieniu, bo przecież nie ma takiej siły na świecie, by ciotka usłyszawszy nowinę wpadła w furję. Nie w tym miejscu i nie o tej porze. Nie w pracy. Nie w Peweksie. Nie w tym mieście.

Gdy więc podchodziliśmy do lady, Whisky nachylał się i z rozbrajającą skruczą szeptał: „Mama, szyba poszła”. Wtedy ona w niegasnącej aurze, z tym anielskim uśmiechem na ustach odpowiadała przez zęby: „Spierdalajcie stąd, bo was pozabijam”.

Dla wszystkich było jasne, że do końca pracy było wystarczająco dużo czasu, aby ta informacja rozłożyła się w głowie ciotki Jadźki niczym miękki kot. Nie ma bowiem na świecie kobiety (nawet jeśli to ciotka Jadźka), która potrafiłaby zachować temperaturę wściekłości dłużej niż przez godzinę. A my tu mówimy o kilku godzinach! W efekcie ciotka wracała z pracy w towarzystwie szklarza, który ją w drodze zabawiał komplementami, a nas ratował od zguby.

Piękne jest życie, w którym mieszka piosenka. Smutne jest życie w ciszy. Ludzie powinni śpiewać. Nucić pod parasolem, w samochodzie. Pamiętam z czasów studenckich uroczą dziewczynę, która śpiewała w tramwaju. Cyganów z akordeonami też pamiętam! Śpiewające dzieci na podwórkach pamiętam. Śpiew jest jak zapach mojego dzieciństwa. Zapach piezzonego chleba, zapach słodki i drożdży. Zapach wanilii i buraków cukrowych. Gdzie się to wszystko podziało? Znikło razem z moimi rodzinnymi śpiewakami, z nutami zwykłego, niezwykłego życia. Przepadło na rzecz YouTube i Spotify.

Tylko mi jeszcze została ta Babcia, co wciąż mieszka w małym mieście na wschodzie Polski, gdzie robiono piernik kętrzyński i pachniało na ulicy browarem. Babcia, której śpiewu nic nie uciszy i która na zawsze zaszczerpiła w mojej duszy miłość do domowej piosenki. Babcia, która od zawsze śpiewała słowa dobitne, mocne jak wytwarzany w kętrzyńskich piwnicach samogon. I jak samogon gaszące każdy, także i ten dzisiejszy, smutek:

*Nie płacz dziewczyno i nie lej łez, bo każdy chłop jest wredny jak pies!*

\*\*\*

I owszem, włączam sobie YouTube, żeby posłuchać fajnej piosenki, ale zamiast włączyć fajną piosenkę, to klikam wywiad z jakąś zajebistą osobą, która zrobiła w życiu mnóstwo wspaniałych rzeczy, nagrała płytę, zna się na filmach, super rysuje i oprócz tego jeszcze oczywiście napisała książkę. Ta książka, szczyt moich marzeń od najmłodszych lat, cel życia ukuty w niezliczonych wędrówkach do szkoły i z powrotem, z bólem głowy i bez, tysięczne ćwiczenia fraz na każdym kroku, milionowe stronicie połknięte w zachwycie: Jezu, może kiedyś ja też będę pisać!

Ta książka, najważniejsze osiągnięcie, *opus magnum...* Tymczasem dla niej, dla celebrytki z YouTube to tylko kawałek, część, preludium zajebistości.

Cała reszta jest treścią gęstą od mięsa zupy, takiej, w której

łyżka stoi, takiej, którą robiła Babcia i cała była w przeprosinach, że zupa taka „postna”. Tak właśnie ja teraz widzę kolejną piękną, zgrabną, zdolną i pewną siebie twórczynię najtreściwszej zupy świata i słyszę w wywiadzie tę cholerną, tak dobrze znaną kokieterię, że oto proszę państwa, ona w ogóle nic takiego super fajnego w życiu JESZCZE nie zrobiła. Że to dopiero początek.

Ona jeszcze śpiewa, tańczy i recytuje, w ogóle nigdy nikomu nie zazdrości, jest szalenie wyrozumiała, poukładana, wstrząsająco ze sobą pogodzona i nie ma żadnych kompleksów. No faktycznie, też bym była pogodzona z taką super sobą, też bym była bez kompleksów, gdybym tylko miała jedną dziesiątą tej fajności, jedną setną tego talentu i jedną tysięczną tej urody.

I zamiast z przyjemnością słuchać piosenki, siedzę przed komputerem wściekła.

I tylko ciekawa jestem bardzo, czy ona wie, że to jej wyznanie jest skierowane dokładnie do mnie, a raczej dokładnie przeciwko mnie, dokładnie po to, żeby mi dokopać, aby mnie zgębić, zetrzeć mnie w proch, bo skoro ona nic takiego JESZCZE nie zrobiła, to co niby zrobiłam ja?!

Ja miałam piątki od góry do dołu, same piątki, a jak tylko dostałam czwórkę, matka pytała, co dostała Ela Kozior. Ela dostała piątkę, bo gdyby wróciła z czwórką, to by dostała wpierdol od swojej matki. A ja tylko słyszałam to, niby niewinne, pytanie: „A co dostała Ela Kozior?”. Tak mi się to pytanie wryło w mózg, że choć już od dawna nie zadaje mi go moja matka, w kółko zadają je sobie sama.

Bo zawsze jest gdzieś jakaś Ela Kozior. Ktoś, kto ma same piątki, jest celebrytą z YouTube, wszystko super, pod linijkę, włosy przyczesane, kanapki do szkoły zapakowane w kolorowy papier, w piórniku porządek, pachnące chińskie gumki i tornister z odbłaskami. I dostaje SAME piątki. Bez kompromisów. Bez potknięć. Bez gorszych dni. Dlatego teraz, gdy cokolwiek osiągnę, zamiast odetchnąć i kupić sobie szampana, szaleję z niepokojem. Bo przecież zaraz się okaże, że napisałam stek bzdur, w odróżnieniu od kogoś tam, kto ma pachnące gumki w piórniku i więcej lajków.

\*\*\*

Pierwszy i jedyny prezent, jaki dostałam od świętego Mikołaja, to była książka. *Lokomotywa* Tuwima. Klasyka. Miałam wtedy osiem lat i nieustanne zdumienie na twarzy. Zdziwiło mnie na przykład, gdy rok wcześniej banda dzieciaków w szkole napadła mnie o poranku i, pytając o jakiś upominek do buta, wybuchała raz po raz przechwałkami:

- Ja dostałem pistolet!
- A ja piłkę!
- A ja to!
- A ja tamto!
- A ja siamto.

Ja nie dostałam nic, nie wiedziałam nawet, że powinnam coś dostać, więc zgodnie z ukształtowaną już, nieco pokrętną naturą wymyśliłam na poczekaniu historię niebanalną, mianowicie taką, że owszem, dostałam do buta domek z lalkami, które się same ruszają. I mówią!

Pamiętać należy, rzecz rozgrywa się w czasach szarej komuny, bez Lego Technic, bez Transformersów i smartfonów. Wiadomo, szok.

Dziatwa długo mnie potem prześladowała, abym zaprosiła, domek z zaczarowanymi lalkami pokazała i pozwoliła się pobawić. Czyniono zakłady, wyścigi w przekupstwie i podlizywaniu. Ja tymczasem porażkę w sukces przekutą zmełam, lzy otarłam, po czym z wyrzutem poinformowałam ojca o grudniowej tradycji wkładania prezentów do dziecięcych butów.

Do dziś nie wiem, czy tradycja mikołajków w kręgach zakłętego wschodu nie istniała? Czy rodzice, zafrapowani „być albo nie być” swojego związku, najzwyczajniej odłożyli sprawy na potem (aż dorosnę? aż umrę?)? Grunt, że ojciec przejęty niedotrzymaniem mikołajowego zobowiązania pomknął do księgarni, kupił *Lokomotywę* i wrzucając ją do rozczłapanego kozaka, skleił na chwilę dziurę w moim sercu.

Na chwilę. Sprawa bowiem tak się skomplikowała, że im dłużej o tym myślałam, tym bardziej czułam, że jestem w sytuacji bez wyjścia. Bo jak mam na pytanie: „Co TERAZ dostałaś do buta?!” odpowiedzieć: „*Lokomotywę*”?

Ze co? Książkę z wierszami? Tuwima? Ludzie! Skoro rok wcześniej dostałam domek z żywymi lalkami, to dziś co? Książkę? O, nie. Dziś muszę dostać jakąś niepojętą rzecz, ósmy cud świata, pierścień Arabeli! A co może być odpowiednikiem dzina z butelki w to akurat święto, świętego Mikołaja?

Mikołaj!

Po jaką cholereę mam wymyślać prezenty, skoro mogę otrzymać ich źródło? Po co mi jedynie namiastka szczęścia, rzecz, gadżet? Ja nie chcę produktu, ja chcę fabrykę.

I nazajutrz, z książką pod pachą, ze stoickim spokojem oznajmiłam zdumionej gawiedzi, że w prezencie otrzymałam Mikołaja. I chrzanie, czy jest szósty, czy dwunasty, grudzień czy sierpień, mnie Mikołaj będzie dawał prezenty bez przerwy. Dostanę, co tylko chcę. Co tylko wymyślę. Właśnie wymyśliłam sobie książkę. *Lokomotywę* Tuwima. Zobaczcie, i mam! Słabo?

Słabo. Bo choć zyskałam swojego wyimaginowanego Mikołaja, straciłam ojca. Chwilę później, po kolejnej krwawej awanturze z matką, wyszedł z domu, wsiadł w pociąg i wyjechał do swojej rodziny, do Niemiec. Choć w swojej dziecięcej naiwności byłam przekonana, że to rozłąka chwilowa, ojciec przepadł na wiele lat. A matka w milczącej furii spakowała walizki i wyruszyliśmy do Olszyna, żegnając na zawsze to „miasto emerytów i degeneratów” - jak je określiła. I pewnie bym szeszła z tęsknoty za Babcią i ojcem w tej nowej rzeczywistości, gdyby nie Ola i Whisky, którym odległość stu kilometrów zupełnie nie przeszkadzała, by towarzyszyć mi w życiu. To były czasy wielkiej samodzielności dzieci i nikt się nie dziwił, gdy same podróżowały pociągiem. Tak więc podróżowaliśmy do siebie nieustannie.

A Mikołaj? Mikołaj do dziś ze mną mieszka.

Ale o tym później.

\*\*\*

Od dziecka chciałam mieć swój pokój. Siedziałam całymi dniami na strychu nowego domu w starej olsztyńskiej kamienicy, urządzałam sobie kąciki za kanapą, chowałam się za parawanem. Różnych pomysłów się imałam jak odciąć się od ludzkości, aż wreszcie postanowiłam przelać krew.

Był mroźny dzień, odwieczny jubel dorosłych, pełno ludzi w chacie, a wśród nich dwoje dzieci: ja i Whisky. Siedzieliśmy tego dnia pod stołem i spijaliśmy wino z kieliszków, gdy nagle (pod wpływem wina?) wpadłam na pewien pomysł. Pomysł był karkołomny, a jego wdrożenie w czasach, kiedy gwizdało się na dziecięcą perswazję, jeszcze bardziej karkołomne. Niemniej uwierzyłam w sukces i przekulałam go w czyn. Przedpokój w naszym mieszkaniu był niezwykle obszerny i długi. Uznałam, że tak długi i obszerny przedpokój to pomyłka. Dlatego należy z tego przedpokoju wydzielić część i przerobić ją na kuchnię. Z dotychczasowej kuchni zaś - uwaga! - trzeba zrobić mój pokój.

Wiązało się to z rozkuciem hydraulicznych łączności, a także przeinstalowaniem całego skomplikowanego gazowego systemu. Wiązało się to także z rozbiciem i zamurowaniem paru ścian. Jednak stało się. Po upływie kilku miesięcy zdobyłam swój kąt. Dziś myślę, że tamten sukces wdrożenia w życie pomysłu dziecka zdeterminował wszystkie moje późniejsze dążenia. Od tamtej pory uwierzyłam w sprawczość swojego uporu i nie uznawałam porażki. Wszelkie niepowodzenia zaczęłam traktować jako odwleczenie w czasie nieuchronnego sukcesu, który jednak nigdy nie nadszedł.

Ale wróćmy do mojego pokoju. Bo już jest. Na ścianach blade tapety, pod jedną ścianą stoi kanapa, naprzeciwko piec akumulacyjny (w całym mieszkaniu były piece na węgiel, a kuchnia starym zwyczajem nie była ogrzewana), dalej przy drzwiach drewniany regał i to chyba koniec atrakcji. Nie mówcie, że to mało! Nie mówcie, że skromnie! Ja tam nic skromnego nie widziałam. Dla mnie to był przepych! Wszechświat. Absolut szczęścia. Raj razem z piekłem. Czemu z piekłem?

Otóż wraz z nastaniem nieokiełznanej niezależności wybuchł

okres dojrzewania, a z nim bunt. Jasne ściany? Sorry. Ja chce mieć ściany czarne! A przynajmniej graffiti. Zdobyłam więc farbę w sprayu i wspólnie z Olą i Whiskym zamazaliśmy tapetę apokaliptycznymi hasłami. Jakbym wiedziała, co w tym pokoju będzie się za chwilę rozgrywać. Jakbym to czuła i wszystkim, którzy próg tego piekła przekroczą, rezolutnie dawała znak.

Najpierw był Marek. Przyszedł z gitarą. Usiadł na kanapie i zaczął grać serenady o miłości. A potem dał mi narysowany ołówkiem mój portret. Whisky udusił się ze śmiechu pod ścianą, a ja patrzyłam nieruchomo w martwy punkt, licząc jak zwykle na to, że unikanie wzrokiem Whisky'ego uratuje mnie przed histerycznym dygotem wesołości. On mnie rozśmieszał, a ja zamieniałam się w kamień, pod którym wrzała lava histerycznego śmiechu. Milimetr, jedno drgnienie powietrza dzieliło mnie od parsknięcia. Niestety, tym razem drgnienie nastąpiło i chłopak spłonął w bezlitosnym ogniu szyderstwa.

„Whisky, nigdy nie znajdę przez ciebie chłopaka!” - mówiłam z wyrzutem. Każdy bowiem delikwent, który wchodził do mojego pokoju, skazany był na bolesną zagładę. Dopóki spotykałam się z nim w mieście – OK.

Ale dzień wizyty był dniem apokalipsy. Whisky wiedział dokładnie, o której mam randkę i zjawiał się jak duch. Był gorszy od najsurowszych rodziców, gorszy od utyskujących dziadków. Gorszy nawet od Oli, której każdego mojego chłopaka „było żal”. Przejść żywym przez weryfikację Whisky'ego graniczyło z niemożliwością. Za każdym razem, gdy przychodził adorator, zamknięci wśród buntowniczych ścian wspólnie dokonywaliśmy egzekucji.

Mój pokój stał się pokojem zerwań. W nim opadał cały czar, tłąca się fascynacja, pierwsza sympatia. Coś kazało mi bronić niedawno zdobytego terytorium i wyrzucałam wszystkich na pysk. A potem klątwa wydarła się z przeklętych murów, zaczęła działać poza pokojem, wymknęła się spod kontroli. Pamiętam Kangura. Poważna sprawa. Facet grał na perkusji i śpiewał w zespole licealnym. W rockowym zespole! Dziewczyny mdlały na jego widok. Ja też byłam gotowa mdleć. Umówiłam się z nim na randkę. To była już druga randka w moim życiu.



Pierwsza była taką klapą, że z autobusu nawet nie wyszłam. Obejrzałam delikwenta dokładnie zza szyby, w duchu usłyszałam miażdżący rechot Whisky'ego i pojechałam dalej.

Wracając do mojej randki. Idę pod ratusz z duszą na ramieniu. Będzie miał te głupie spodnie z gumkami u kostek? Boże! Założy ten sweter w kolorze budyniu? Umrę. Włosy będzie miał ścięte? Matko święta, tylko nie to! Nienawidzę krótkich włosów. Whisky nigdy nie nosił krótkich włosów. Mój ojciec, z tego, co pamiętam, nigdy nie nosił krótkich włosów. Krótkich włosów się po prostu nie nosi.

Dobra, zbliżam się, patrzę. Co to?! BERET?! Jak ja wytłumaczę Whisky'emu i coś takiego? Czy on oszalał? Matka mu kazała? Wariat. Niech zdejmie. Przecież nie jest zimno. Powiem, żeby zdjął. Nie powiem. Pod beretem będzie miał włosy uklepane. Ja tego nie przeżyję. Zwijam się stąd. Ratunku!

I już mnie nie ma. Już nas nie ma.

Klątwa działała długo. I zawsze tak samo. Przychodził absztyfikant, przynosił kwiaty, które zamiast w moich dłoniach, lądowały na jego trumnie. Aż pewnego dnia podczas codziennego, wielogodzinnego pierdaczania o dupie Maryni, między ukrywanym przed matką papierosem a łykiem skrywanego przed matką piwa, Whisky nagle wypalił:

- Mam dla ciebie chłopaka!

Siłę rażenia słów starszego brata ciotecznego czuję do dziś. Do dziś mam prąd na plecach na samo ich wspomnienie. Pamiętam dokładnie wszystkie okoliczności tamtej chwili. Wielkie, jasne okno, kwitnące kasztany za nim, gruchające gołębie. Róż na ścianach, czarne graffiti i *Psycho Killer* z magnetofonu kasetowego.

To była moja pierwsza miłość. Pierwsza miłość na zabój. Huragan wewnętrzny, totalny kataklizm. Nie wiedziałam nic o tym „chłopaku”, a już go pokochałam!

Już oszalałam na jego punkcie i zawisłam w próżni oczekiwania. Wszystko, te kwitnące kasztany, te gołębie na drzewach i muzyka Talking Heads, wszystko stało się moją

rozdygotaną tęsknotą.

- Kto to jest?

- Hanzi.

Kimkolwiek był Hanzi, umarłam dla niego. Mógł mieć czarcie kopyta i rogi na głowie, to nie miało znaczenia. Ale nie miał ani kopyt, ani rogów na głowie. Był całkiem ładnym chłopcem z romskim rodowodem. Tylko że wtedy nikt tak nie mówił, wszyscy mówili raczej „Cygan”. Razem z Hanzim. Hanzi śmiał się z tego głośno, bo Hanzi w ogóle lubił się śmiać. Poza tym uwielbiał pływać i tańczyć. To ostatnie szło mu dość niesamowicie, wygrywał prestiżowe konkursy tańca towarzyskiego w warmińskich turniejach i zdobywał nagrody. A gdy spotkałam go po raz pierwszy, zupełnym „przypadkiem” aranżowanym przez Whisky’ego, rzucił mimochodem, że jutro jest turniej, więc jeśli chcę popatrzeć, to mogę wpaść.

O nieskończona liczbo zrzucanych i nakładanych na przemian kiecek! Losie przekłety niedowartościowanej nastolatki, zlituj się nad milionem dorastających kobiet! Te ołowiane minuty wpatrywania się w lustro, ta niema bezradność wobec milczącej tafli!

Turkusowa czy czerwona, czerwona czy turkusowa?!

Czerwona czy turkusowa, pytam!?

Turkusowa czy czerwona, kurwa mać?!

Idę na śmierć. Idę na ścięcie. Kto na ścięcie ubiera się w sukienkę? Kto na ścięcie zakłada turkusy? Mam tylko jedno wyjście: biały kaftan. Nie idę, pieprzę. Zostaję w pokoju zagłady, w swojej rzeźni. Jak się nazywał ten chłopak od ołówkowych portretów? Jak miał na imię ten od serenad? Może zadzwonię i spytam: „Hej, Marek, turkusowa czy czerwona?!”.  
Nie, przecież Marek nie żyje. Na jego trumnie złożyłam ołówkowy portret.

W końcu wychodzę w czerwonej. Zlewam się z tłumem, patrzę z daleka na wyszywane złotem kiecki tancerek i chowam za widzów swoją zgrzebną kreację. To nie czerwien, to cegła! Chyba mnie porąbało, żeby założyć ten łań! Jak ja wyglądam,

mój Boże! Powietrze drży od rumby, Hanzi w diamentowych atlasach. Nie patrzy na mnie, nie widzi, całe szczęście. Miłość we mnie ryczy, miłość mnie zżera do omdlenia. Ale przecież nie mogę się tak pokazać! Na turnieju tańca, gdzie błyszczy od klejnotów, ja w tym ceglany przyodziewku? Odwracam się, uciekam na zewnątrz. Cała się trzęsę, trzęsienie znoszę papierosem. Wiem, jestem jeszcze za młoda na papierosy, ale co mi teraz będziecie prawić morały! Jestem na dnie piekła, na dnie piekła nikt nie jest za młody na papierosy!

Nagle ktoś mnie łapie za ramię. Hanzi ma jeszcze kropelki potu na czole i cieszy się jak dziecko. On i jego partnerka zajęli drugie miejsce. Atlasowy smoking połyskuje na śniadym ciele.

- Co robisz jutro? Mogę wpaść?

Nie myślę. Nie mówię. Coś za mnie odpowiada: „No jasne”, a potem rozstępuje się ziemia. Zanim pochłonie mnie piekło, usłyszę jeszcze: „Ładna sukienka!”, a potem, gdy on już pobiegnie z tancerką na plażę, pomału wygrzebię się, obsypię z siebie piach, wyciągnę skręcony z nerwów żołądek i martwym głosem przekażę swojemu umysłowi, co mnie czeka:

On do mnie przyjdzie jutro.

Tysiąc zabitych ciał w mojej rzeźni, w moim pokoju zerwań. Trupy pod sufit i wykpione męskie łzy.

On do mnie przyjdzie jutro.

Czarne hasła zagłady na różowym tle. Krew na ścianach, stosy wyrwanych serc. I moje cyniczne: „Zostańmy przyjaciółmi”. Zostańmy przyjaciółmi! Jak straszne jest to zdanie, gdy zadajesz cios!

On do mnie przyjdzie jutro.

Nie spałam całą noc. Wśród histerycznych rzucawek, w przepoconym prześcieradle postanowiłam, że tym razem nie zerwę. Nie zerwę z nim, dam radę. Choćby nie wiem jak w tym przeklętym pokoju wydał mi się drętwy. Choćby jego śniada cera z połyskującym atlasem zgasała w popiół. Choćby ten uśmiech szczeł na jego twarzy. Choćby zechciał zagarnąć mój pokój i wynieść na plecach. Choćby Whisky stanął na rzęsach.

Nie zerwę.

Z tym euforycznym postanowieniem pognałam do szkoły. Po

szkole mnie przywiało do domu. Chyba te skrzydła, które mi nagle u ramion wyrosły. Te same, co mnie utrzymywały nad ziemią jeszcze przez kilka godzin. Do osiemnastej. Bo Hanzi miał przyjść o szesnastej. Dwie godziny jeszcze czekałam. A potem moje skrzydła zniknęły i trzasnęłam z hukiem o podłogę mojej celi śmierci.

Nie wiem, czy Whisky mnie zdradził i ostrzegł Hanziego? Czy Hanzi po prostu gwizdał na tę wizytę? A może bał się usidlenia? Mój dom, mój pokój, jak klatka na błyszczącego ptaka, w jego pojęciu mógł na niego dybać? Owszem, spotykaliśmy się, najczęściej przypadkowo, na plaży, w dyskotecie, pod szkołą, na turniejach tańca. Za każdym razem rozstępowała się przede mną ziemia, a chwilę potem skrzydła unosiły mnie pod niebo. Piekło i raj. Szczęście i rozpacz. Te dwa stany szarpały mną przez cały długi rok naszego związku. Te dwa stany miały mną szarpać przez całe życie. Jak zemsta wszystkich zamordowanych adoratorów.

Tymczasem ze ścian zniknęły mroczne graffiti, krew ofiar obeschła. Nikogo już nie chciałam mordować, z nikogo nie zamierzałam sztydzić. Hanzi nie rysował portretów, serenad nie śpiewał. Nie przynosił też kwiatów. Raz jeden w życiu, wyblagany kwadrans poświęcił mi na naukę rumbi. Wchłonęłam ją jak gąbka, błyskawicznie, bez zbędnych potknięć, wiedziałam bowiem, że nigdy więcej się to nie powtórzy. Nigdy więcej mój rozpędzony Romeo nie zatrzyma się na chwilę, by wydreptać w miejscu cztery takty.

Wreszcie zniknął. Nie było go przez miesiąc. Nigdzie. Ani na dyskotecie, ani na plaży, ani pod szkołą. Nie było go w niebie, nie było go w piekle. Nie było go na ziemi. Rozpłynął się w powietrzu, odjechał z taborem cygańskim, oderwał się od parkietu i stał w diamentowy pył. Jedyne, co po nim zostało, to ta rumba, raz dwa trzy cztery, raz dwa trzy cztery, raz dwa...

Nagle jest! Pojawia się tak jak zniknął, bez ostrzeżenia. Wyrywa mnie z otchłani obsesyjnych tęsknot, w samym środku mojego terytorium. W moim pokoju! Podnoszę głowę i oczom nie wierzę. Stoi właśnie tu, gdzie stopa jego dotąd nie stanęła. Gdzie za żadne skarby nie mogłam go ściągnąć.

- Cześć - mówi i siada na kanapie.

Ma na twarzy coś zupełnie do tej pory niebywałego, coś pomiędzy zakłopotaniem a żalem. Żalem nad ofiarą, którą za chwilę zabije. W jej własnej pułapce.

- Nie miałaś na ścianach graffiti? - rozgląda się. I nie czekając na odpowiedź, dodaje: - Słyszałem, że miałaś. Coś w rodzaju „Nie dotykaj mnie, bo zabiję”?

- Tak - przyznaję.

- „Jesteśmy próżni i ślepi”?

- Tak.

- Zabawne. Bo to idealnie do mnie pasuje.

Był jeszcze moment ocalenia. Była szansa ratunku. Matka mówiła: „Zrywaj pierwsza! Przecież i tak już wiesz”. Ale co z tego, skoro nadzieja umiera ostatnia? Najpierw więc zabijam siebie, oddając tym idiotycznym pytaniem nóż w ręce mordercy:

- To znaczy?

A potem czekam, aż skona moja nadzieja. I oczywiście nie słyszę, że to nie znaczy to, co myślę. Nikt nie zaprzecza i nikt nie daruje. Pod ścianą nie siedzi Whisky i nie chichocze. Mnie też jakoś nie do śmiechu. A komu w tej chwili żarty w głowie? Kto zabijając, robi sobie jaja?

Morderca ma mój nóż. Musi zadać cios.

## NASTOLATKA

*Najbardziej kobiecy jest marzec*

*Bo w marcu*

*Jak w czerwonym garnuszku do gotowania firanek.*

*Sklączonych swetrów już nie noszę*

*Firanki nakładam na głowę*

*I gryzę*

*Migdały marcowe*

*Na murku przy liceum*

*Numer dwa.*

*I lepiej niech mi ktoś wódki da*

*To może też mu dam*

*Się wymigdalić.*

*Najlepsze migdały są na placu Bema*

*Najlepszy marzec*

*Jest w kalendarzu*

*Którego już nie ma.*

\*\*\*

Matka zabrała mnie na wycieczkę do Gdańska, przy okazji odwiedzin u swojej chorej przyjaciółki Jolki. Jolka jest chora na raka, przypadek beznadziejny. Leży na oddziale onkologii i rozpoczyna właśnie długi, powolny proces leczenia chemią. Mam problem z rozmową, mam problem z patrzeniem na jej cierpienie. Wychodzę ze szpitala, rozglądam się wokół, patrzę w stronę morza, w stronę stoczni, hen, w kierunku starówki i krew mi zaczyna płynąć szybciej.

Ojciec kiedyś pokazywał mi te żurawie. Cieszył się z tego, że stoją, nie pracują.

- Jest strajk! - wołał na całą eskaemkę. - Kaśka, jest strajk!

I wtedy to poczułam. To był taki pierwszy wyraźny

bezdyskusyjny sygnał od siebie samej. Wiem, czego chcę. Może nie umiem jeszcze tego nazwać, ale wiem. Wiem i to osiągnę. Osiągnę, choć jeszcze nie wiem jak, jeszcze nawet nie wiem, co to znaczy. Jeszcze nie czas, jeszcze jestem za mała. Ale to się stanie.

Ze szpitala poszliśmy z matką do kościoła i tam zobaczyłam ten obraz, *Sąd Ostateczny* Memlinga.

I wtedy dopiero poraził mnie piorun wszetecznej, pierwszej i w swoim pierwszeństwie absolutnie niedorzecznej miłości. Piekielnym zrzędzeniem sił zmagających się na obrazie, pojęłam występna, acz wielce kuszącą urodę „poliamoryzmu”. Zakochałam się bowiem w diabłach, w aniołach, w potępieńcach, w Jezusie nawet trochę, a przede wszystkim w tej rudej spod deski. I jakby było tego mało, dalej się zakochiwałam, na łeb na szyję leciał przebrany za Neptuna Amor i przebijał trójzębem kolejne moje serca, skazując jednocześnie na potępienie miłosne. I tak pokochałam ramę, a właściwie trzy ramy obrazu, z rozpędu pokochałam Pietę z kapliczki po prawej, zakochałam się też w surowej posadzce, w niebotycznych sklepieniach, przepadłam wśród posepnych ław i zapachu kamienia, totalnie oszalałam na punkcie ciemnej cegły i strzelistych wież, a główna, ta monumentalna, na którą się wspierałam, wręcz zawróciła mi w głowie.

Wreszcie to, co ujrzałam z góry, odarło mnie z ciała.

I stanęłam nagą duszą wobec tego miasta, które ktoś przez wieki budował, które ktoś w jednej chwili burzył, które ktoś historią wypełniał, które ktoś na mapach rysował, w którego uliczki brukowane ktoś strumień życia wlał. A wszystko po to, bym się tego dnia na śmierć, a przede wszystkim życie - zakochała.

Ja się wtedy zakochałam pierwszą, dojrzałą miłością, miłością większą niż miłość do Hanziego i całego taboru cygańskiego do kupy. Ja właśnie w tym momencie, u progu nastoletniego życia doznałam olśnienia, gdzie i jak będzie dopełniało się moje życie.

Ale na razie miałam trzynaście lat, a jak się ma trzynaście lat, nic nie jest proste. Życie dostarcza niezwykle zawitych problemów, a mnie dodatkowo w kółko boli głowa.

Boli mnie, gdy wstaję do szkoły, boli mnie w szkole, na przerwach i po lekcjach. Boli mnie z głodu, z nerwów, z niewyspania, z powodu deszczu i słońca, podróży i jazdy windą. Od zapachu dymu papierosowego i benzyny. Z każdego powodu. Czasem któraś z koleżanek odprowadza mnie do domu ze szkoły, bo sama nie mogę wrócić. Czasem tracę przytomność na lekcji. A kiedy przychodzą wakacje, głowa boli mnie od zbyt długiego spania. I tak źle, i tak niedobrze. Nikt nie wie, co z tym zrobić, więc regularnie mnie wysyłają na jakieś kolonie, obozy i pobyty poza domem.

I tak pojechałam do NRD.

Owszem, był taki kraj - NRD. Sytuacja była o tyle dziwna, że w moim pojęciu jechałam do Niemiec, a w Niemczech od paru lat mieszkał mój ojciec, któremu niczego nie brakowało, zwłaszcza córki. Byłam przeświadczona, że jadę do kraju wielkiego dobrobytu, że poznam mentalność ludzi pracowitych, skrzętnych i oszczędnych, a wiadomo powszechnie, że oszczędzają bogaci, nie ma bata, popatrzę sobie na ładne fury i kupię masę zagranicznych dóbr. Właściwie chodziło mi o jedno konkretne dobro, ale o tym potem. Fur nie było za wiele, pomijając trabanty i wartburgi - właściwie żadnych. Zakwaterowanie, Matko Święta, to ja w Kruklankach miałam wypas. Ale dobra. Barak numer osiem. Łóżka piętrowe. Sala siedemdziesięciosobowa. Mroczno. Ciemno. Niemcy. Jakież skojarzenia?

Łóżka obok zamieszkały dwie panny, jedna blond, krótkie włosy *a la* popers, druga ciemne na Limahl. Śmiały się ze mnie. Ściśle śmiały się z mojego zakupu, gdy trzeciego dnia naszego pobytu wyruszyliśmy do pobliskiego miasteczka zaopatrzyć się w enerdowskie dobra. Wdrukowaną przez Olę konieczność zdobycia niemieckiego biustonosza niosłam w swojej głowie z wielkim uporem, aż znalazłam tamtejszy *lingerie*. Asortyment mnie urzekł. Posortowane skrzętnie w oznakowanych szufladkach z napisem NULL



niemieckie BH czekały na moje odliczone siedemnaście enerdowskich marek. Nie brałam do głowy animozji, niemieckiej niechęci do Polaków i wszelkich czekających mnie w przyszłości problemów z określeniem *scheiße Ausländer*. Liczyło się dla mnie jedynie to, co ścisikałam w garści - preludium kobiecości, pierwiosnki kokieterii, załączki buduaru, moje pierwsze prawdziwe *dessous*.

Tak, moi Państwo. Bielizna nie pochodzi z Paryża. Początki bielizny - przynajmniej mojej - wywodzą się z NRD, z małej wioski pod Poczdamem. Fakt ten może się wydać śmieszny, zwłaszcza że wprawił w ogromną wesołość sąsiadki z baraku numer osiem. I nie tyle sam asortyment, ile zestawienie asortymentu z trzynastoletnią mną. Ścisłe - zestawienie samego pomysłu, samej idei *dessous* z chuderlawym podlotkiem o płaskim dekolcie. Bo ja byłam chuda i płaska jeszcze przez długie lata, co się potwornie kłóciło z moimi oczekiwaniami względem okresu dojrzewania. I nie uszło to uwadze koleżanek z sąsiednich łóżek. Nie upiekło mi się parsknięcie, które przez wiele lat jeszcze nosiłam jak bolesną zadrę: „To ty masz jakiś biust?!”.

Odwiecznym problemem nastolatek nie są rówieśnicy płci męskiej, niedorastający chwilowo rozwojem do dziewczynek. Największym problemem nastolatek są ich sadystyczne koleżanki, ich pozamykane na trzy spusty matki, ich wyniosłe siostry. Odwiecznym problemem dorosłych kobiet nie są ich koledzy, małpko naśladowujący skostniałe stereotypy. Odwiecznym problemem kobiet są inne, bezwzględne, wrogie, oceniające i nieempatyczne kobiety, które własną dorodną piersią tych stereotypów bronią.

\*\*\*

Biust, a raczej jego brak, nie był jedynym moim nastoletnim kłopotem. Zaraz po powrocie z NRD pojęłam, że celem mojego życia nie jest bynajmniej napisanie wiekopomnego dzieła. O dziele chwilowo się w tym wieku zapomina, dzieło życia odkłada się na półkę, a w miejscu wzniosłych życiowych celów

pojawiają się... dzinsy.

I jakoś przestaje też działać potężna wyobraźnia o niezłomnym Mikołaju spełniającym wszelkie zachcianki. Ten wiek nie uznaje kompromisów, żadnej iluzji. Na iluzję jest czas w dzieciństwie i dorosłości. W wieku lat kilkunastu iluzja nie istnieje. W wieku lat kilkunastu istnieje twarda rzeczywistość, a twarda rzeczywistość jest taka, że, kurwa, nie mam dzinsów!

Dzinsy w tamtych czasach to było nieosiągalne marzenie każdego, wyznacznik zajebistości, symbol buntu, ikona walki z pustką w peerelowskich sklepach.

Skąd wziąć dzinsy? Jak je kupić?!

Zakup dzinsów w tamtych czasach, to nie był efekt komunikatu: „Elo, mama, wyskakuj z kabony”. Nie, nie. Dzinsy w tamtym czasie to był skomplikowany proces rozwiązywania kolejnych problemów:

1. Jak namówić matkę, żeby pozwoliła zacząć ciuć kase na taką fanaberię, jak dzinsy, a nie gustowny fartuszek do szkoły?

2. Jak namówić matkę, żeby pozwoliła pójść do pracy, by na tę fanaberię zarobić?

3. Jak znaleźć pracę?

4. Jak w tej pracy wytrzymać?

5. Jak w tej pracy nie dać się oszukać?

6. Jak uciuć na dzinsy, gdy się ma trzynaście lat i czasem by się chciało napój w woreczku? Albo balonówkę marki Donald?

7. Jak, uciulawszy kase, znaleźć dzinsy na pustych półkach peerelowskiego sklepu?

8. Jak, nie znalazłszy dzinsów na półkach peerelowskiego sklepu, a znalazłszy je na półkach sklepu Przedsiębiorstwa Eksportu Wewnętrznego, zdobyć zagraniczną walutę?

9. Jak, zdobywając zagraniczną walutę, nie dać się oszukać przez wytatuowanych cinkciarzy?

10. I wreszcie: jakie dzinsy kupić, by pasowały na człowieka (trzynastoletniego) przez całe jego życie?

Bo przecież człowiek nie będzie wypruwał żył co sezon.

Truskawki.

Nie mam pojęcia, skąd wziął się ten pomysł. Możliwe, że Ela Kozior coś palnęła. Nie wiem. W każdym razie postanowiłam zbierać truskawki. Sprawa była prosta. Wstawałam codziennie o piątej i jechałam rozklekotanym osinobusem na plantację. Perspektywy miałam jasne. Jedna kobiałka: pięć złotych. Dżinsy w Peweksie: dwadzieścia dolarów. Czarnorynkowy kurs dolara: 2500 zł. Wystarczyło zebrać dziesięć tysięcy kobiałek.

Luz.

\*\*\*

Mało że dżinsów nie było, mało że cycków nie było, to jeszcze nadeszło przykre, a niekończące się beznadziejne poszukiwanie paczki waty.

Okres. Najbardziej wstydliva i upokarzająca rzecz, jaka może się przytrafić kobiecie. Najbardziej wstydliva i upokarzająca rzecz, jaka przytrafia się ludzkości od jej zarania do dziś.

Niedawno z Instagrama zostało usunięte pewne zdjęcie. Usunięto je z powodu naruszenia regulaminu. Zdjęcie przedstawiało krew. Jaka to masakra poruszyła administratorów portalu? Czy Instagram usunął koszmarnie świadectwo wojny? Tego administratorzy nie potrafią znieść? Nie dziwiłoby mnie to wcale. Wprawdzie krew wojenną widzimy od dziecka, od najmłodszych lat szkolnych. W podręcznikach, na obrazach, na filmach dokumentalnych, w prasie. Nikt nam nie oszczędza widoku okrucieństwa wojny. Tym bardziej dziś, w czasach globalnego rzutu beretem - każdym zdjęciem, choćby z najbardziej oddalonego zakątka świata. Kiedyś pisałam artykuł o gwałcie, wrzuciłam w Google hasło „gwałt”, żeby zobaczyć, co świat na to. I wiecie, co świat na to? Świat mi pokazał takie zdjęcia, że nie mogłam oddychać przez pół dnia. Nie operuję tu przenośnią. Nie przesadzam. Ja naprawdę nie mogłam oddychać. Nie mogłam złapać tchu, bo zobaczyłam zdjęcie, którego nawet teraz po roku, nie umiem opisać. Nie znajduję słów na ten horror. Powiem tylko, że przedstawiało ono dwie osoby. Matkę i córkę. Młodą kobietę i

dziewczynkę dziesięcioletnią.

I krew.

Nie, to zdjęcie nie zostało zablokowane na Instagramie. Nie o to zdjęcie chodziło. Nie chodziło też o przemoc domową, morderstwo, nie chodziło nawet o zdjęcie z walki bokserskiej. To zdjęcie nie przedstawiało bólu, cierpienia, apokalipsy. Nie prezentowało ofiary aborcji, dwumetrowych wydruków rozszarpanych embrionów, tych które od najmłodszych lat oglądałam w kościołach. Wypadek? Masakra i terror? Napady zbiorowe, wybuchy w podziemiach, ścinane głowy?

Nie.

Instagram zablokował zdjęcie artystki Rupi Kaur. Sfotografowała ona śpiącą kobietę - siebie samą. Na zdjęciu jest mała plamka krwi na prześcieradle i trochę większa na piżamie. Kobieta na zdjęciu nie umarła, nie została pobita.

Ma okres.

\*\*\*

Przez całe życie się tego wstydziłam. Pamiętam liceum, lekcja języka polskiego, facet wyklada coś o romantycznych programach narodowowyzwoleńczych, a ja siedzę skulona w ławce i konam ze wstydu. Czuję się upokorzona tym, co się ze mną dzieje. Czuję, jak we mnie pęcznieje ta niestosowność. Czuję się niższa, gorsza, niedopasowana. Fizjologiczna, z tą fizjologią jakaś taka głupkowata, watowata. Słowa mi przez gardło nie przechodzą, gdy ktoś pyta, co mi jest. Czemu się skręcam w ławce z bólu? Głowa mnie boli. Głowa mnie boli za każdym razem. Każdą dolegliwość kobiecą w ten znakomity uniseks oblekam. Głowę ma przecież każdy, nawet chłopcy. Nikt więc nie wyśmiejże bólu głowy, nikt z tego nie zadrwi.

Głowa mnie boli przez całe życie. Mój sprytny organizm nauczył się nie być kobietą. Mój sprytny organizm zrozumiał, że wstyd jest gorszy od bólu. Wybrał migrenę. Gdybym mogła krwawić jak ci wszyscy stygmatycy! Jak Matka Boska zalewająca się krwawymi łzami! Ale nie mogę, ukrywam się po

kątach, udaję że nie mam tego. TEGO. Nic mnie nie boli, nic nie czuję, zapominam, nie myślę. Nie odzywam się, nie dzielę się tym, nie skarżę się na trudności na rynku, na kolejki do aptek, na reglamentowane, wrywane sobie nawzajem przez upokorzone kobiety paczki waty. Na wakacjach u Babci nie mówię, czego mi potrzeba, bo nic mi nie potrzeba, moja Babcia nie wypowie tego słowa za Chiny Ludowe, ja też nie wypowiem, bo spalę się ze wstydu. Nie wiem, pojęcia nie mam, jak się wytłumaczyć z tego, że jestem kobietą. Jak sobie to wybaczyć, jak prosić o wybaczenie innych? Czy pan od polskiego by mnie zrozumiał? Przecież pan od polskiego nie ma okresu! On jest wzniosły, dumny, z głową wysoko, z mózgiem twórczym, nieprzystosowanym do takich żenujących pierdoł. Umieram w ławce, rozbiera mnie wstyd, rozbiera mnie jak ta pani w przedszkolu, patrzcie dzieci, spójrzcie, była niegrzeczna i teraz ma okres! Zobaczcie ludzie, Jezu, jaki wstyd, kobieta na zdjęciu ma okres! Kobieta ma okres! Krew, kurwa! Ha, ha, ha. Schowajcie to lepiej.

Najgorsze, co może mnie spotkać, to przesiąknięta bielizna. Z powodu przesiąkniętej bielizny gotowa jestem się powiesić. Z powodu plamki na prześcieradle, śladów na pizamie - mogę umrzeć.

Izka, koleżanka z ławki też ma dylemat. Dziś nosi podpaszkę, a chłopcy mają w zwyczaju po tyłku ją klepać. Nie martwi ją chamskie zachowanie kolegów, martwi ją tylko to jedno. Co będzie, jak któryś to wyczuje? Jak strasznie będą się z niej śmiać?

\*\*\*

Dziś z Instagrama znika zdjęcie hańby. Tymczasem, choć ludzkość wpada w popłoch na widok krwi menstruacyjnej - nie ma powodów do paniki. Okres to normalna sprawa. W pewnym momencie swojego istnienia człowiek musi zrozumieć, że ani to śmieszne, ani dziwne, ani wstydlive. Gatunek *homo sapiens* wyewoluował dwieście tysięcy lat temu z istoty, która prawdopodobniej też miewała okres. Tak jesteśmy po prostu zbudowani. Żeńska połowa gatunku,

o ile nie spodziewa się potomstwa, krwawi co miesiąc z dróg rodnych. Krew nie jest niczym brudnym, jest podstawowym płynem fizjologicznym, bez którego nie byłoby życia. Składa się z erytrocytów, leukocytów, płytek krwi, trombocytów i osocza. Chłopcy pękają z dumy rozprawiając o swoich jajach. Budząc szacunek, prezentują rozkwaszone w bójce nosy.

Dziewczynki umierają ze wstydu z powodu swojej krwi.

\*\*\*

Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia jak uporałam się z tym nastoletnim okresem. Do dziś stanowi to dla mnie niezgłębioną zagadkę, jak młody człowiek godzi bałagan w głowie, zniknięcie ojca, rozwód rodziców, nową rodzinę, pomaganie przy nowo narodzonym rodzeństwie, piątki zamiast cztery plus, Elę Kozior, pierwszą menstruację, pierwszą miłość, rozpad państwa, romantyczną historię kraju, wybuch w Czarnobylu, płyn Lugola, obozy koncentracyjne, zachwyty literaturą, dziesięć tysięcy kobiałek truskawek, maturę na pięć, lęk przed niepożądaną ciążą oraz wiecznie ruchomy sens życia?

I wszystko to w milczeniu, w zapadni własnych rozmyślań, przypuszczeń, domysłów? Wszystko w jakiejś niecce drażonej własnoręcznie, w pocie czoła, gorączkowo, z wielką potrzebą formowania żelaznych poglądów, które nade wszystko muszą być powodem do dumy. Tylko czyjej dumy? Czy swojej, czy może pożyczonej od matki, która po rozwodzie skwapliwie wpaja mi wartości katolickie o polskiej rodzinie?

Czy może pożyczonej od ojca, tego zdeklarowanego outsidera, który tak się z niczym nie zgadzał, tak się wobec wszystkiego buntował, tak burzył porządek świata, że koniec końców zaległ w niemieckim koncernie - od szóstej do osiemnastej w korporacyjnym kombinezonie - dokładnie w tym samym czasie, gdy jego rówieśnicy obalali komunizm?

Którą narrację mam przyjąć? Tę rzeczywistą czy tę wygłaszaną? Bo nie wiem. Zdezorientowana jestem. Mama nie idzie do kościoła, bo nie ma czasu, ale ładuje mi do głowy, że ja

muszę chodzić i tam się za nią modlić. Nie wiem. Tata mówi, że mam być niezależna, ale zabiera mi paszport. Nie wiem. Ciotka Jadźka mówi, że mam chodzić jak dziewczynka, a sama człapie jak hipopotam. Nie wiem. W szkole mówią, że nie wolno palić, ale nauczyciele palą aż w oczy szczypie na przerwach. Nie wiem. Ola mówi, że mam się szanować, a sama dostaje wpierdol od swojego chłopaka. I dalej z nim chodzi.

\*\*\*

To było majowe popołudnie. Wracałam ze szkoły w umiarkowanie wspaniałym nastroju, gdy na końcu ulicy zobaczyłam Olę. Szła ze swoim chłopakiem, Arturem. Coś dziwnego było w tym ich wspólnym spacerze, jakaś zła energia, jakieś piekło, którego siarkę

- choć z daleka - można było wyczuć. Ja wyczułam. Stałam tak nagle i nienaturalnie, jakby niewidzialny podmuch zła mnie unieruchomił. W szkole uczyli nas zachowań podczas wybuchu bomby atomowej. Należało jak najszybciej położyć się za jakąś przeszkodą. A ja nie położyłam się za żadną przeszkodą. Popełniłam największy błąd, mimo że tyle lat mnie uczono. Ten sam błąd popełniłam kiedyś w nocy, gdy obudził mnie krzyk matki, a ja zamiast uciekać za wersalkę, rzuciłam się na ojca.

W ten majowy dzień też chciałam pomóc. Widziałam z daleka te skrzywione miny, te demony na twarzach. On - pełen agresji, takiej siły totalnej, namacalnej, nieprzejeđnanej, twardej. Zawsze to czułam jakby mur, ścianę, drzazgi ołowiu. Nie człowiek, ale jakby maszyna, siła niszcząca bez uczuć, emocji, bez mózgu. Tak to widziałam. Zawsze, gdy mam do czynienia z przemocą, tak to właśnie czuję. Jakby ten ktoś przestał być człowiekiem. Jakby niewidzialna moc szatana zamieniła go w tępe narzędzie pozbawione umysłu.

Ola szła z tępym narzędziem u boku, a to tępe narzędzie uderzało ją w twarz. Bezmózga maszyna szarpała ją za kurtkę, włosy. Popychała ją, a ona upadała, uderzając głową o ścianę.

Wielki, opętańczy strach wypełnił jej drobne ciało. Jej samej też jakby już nie było, ona sama też jakby znikła.

Ulica opustoszała, choć to był środek dnia. Nie wiem, gdzie byli ludzie. Nie wiem, gdzie znika ludzkość w takich chwilach. Czy demony je przeganiają?

Ja nie uciekłam. Stałam jak wryta, kompletnie zaskoczona. Przecież znałam Artura, taki fajny chłopak. Wesoły i zabawny. Być może nieco zbyt postrzelony. Z pewnością inteligentny. A teraz: maszyna bez mózgu. Co się stało? Jaka siła mu ten mózg wydarła? Jaka siła wyrzywa mózgi sympatycznym ludziom, którzy zamieniają się w agresywne potwory? Gdzie miejsce na czarną smołę w środku majowego dnia?

I ona. Skurczona, skłębiona, zapadnięta, IDZIE OBOK NIEGO. W mojej głowie wciąż dudni pytanie, to wielkie niezrozumienie, to samo, gdy oglądam filmik emitowany w ramach akcji przeciw przemocy na Gazeta.pl, gdzie chłopak szarpie dziewczynę na plaży, a ona siedzi obok. A ona z nim idzie. A ona wsiada z nim do auta.

Dlaczego nie odejdziesz?!

Niewidzialny łańcuch trzyma cię obok. Niewidzialny łańcuch ciągnie cię za nim. Niewidzialny łańcuch cię oplata, do auta szarpie. Niewidzialny łańcuch przyciągnie cię do ołtarza. Niewidzialny łańcuch wydobędzie z twojego gardła: „Tak”. Tak na wszystko. Na upokorzenie. Na siniaki. Na złamany ząb. Na zniewagi i bluzgi. Na wieczne poczucie winy. Na brak szacunku do siebie. Na gwałt. Na wszystko, czego z całej duszy nie chcesz. Na spierdalone życie.

Skąd bierze się ten łańcuch, Ola?

\*\*\*

Może wtedy, gdy miałam trzynaście lat, nie było łatwo, ale dwa lata później tak się zagmatwało, tak się pokręciło, że od samego czytania pamiętnika robi mi się słabo. Miłość do Hanziego, choć dramatyczna, jawi mi się jako jedyny jasny punkt na mapie tego nastoletniego labiryntu. Zapisana flamastrem na okładce potężna deklaracja: KOCHAM HANZIEGO I DEPECHE MODE rozbraja tę miłosną „tragedię”, a wielostronicowe dywagacje, w co się ubiorę, kiedy on przyjdzie i czy przyjdzie, zwyczajnie bawią. Podobnie nasze



rozmowy, gdy w końcu jednak przez parę chwil byliśmy razem:

- Co najbardziej lubisz jeść?

- Schabowe.

- Ojej, ja nie umiem robić schabowych. Jak muszę, to dzwonię po Olę albo Izkę. Sama nie potrafię.

- A co potrafisz?

- Makaron z truskawkami.

- A zimą, gdy nie ma truskawek?

- Sam makaron.

Tak, dramat miłosny to była bajka. Dramat miłosny mógłby sobie trwać. Ale była jeszcze reszta: zasięki, czarna dżungla, taśma klejąca na ustach, kajdany na nogach. Strach, niezrozumienie, samotność. Zapisane każdego dnia zdanie: gdybym mogła chociaż z kimś porozmawiać! Gdybym mogła z kimś porozmawiać!

Hanzi przepadł, Ola wyjechała, Whisky z kolegami w Kętrzynie, matka ma nową rodzinę, ojciec wyjechał i ma nową kobietę. Nie ma nikogo, nikogo. Gdybym mogła z kimś porozmawiać. Gdyby mnie ktoś wysłuchał, zamiast w pośpiechu wpadać, wsadzać do samochodu i wywozić gdzieś w nieznane, to straszne nieznane, którego się tak boję. Zamiast mnie pokazywać znajomym, zamiast się mną chwalić, zamiast ciotce Jadźce moimi sukcesami na nerwach grać.

Porozmawiać ze mną. Pogadać o tym Hanzim, dlaczego akurat on, dlaczego akurat tak, dlaczego nie. Porozmawiać o kotach na dachu, o których pisałam wiersze, a jak się kiedyś odważyłam pokazać panu od polskiego, to powiedział, że to bez sensu. Zapytać, czemu boję się wampirów, czy lubię spać sama i co widzę w tych książkach, z którymi się nie rozstaję. Dlaczego od zawsze marzę o tym, żeby mieć psa? Jak ja kocham psy! Jak ja strasznie rozpaczam po tamtym Miśku, który wpadł pod dużego fiata, gdy jako ośmiolatka nie dopilnowałam go. I jak mi okropnie przykro.

Porozmawiać o tym, dlaczego wcale nie trzeba załatwiać paszportu i wizy, żeby mnie wywozić do Niemiec, gdzie kilka lat temu przepadł mój ojciec.

Bo ja tam nie umiałam oddychać. A co dopiero tam żyć.

\*\*\*

To były pierwsze dni mojego pobytu w Niemczech, czyli tam, gdzie ulice są tak wysprzątane jak w miasteczkach Lego City, a w sklepach jest wszystko, wszystko i to tak kolorowe, że oczy bołą. Umarłam z tęsknoty. I tylko powtarzałam, jak smutną piosnkę: „Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie... Tęskno mi, Panie”. Do kraju bez światłocienia, do tych co mają tak za tak, nie za nie, gdzie prawdziwość rzeczy elektryzuje, przenika do szpiku pamięci nigdy nie zatartej, zawsze bolesnej jak katolicka wiara.

Tęskno mi, Panie.

Do kraju, w którym mówi się w języku najtrudniejszym na świecie, bo składającym się z samych ciężkich słów na literę K.

Tęskno mi, Panie.

Do kraju prób i błędów, właściwie samych błędów. Do zastawionego stołu, do tej Matki Boskiej wszystkich wędrowców, nieproszonych, niespodziewanych gości, do pustego talerza przy wigilijnym stole, do rodzinnych najazdów, do niekończących się odwiedzin, do cudu niewyczerpanej lodówki mimo kryzysu, mimo zaborów, mimo wojny, mimo wystawienia środkowego palca polskim lotnikom po bitwie o Anglię, mimo komuny, mimo niskiej renty, mimo kredytu, mimo pensji poniżej średniej krajowej, która jest ułamkiem pensji najniższej krajowej w Europie.

Tęskno mi Panie.

Dokąd będzie się wracało jak na skrzydłach samolotu pełnego ogorzałych, wyniszczonych i podchmielonych rodaków, którzy w milczeniu przeżywają kolejne upokorzenie od: Niemców, Anglików, Francuzów, Amerykanów i diabli wiedzą kogo jeszcze, bo diabli wiedzą, gdzie jeszcze na tym świecie zarabia się lepiej niż w tym kraju, do którego:

Tęskno mi, Panie!

Do uścisków i przytuleń, do pocałunków, do płaczu i rehotu, do wzniosłych wyznań, do wiecznych zerwań i powrotów, do: „To nie kochanka, ale sypiam z nią, choć śmieją ze mnie się i drwią”.

Do wujków, ciotek, babć, dziadków, sióstr, braci, kuzynów, koleżanek, kolegów, przyjaciół i wrogów, do Whisky'ego, do Hanziego, a nawet do ciotki Jadźki. Do wieczornych wypadów do sąsiada po szklanę cukru, do Jeziora Kortowskiego, do ogniska na poligonie, do tych łąk zielonych, do ogórków kiszonych, do nocnych, przez nikogo nierozliczanych powrotów, do słonecznych poranków, do miłości, do domu.

Tęskno mi, Panie!

Zacisnęły mi się na gardle te Niemcy. Przypominałam sobie czytanekę po rosyjsku: *Druzzej nie pakupajet za diengi*. Zastanawiałam się, czy można to zdanie powiedzieć po niemiecku. Wydawało mi się, że nie ma takiej możliwości. Że w tym języku nie ma takiej składni. W tej gramatyce nie ma takiej logiki.

\*\*\*

Ojciec wykapał się, ubrał odświętnie. Wybierał się na jakieś imieniny wraz ze swoją nową kobietą. Siedziałam w fotelu skulona i czekałam, aż wyjdą. Czekałam aż wyjdą, aż się w sobie zanurzę, aż we własnym sobie zrozumieniu pobędę, na tej maleńkiej wysepce Polski, którą w głowie tworzyłam. Telewizor ryczał głośno tym chropowatym językiem. Wyłączyłam go, wzięłam do ręki pamiętnik, zapadłam się w fotelu. Wtedy ojciec, gotowy już do wyjścia, podszedł do mnie i powiedział:

- Chodź z nami. Poznam cię z tymi ludźmi.

- Nie! Nie pójdę! - odparłam automatycznie.

Widziałam to, wiedziałam, jak będzie. Usiądę do stołu, oni się napiją, będą godzinami gadać, a ja będę siedzieć i patrzeć na żyrandol.

- Chodź! Powiedziałem i koniec. Wychodzimy!

- Nie, tato. Nie idę. Nie mam ochoty. Po co ja mam tam iść? Tam mnie nikt nie potrzebuje. Nie pójdę.

- Chciałbym, żebyś poszła. JA chcę, żebyś poszła. Chodź!

Skuliłam się w fotelu jeszcze bardziej. Wszystko we mnie krzyczało, że nie chcę. Wszystko zaprzeczało. Nie pójdę. Nie mogę. Nie mogę oddychać.

- Nie pójdziesz ze MNA?!

Pochylił się nade mną. Patrzył mi prosto w oczy. Zapadła cisza. Zegar tykał przerażająco, jakby odliczał egzekucję, jakby za chwilę miała paść salwa, po której już się nie podniosę. Czułam ciężar tego spojrzenia, jakby mnie przygniotło, jakby przydusiło do tego fotela, który stał się moją tratwą na oceanie samotności. Czułam jego naprężone ciało nad sobą, jego drżące od napięcia ramiona opierające się o mój fotel.

Nie wiem, skąd znalazłam siłę na to słowo. Nie wiem i oczom nie wierzę, ale tak jest napisane w moim pamiętniku. Napisane jest też, co się wydarzyło potem. Ale cokolwiek się wtedy wydarzyło, jakkolwiek bym nie została ukarana, zawsze będę sobie wdzięczna za tę resztkę siły, którą wydobyłam siebie samą z mojego zastraszonego piętnastoletniego ciała:

- Nie.

## KOBIETA W LUSTRZE

Co się dzieje, kiedy facet patrzy w lustro? Nic się nie dzieje. No, może coś w rodzaju mało ekspresyjnego wyrażania aprobaty, może półuśmieszek zgody, satysfakcji lekko zabarwionej chępliwością. Facet patrzy w lustro i tyle. Facet patrzy w lustro i odchodzi. Facet patrzy w lustro i koniec tematu. Co się jednak dzieje, kiedy kobieta patrzy w lustro?

Kobieta patrzy w lustro i zaczyna się horror.

Jezu, jaka jestem gruba!

Takie zachowanie nie jest sztywną regułą. Właściwie należy przyznać, że przybiera ono różne formy, plastycznie ewoluuje. Nigdy zaś nie traci na dramatyzmie. Próbując więc odwzorować standardową pierwszą reakcję kobiety po spojrzeniu w lustro, należy utrzymywać ton pełen oburzenia i rozpaczony oraz posługiwać się odpowiednimi konfiguracjami fraz, np.:

Boże, jaka jestem brzydka!

Ludzie, co ja mam z włosami!

Znowu przyszcz!

Całkiem się rozmazałam!

Wyglądam jak miotła!

Mam dwa podbródki!

Pod oczami wory!

Nie mogę na siebie patrzeć!

Żaden z powyższych wniosków nie jest bynajmniej przyczynkiem do zaniechania patrzenia w lustro. Przeciwnie! Jest to zwiastun nieustannych obserwacji, nadziei, oczekiwań: Co jeszcze straszliwego w tym lustrze można wypatrzyć? O czym całemu światu ogłosić? Jakich paskudztw na twarzy się doszukać? Gdzie i jak obfite wałki tłuszczu wysledzić?

Lustro jest potężnym wrogiem każdej kobiety. Lustro studzi każdy nad nią zachwyty, odbiera dobry nastrój. Jednocześnie

jest absolutnie niezbędnym przedmiotem, rzeczą pierwszej potrzeby. Kobieta jest gotowa dołożyć wszelkich starań, by wstępnie zachwycony nią mężczyzna wreszcie uwierzył w to, co ustami wybranki powie o niej zwierciadło. I by w konsekwencji uciekł, gdzie pieprz rośnie. Nie ma więc wyjścia. Każdy troskliwy facet powinien z miejsca wytluc wszystkie lustra, na które jego ukochana będzie w przyszłości miała nieszczęście się napatoczyć.

Może nie byłoby tak źle, gdyby to lustro przedstawiało wystudiowany dzióbek, gdyby tylko odbijało te miny i te pozy, które kobieta jest w stanie w swoim odbiciu zaakceptować. Gdyby chociaż zaczęło łaskawie, aż podmiot wreszcie się wystarczająco wyszykuje, kiedy się odpowiednio utrefi, umaluje, odchudzi, wygładzi, przeinaczy. Kiedy zdejmie siebie z siebie i oto stanie w nowej formie, bez śladu człowieczeństwa, bez śladu cellulitu i zmarszczek, nadwagi, wałeczków, w doskonałej formie posągu.

Ale lustro jest bezlitosnym narzędziem, działającym bezmyślnie jak maszyna do zabijania.

Pstryk - fotka - śmierć.

\*\*\*

Ktoś zrobił mi zdjęcie podczas imprezy firmowej i wrzucił na Facebooka. W dodatku mnie oznaczył. Wyglądam na tym zdjęciu jak stara, gruba ciotka. Nie mogę na siebie patrzeć. Nie mogę patrzeć, a patrzę. Wpatruję się w monitor jak zahipnotyzowana, jakbym zobaczyła pająka, struktury wywołujące fobię, smoka z siedmioma miliardami par oczu, wampira Nosferatu.

To zdjęcie przedstawia nie tylko mnie. Obok siedzi prześliczna młoda dziewczyna, która wygląda jak świeżość wszystkich poranków świata. Ta dziewczyna jest nieznośnie piękna i mądra, tak piękna i tak mądra, że mnie na tym kadrze po prostu deklasuje. Nie, ona mnie nie deklasuje - „deklasuje” to eufemizm. Bo prawda jest taka, że ona, ta chuda suka, mnie w tym kadrze ściśle: MORDUJE.

Ona mnie morduje, zjada na śniadanie w ten swój piękny

poranek, połyka jak kawałek prosiaka z chlewika mojego dziadka. Ona mnie, bezimienną świnię, pożera, po zbyt tłustym posiłku wzdycha, ociera swoje piękne usta finezyjną chusteczką skropioną paryskim zapachem.

A obok ja. Gruby baleron, pękata torba rozlana na krzesle. Na dwóch krzesłach, bo na jednym się już nie mieszczę. Mam nabrzmiałą twarz, czerwoną, spoconą, włosy w nieładzie, rozjeżdżający się żakiet. Ten żakiet nie może ukryć otłuszczonych wałków, wylewających się piersi, ukradkiem wypitych trzech piw, wypalonych siedmiu papierosów, niewyspanej nocy, niewykorzystanego karnetu na siłownię, nieodłącznej wściekłości na samą siebie, na rozdygotaną niepewność, na szare włosy, na drugi podbródek i wory pod oczami.

Fotografia jest właśnie jak to bezlitosne lustro. To obnażająca, straszliwa dziedzina, którą ludzkość wymyśliła tylko po to, żeby siebie unieszczęśliwić. Taki fotograf jest jak niedyskretny ginekolog. Zajrzy w duszę, rozewrze boleśnie ciało i wszelkie niedoskonałości, wszelkie mroki tajemne na wierzch, przed jupiter ludzkiego szyderstwa wywlecze. Wziernikiem obiektywu w najgłębsze zakamarki kompleksów wniknie. Wciągnięty bezdechem brzuch wezdmie, wory pod oczami rozpulchni. O ile resztki przyzwoitości się w nim telepią, łaskawie choć przez edytor przepuści, zanim zmęczone i pomarszczone truchło rzuci tłumowi na pożarcie. Niestety, ten fotograf nie zrobił nic, żeby mnie upiększyć. Nie odchudził. Nie wysmuklił. Nie wygładził.

Zwis sflaczałej skóry i smutek z opadniętej twarzy wydobył. Podgardle jak u zwierza pokazał. Gębę szeroką obwieścił. Nos krzywy odtajnił. Na dobitkę tę chudą blerwę umieścił obok.

I, kurwa, wrzucił to wszystko na Facebooka.

Są istoty, które na widok aparatu fotograficznego rezolutnie reagują piskiem: „Nie rób mi zdjęcia!” i nakrywając głowę bieżnikiem, lądują z miejsca pod stołem. Trudno odmówić im słuszności. Nie ma bowiem nic gorszego od niezliczonych, świecących gąb na portalach społecznościowych. Nie ma nic gorszego od dzisiejszego poranka, w którym ten śmiertelny

kadr zakrztusił mnie kawą.

Po co w ogóle robić komuś zdjęcia? Czy to naprawdę jest zapis życia? Czy może raczej pstrykanie w nieskończoność, bezmyślne tracenie chwil, których już nikt nie przeżywa, tylko konsumuje, gromadzi jak te wszystkie koszulki z H&M? A gdyby tak wprowadzić odgórny zakaz robienia zdjęć w liczbie większej niż jedno? Raz i koniec. Jak narodziny. Jak pierwszy krok. Pierwsza miłość.

Jak śmierć.

O ile zmieniłaby się wartość chwili! Mgnienie oka na wagę złota. Moment jeden jedyny, bezcenny. Bo, który z nich ważniejszy na takich właśnie wakacjach? Czy ten z pokoju hotelowego na tle gęstego od egzotyki kilimu, czy ten ze śniadania w słońcu rozgrzewającym miętową herbatę? Czy może ten z pustyni, z karawaną w oddali? Czy ten wieczorny, wśród palm oazy? Już sama rozterka wydaje się skarbem.

Indianie wierzyli, że robienie zdjęć kradnie duszę. Ile więc można tej duszy kraść? Raz dziabnąć, w porządku. Ale sto, dwieście, tysiąc razy? Co z duszy zostanie? Gdzie dusza powędruje? Na okładkę pisma? Do gazety? Do kocięj kuwety?

Moja dusza jest wypstrykana do zera. Po dzisiejszym spojrzeniu w monitor nic już z niej nie zostało. Tylko spasiony brzydał ze znacznikiem: Kasia. Tak, to ta Kasia. Z szarymi włosami i cellulitem.

Boże, czemu jestem taka beznadziejna, czemu taka byle jaka? Co będzie, jak zobaczą to zdjęcie? Jak się dowiedzą? Jeszcze nie widzą, jeszcze mogą udawać, że jestem ładna, jeszcze się kreuję, jeszcze się miotam, jeszcze mam w CV dwa fakultety, jeszcze piszę felietony dla gazety, jeszcze zbieram lajki. Ale zaraz, za chwilę, cała ludzkość zobaczy to zdjęcie na Facebooku i będzie jasne. Wszystko wyjdzie na jaw. Okaze się, że tak naprawdę jestem gruba i brzydka, głupia, beznadziejna i nie umiem pisać.

A ten facet, ten prowadzący, jak on się nazywa? Bartek? Ten przystojniak kiedyś proponował mi piwo, zapraszał, chciał się spotkać. A teraz nawet nie wspomniał, nawet się nie zająknął, przecież wiadomo, każdy by się wycofał, nikt by z takim



paszczurem na piwo nie poszedł.

Może jednak usunę ten znacznik? Może jeszcze nie cały świat się dowiedział? Ale nie, nie mogę. Jeśli to usunę, to zwrócę uwagę, to zaczną sobie wysyłać, zaczną się nabijać, robić memy. Już to widzę. Ze skrzynki na skrzynkę, cała firma ma ubaw: patrzcie, jaka ta Kaśka jest brzydka? Widzieliście tę fotę na fejsie? Matko święta, jaki potwór, a myśleliśmy że całkiem ładna z niej laska. Wydawało się nam! Bo ona tak udawała i teraz jeszcze dalej udaje, a co gorsza, ona wszystkich nabiera, że coś niby umie, że mówi po angielsku, że po niemiecku i jeszcze po rosyjsku, a prawda jest taka, że nie zna żadnego języka, nawet dobrze polskiego nie zna, po prostu nie umie nic.

No i brzydka jest.

Nie mogę usunąć znacznika ze zdjęcia. Nie mogę zrobić nic, siedzę jak sparaliżowana, bez czucia, bez ruchu, bez nadziei. Jeśli usunę znacznik, to się przyznam, że to zdjęcie jest dla mnie ważne, że mnie zdemaskowało, że jestem obleśną, starą i grubą babą, która nie umie pisać i ściemnia od pięciu lat na swoim blogu, wrzucając zdjęcia po obróbce w Photoshopie. Jeśli usunę to zdjęcie, to pokażę całemu światu, że mi zależy, tak bardzo mi zależy, żeby nikt nie poznał prawdy. Że tak strasznie chcę, aby cała ludzkość myślała o mnie inaczej, żeby myślała, że jestem piękną i mądrą kobietą, a nawet do końca nie jestem nawet kobietą, bo nigdy nie mam okresu, ani żadnych takich rzeczy, fu!

I okropnie, beznadziejnie boję się prawdy, a prawda jest taka, że jestem gruba i brzydka i nie umiem pisać. W tej chwili, zaraz, za moment cały świat się dowie o tym, już mi nie odpisują z redakcji na maile. Ha, ciekawe czemu? Na pewno dlatego, że się dowiedzieli, odrzucili mój tekst, to jasne, przejrzeni na oczy, każdy by przejrzał, jakby zobaczył tę fotę na fejsie.

\*\*\*

To było spotkanie po pracy, jakaś rocznicowa feta, siedem kobiet, piwo i grill. I jak zwykle, po trzecim browarze dyżurny temat: faceci. Mój facet to, mój facet tamto. Taki i owaki, leń,

obibok, nieczuły, egoista i drań. Ale i tak jestem o niego zazdrosna jak lwica, przegryzę grdykę każdej lafiryndzie, która się do niego zbliży. Takie tam. Typowe gadki wyluzowanych, wyemancypowanych, niezależnych kobiet. Typowa mantra kobiet oderwanych na chwilę od swojego kieratu, którym przecież gardzą, bo teraz mają zupełnie inne spojrzenie na świat, są wyzwolone, mają fajną pracę, a po powrocie piorą skarpetki swoim mężom, którzy wyznaczają sens ich życia.

Jest mi źle, ale zabiję każdego, kto odważy się to zmienić.

I nagle odzywa się Barbara, piękność niebiańska, matka dwójki dzieci, żona z obrazu, wierna i nieskalana, wyprasowane wszystkie koszule na blachę. I oto, ku radości towarzystwa, zaczyna opowiadać o tym, że raz na pół roku wdaje się w „nic nie znaczący” romans, kontrolowaną burzę uczuć, coś bez większych konsekwencji, ale z dużą dozą upragnionych emocji. To jest jej bardzo potrzebne, właściwie nieodzowne, tym się karmi i żyje dzięki temu w tym drugim wymiarze, po drugiej stronie lustra, z innym odbiciem: piękniejszym, lepszym, bardziej atrakcyjnym.

- Po co to robisz, Basiu?

Basia patrzy na mnie zdumiona, patrzy na mnie pozostałe pięć par oczu tak, jakbym spadła z Księżycy. Jak to: po co? A ty tego nie robisz? Tobie to niepotrzebne?! Żartujesz chyba, Kaśka. Ty tak na serio czy za mało wypijaś? Weźcie jej dolejcie, może skuma. Przecież to jest sens ogromny, to właśnie jest ta metoda, to narzędzie do lepszego samopoczucia, do utwierdzenia się w przekonaniu, że jeszcze nie wszystko stracone, że jest się jeszcze „w obiegu”. Chociaż tu dom, mąż, skarpetki i pranie, to ktoś na tym świecie się za nami ogląda, komuś się jeszcze podobamy. Bo przecież nie wystarczy, że podobamy się mężowi, mąż to fototapeta naszego poukładanego domu, zdjęcie na Twitter a. Tu liczy się ktoś poza światem, poza układem, ktoś tam inny.

To nic, że ten ktoś może się zaangażuje, że może będzie cierpiał, może nawet i nas tym swoim cierpieniem draśnie, kto wie. Najważniejsze jest to, żeby wiedzieć, że jesteśmy czegoś warte, czegoś więcej niż tylko mąż i dwoje dzieci. Bo mąż i

dwoje dzieci to owszem, sprawa pierwszorzędna, taki certyfikat na życie, żeby nami - pisma kobiece, sejm i senat z proboszczem na czele - nie pomiatali.

Ale jeśli chodzi o to wewnętrzne poczucie zajebistości, to jednak żadne to świadectwo, żaden gwarant fajnego odbicia w lustrze. Mąż to mówi: „Co na obiad?”. Albo: „Gdzie moje skarpetki?”. A tu chodzi o to, żeby sprawdzić, czy to się jeszcze kręci, czy ten rodzaj atrakcyjności jeszcze działa, bo przecież bez tego romansu, bez tego zakręconego na naszym punkcie faceta, bez tych jego tanich wyznań, bez SMS-ów, że jesteśmy JESZCZE całkiem fajne laski - same byśmy tego nie wiedziały.

\*\*\*

Ile razy lustro towarzyszy ci w życiu? Ile razy je dźwigasz ze sobą? Kiedy przechodzisz ulicą, gdy spotykasz się z kimś na mieście? A może podczas konferencji, w pracy? W łóżku? Przy zgaszonym świetle? Jest tam z tobą?

Masz je ze sobą zawsze. W każdym momencie, przy każdej okazji. Zaczarowane lustro twojej wyobraźni działa. Żeby zakłócić świat we własną publiczność, żeby poderwać do owacji na stojąco. Ile poprawiania włosów, ile napięć mięśni! Nawet wtedy, gdy ktoś cię nudzi, gdy przewala się w tobie niechęć i rezygnacja. Przecież niechęć i rezygnację trzeba czymś przykryć, zatuszować, zataić. Zataja się więc przyklejonym uśmiechem, imitacją zachwyty i nieszczerą uwagą. Jezu, jak ja słucham! Tak słucham, że wszystkie moje myśli zjeżdżają do bazy, wszystkie się kumulują i mobilizują, jakby tu nic nie usłyszeć. Pojęcia nie mam, co tu się mówi! Pojęcia nie mam zielonego, ale przecież muszę udawać, że wiem. Muszę udawać, że się znam, bo za chwilę ktoś się połapie, że gównonozie znam i dopiero będzie wstyd. Zaraz moje lustro wyjawi prawdę, a ja za żadne skarby świata nie chcę prawdy pokazać! Więc w życiu nie zapytam, nie poproszę o wyjaśnienie, bo przecież w lustrze pojawi się natychmiast głupia blondynka, co spraw elementarnych nie zna, nie wie, wiadomo, baba.

Nie wiem!

Ale sama się przed sobą, przed swoim zwierciadłem się nie przyznam, że nie wiem! Sama przed sobą będę się nabijać z wyśmianej przez całą Polskę dziennikarki, bo co za pustak, nie znała Grotowskiego, jaki wstyd!

Prawda jest taka, że sama za bardzo o nim nie wiedziałam. O Boże, żeby tylko nikt nie odkrył tego, że nie wiedziałam! Żeby nie odkrył, że jednak jestem tłukiem, że nie znam niemieckiego, że nie umiem pisać, że magisterki nie zrobiłam, że matka się ze mnie nabijała, gdy miałam dwanaście lat, bo nie umiałam prawidłowo powiedzieć „Chile”. Że nauczycielka razem z całą klasą pokładała się ze śmiechu, bo nie wiedziałam, co to RWPG. Kurwa, rozumiecie: RWPG!

Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

Kto dziś wie, co to RWPG?! Jakie to dziś ma znaczenie? Ale ja wtedy nie wiedziałam, ja się wstydem pokryłam jak fornirem, na całe swoje życie, na stałe, na amen. Nie, czekajcie, tym fornirem zaczęłam się pokrywać już wcześniej. Już w przedszkolu, kiedy pani od maluchów rozebrała mnie za karę do naga i kazała wszystkim dzieciom na mnie patrzeć. Więc wciąż kupuję ciuchy i wciąż usiłuję się ubrać. Zanim wyjdę z domu, przebieram się dwadzieścia razy. A potem śni mi się, że przemykam po mieście zupełnie naga i zawstydzona do bólu tętnic, obnażona do szpiku kostnego. Nigdy nie zdołam się ubrać tak, żeby się wystarczająco przykryć. Nigdy nie nauczę się tak, żeby wszystko wiedzieć. Dlatego dziś udaję, że odkryłam Amerykę, że opracowałam dwumian Newtona. Rozdaję uśmiechy, robię mądre miny i błyszczę nową kiecką, tym swoim fornirem olśniewam, oślepiam, strzelam fajerwerkami, żeby tylko nikt mnie nie zdemaskował. Ale ja w szafie nie mam żadnej szalowej kiecki. Przyszłam w pożyczonej, z przeceny, niemodnej, okazyjnej szmacie. Zbyt szykownej albo zbyt skromnej. Zbyt czerwonej, zbyt turkusowej. Zawsze wszystko będzie „zbyt”. Ja tu nie pasuję. Ja jestem gołą. W dodatku wcale nie odkryłam Ameryki i nie mam nic wspólnego z dwumianem Newtona. Prawda jest tak, że nawet te zwroty nie są moje, nie ja to wymyśliłam, raczej to gdzieś przeczytałam i zmałpowałam. Ale jeśli ktoś to odkryje, to umrę ze wstydu, jak

wtedy na golasa w przedszkolu, jak wtedy, gdy nie wiedziałam, co to RWPG i nie umiałam przeczytać „Chile”.

\*\*\*

Same piątki od góry do dołu. Same piątki, a w domu mówią, że lecę na opinii. Że to przypadek. Że w końcu się na mnie poznają. Że prędzej czy później okaże się, że gównu wiem, nie to, co Ela Kozior.

Tabliczki mnożenia nawet nie znam. Nic nie umiem. Nadymam się jak balon, mówię zbyt głośno, przekrzykuję, nikogo nie słucham i tylko non stop gapię się w swój wystudiowany dzióbek w lustrze. Spalam cały swój zapas magnezu, żeby tylko nie rozsznurować się, nie odpiąć tej agrafki, którą zapięłam własny oddech. Która mnie teraz uwiera w płucach i tak naprawdę jej szczerze nienawidzę. Ale przecież nie mogę jej odpiąć, bo muszę teraz, szybko, natychmiast wszystkich przekonać, że jestem fajna! A nade wszystko muszę przekonać samą siebie, choć na chwilę, na krótki moment spojrzeć w oczy komuś innemu i w tych oczach znaleźć potwierdzenie, że jestem idealna. To znaczy: muszę być. Muszę być lepsza, wyprostowana, wyrzutowana. Nie jestem? Rozglądam się po sali, hej jest tu ktoś, kto już zemdlął z zachwyty? Jest tu ktoś, kto już umarł z miłości? Kto szaleje z zazdrości, rozpaczy, oczarowania? Czy już wszyscy skupili wzrok na mnie?

Bo jeśli nie, to ja się za chwilę uduszę. Przecież ile mogę stać na bezdechu? Ile mogę wciągać brzuch? Ile mogę wysmuklać twarz? Ile czasu stać ze ściągniętymi do tyłu ramionami? Jak długo, do cholery, mam robić ten dzióbek?!

\*\*\*

To się zaczęło już kiedy byłam dziewczynką. To się będzie ciągnąć przez kolejne lata będzie się wypalać do końca życia. Maski. Maski, nieodłączna część mnie, moja zbroja.

Znasz to? Ktoś cię obraża i się z ciebie śmieje, a ty kompletnie nie wiesz, co z tym zrobić, więc śmiejesz się razem z nim i wmawiasz sobie, że w ogóle to ciebie nie rani? Ale jednak

trochę rani, jednak coś uwiera, więc jeszcze próbujesz powiedzieć, że ci przykro.

Przykro mi.

Nie, nie jest ci przykro. Nie możesz tak reagować!

Wyluzuj, masz fioła na swoim punkcie. Na żartach się nie znasz. Nie rób scen.

To nie robisz scen. Kiwasz głową, faktycznie, chyba mam fioła na swoim punkcie, nie znam się na żartach. WYDAWAŁO mi się. No to bach, obrażajcie mnie wszyscy jak leci, śmieście się ze mnie do rozpuku, teraz już nic nie powiem, nie zaoponuję, udowodnię wam i sobie, że nie mam fioła na swoim punkcie i na żartach się super znam. Następnym razem bardziej się postaram, następnym razem nie będzie mi przykro, gdy będzie mi przykro!

I to wcale nie znaczy, że sobie pójdziesz w swoją stronę ze swoim „przykro”, że więcej tak nie będzie. Ależ będzie! Będzie po tyśiąckroć. Bo przecież pozwalasz na to, bo właśnie tak jest fajnie, śmiesznie, dowcipnie. Bo nie umiesz nie pozwalać. Nie nauczyłaś się. Nauczyłaś się za to, ha, ha, ha, śmiać. Więc znosisz ze śmiechem tę przykrość, twierdząc, że w ogóle jej nie doświadczasz. Bo przecież jesteś ponad. Ponad swoje uczucia, ponad rozpadlinę w duszy, ponad to, że świat ci się rozjeżdża, obsuwa, że tracisz pewność siebie, gaśnie ci ten płomycek, który i tak ledwo się tlił.

Ale nikt tego nie widzi, bo ekspresowo wyciągasz swoją maskę pajaca i trach, już jesteś bezpieczna. Już nie jesteś przezroczystą, rozmazaną szarą myszką. Już odbijasz się w lustrze. I to jak się odbijasz! Aż po oczach daje ten uniform w jaskrawe groszki! Aż oślepia ten blask cekinów! Jesteś połyskującą zabawką, koniem na biegunach, karuzelą w wesołym miasteczku, jesteś całym wesołym miasteczkiem! Śmiech to twoja zbroja, ucieczka od łez, o których pamięć boleśnie uwiera, o których nie możesz zapomnieć. Sklejasz wszystkie złe humory i czarujesz tęczę. Rozglądasz się wokół, kogo by tu uszczęśliwić, kogo tu oczarować. Nikt nie może przejść obok ciebie obojętny. Wszyscy cię uwielbiają.

Tylko że tam pod spodem wcale ciebie nie ma.

\*\*\*

Ela Koziar mówiła, że jestem chłopak na opak. W moim życiu wszystko było na opak. Jak byłam mała, to musiałam szybko dorosnąć. Jak byłam mała, po kuchni latały talerze, a buty kłócących się rodziców leciały przez okno. A ja siedziałam na podwórku z innymi dziećmi i robiłam potworne szoł, żeby nikt nie zauważył lecających przez okno butów, żeby nikt się nie zorientował, że to moje okna trzaskają na całą ulicę.

I wszyscy na mnie patrzyli.

To jak mam być teraz przezroczysta? Jak mam nie chodzić w kolorowym uniformie? Jak mogę wyluzować się przed lustrem? Jak mam dopuścić do oznaczenia mnie na Facebooku bez Photoshopa?

Pierwsze słowo, jakie nauczyłam się pisać, było na A. Ale to nie była Ala, co ma kota. Ja tę Alę miałam w nosie. Ja ją miałam w małym palcu, ogarniętą gdzieś na przerwach, między wierszami, intuicyjnie, przez sen. Ja w tym czasie musiałam się nauczyć słów o wiele trudniejszych.

A jak awantura.

B jak bimber.

K jak kurwa twoja mać.

R jak rozwód.

P jak paszczur.

## PASZCZUR

Któregoś dnia w szkole, na lekcji fizyki Izka powiedziała, że jestem ładna. Nie, nie piękna, nie olśniewająca. Ładna.

To było o tyle zdumiewające, że w owych czasach wszystkie dziewczyny określano mianem: „paszczur”. Dziś niewiele się zmieniło.

Zapamiętałam to wydarzenie. Mam to opisane w pamiętniku. I wiem, że choć tak dobrze zapamiętałam tamtą chwilę, w ogóle nie rozumiałam tych słów wypowiedzianych przez Izkę. Zawisły nad nami na tej fizyce, gdzieś między pierwszą a drugą prędkością kosmiczną, i utknęły w czasoprzestrzeni. Spojrzałam na nią wtedy zdumiona, potem w zeszyt, i tak już zastygłam. Pojęcia nie miałam, co z tym się robi. Czy w ogóle coś się robi? Gdzie toto wylądowało? Czy to jest po jej, czy po mojej stronie? Czy to podstęp, czy może dar? Czy mam się teraz odwdzięczyć, czy podziękować? Czy milczeć? Czy uciekać? Fajne to, niefajne? Mądre, niemądre? Co to właściwie jest?!

Może to jakiś kod? Alfabet Morse’a? Tajemny komunikat, którego ukryty cel odkryję po zaliczeniu pierwszej klasy?

Nie zaliczę tego w pierwszej klasie. Maturę na tym obleję. Po pierwszym roku studiów będę w dupie. Po odebraniu dyplomu też. Z drugim dyplomem podobnie. Nie ruszę o krok. Żeby zabrać się za temat, będę potrzebowała całego życia. Chwila, w której zacznę rozumieć ten skomplikowany komplement, będzie początkiem końca jego znaczenia. Początkiem pojmowania twierdzenia Izki i końcem dążenia do ideału.

\*\*\*

Kobieta idealna jest perfekcyjną panią domu. Troskliwą żoną i matką. Świetną kucharką. Jest cnotliwa i wierna. Mądra. Niezależna. Piękna i seksowna. Inna. Nie taka jak ja. Ale się



staram. Już niedługo nią będę. Jeszcze tylko zrzucę pięć kilo, jeszcze wykupię kurs angielskiego dla dzieci. Basen i rolki. Kurs tańca hiszpańskiego. I wezmę dodatkowy etat.

Jeszcze tylko zrobię dermabrazję. I laserowe usuwanie cellulitu. I wypełnię botoksem zmarszczki. Nauczę się piec trzypiętrowy tort. I gołąbki dla teściowej. I kolorowe kanapki dla dzieci niejadków. Zrobię karierę, a w domu zaprowadzę perfekcyjny porządek. I znajdę czas dla przyjaciółki, którą rzucił mąż, chociaż tak się starała, zrzuciła pięć kilo, usunęła cellulit, zrobiła dermabrazję, wypełniła zmarszczki, skorygowała owal, robiła gołąbki i kolorowe kanapki dla dzieci niejadków, a z tortu salto mortale.

\*\*\*

Mówcie, co chcecie, płaczcie, obrażajcie się. Trudno. Nic nie poradzę na to, że wszystkie żale, lęki, zawody, nasze nieszczęśliwe związki, doświadczone przez nas zdrady, głuche telefony i nieistniejące SMS-y, nigdy nie doczekane odpowiedzi na listy - wszystko to nasza wina. Nasza wina, gdy nadętej ciotce nie podoba się odziedziczony po tatusiu sposób stawiania stóp. Nasza wina, że mamy trzy włosy na krzyż w kolorze popiołu. Nasza wina, że lecą buty przez okno.

Chyba nie muszę wspominać, czyja to wina, że mamy z matematyki cztery plus, nie pięć?

Nasza wina, nasza wina wielka, kolektywna, zbiorowa. Jeśli nawet któraś głowę podniesie i powie: „Winę za gwałt ponosi gwałciciel”, to zaraz zerwie się jedna z drugą, i z trzecią, i ze sto pięćdziesiątą i wrzasną:

„Nieprawda, to wina tej dziwki z dekoltem!”.

Jeśli doświadczenie pokazuje, że nadszkakiwanie facetowi prowadzi do klęski, niezbyt przyjemnego traktowania, w końcu odejścia do jakiejś stanowczej zołzy, której to nasz pan z upodobaniem wiąże rzemyk u trzewika, to niech sobie pokazuje. My kobiety wiemy lepiej. My mamy swój nieskażony progresem schemat zachowań, który polega na tym, że do końca swojego żywota będziemy nadszkakiwać kolejnym

panom, a panowie będą nas porzucać, a my będziemy nadskakiwać, a oni porzucać, na wieki wieków amen.

Jeśli, założmy, wszyscy nam mówią, że jakieś dziewięćdziesiąt osiem procent facetów jest w stanie oszaleć na punkcie babki, która jest skupiona na sobie i ma ich w nosie, to nie ma takiej siły na świecie, żebyśmy miały faceta w nosie i zainteresowały się sobą. Przeciwnie. Całą swoją energię, każdą minutę swojego jestestwa kumulujemy z precyzją lasera właśnie na nim i na wszystkim, co z nim związane. To właśnie w tym, który ma nas festiwalowo w nosie, w tym Hanzim, który jako jedyny nie kupował kwiatów, nie rysował portretów i niewiele sobie robił z tego, że umówił się na szesnastą - to właśnie w nim ulokujemy całą swoją energię i wszystkie nadzieje.

I - nie dla siebie! - dla NIEGO będziemy się przebierać w coraz bardziej cudaczne fatalaszki, będziemy stapać na coraz wyższych obcasach, bo on coś tam kiedyś chlapnął na widok jakiejś wystrzelonej cizi w Internecie. Na marginesie, gdy złamiemy nogę spadając ze schodów, pies z kulawą nogą nas w szpitalu nie odwiedzi, bo ukochany dawno straci głowę na punkcie jakiejś flądry w trampkach, która w dupie ma jego ulubione wysokie obcasy i jego trochę też. Zanim, skute gipsem, zaczniemy się rozglądać, co tu się właściwie stało, przypomnijmy sobie, czyja to wina.

Jeśli matka z babką przekonały się w swoim cierpiętniczym życiu, że nie ma na świecie gorszego faceta od:

- ° mężczyzny rozpieszczonego,
- ° mężczyzny niezaradnego,
- ° zimnego drania

- jak wychowają swoich synów? Otóż najpierw ich skwapliwie rozpieszczą, potem na każdym kroku wyręcą, opieką bliską uduszeniu zabiją w nim każdą inicjatywę, by na koniec piąć z satysfakcją, jaki z niego zimny drań.

Jeśli żona tego drania nagle odkryje, że wieczór bez niego (np. z koleżankami) ma tę przewagę nad wieczorem z nim, że człowiek się beztrudnie śmieje przez bite dwie godziny, nikogo nie udaje i co ważne: nie cierpi, czy wyciągnie z tego wnioski, że lepiej spędzić życie przyjemnie? Ależ skąd! Zaraz potem

wróci do swojego drania, by prosić go o kolejne ciosy. Myślicie, że Ola po tamtym majowym incydencie dała Arturowi kosza? Nie rozśmieszajcie mnie. To on dał kosza jej. Kiedy zobaczył dwie kreski na teście ciążowym.

\*\*\*

W Polsce nie ma pięknych kobiet. Prawda jest taka, że możecie być piękne jak zorze, wesołe jak strumyki wiosenne, czytane, błyskotliwe i mądre. Możecie mieć brzuchy o fakturach paneli grzewczych, a nogi sięgające nieboskłonu. Możecie mieć w oczach tonie wszystkich oceanów świata, a usta jak dojrzałe wiśnie. Możecie swą urodą budzić ze snu kwiaty, które w swym zachwycie kłaść się będą do waszych wypielegnowanych stóp. Wasze głosy kochać będą słowiki, trelujące nocą pieśni na waszą cześć. A wasi koledzy z brzuchami pękatymi od nadmiaru tyskiego, zanosząc się zdrowym męskim rechotem prezentującym ubytki w żuchwach, zgodnie podsumują was takim oto soczystym określeniem:

Paszczur!

Nie obrażajcie się. Myślicie, że ja piszę o was? Ha, ha. Dobre sobie. Ja dźwigam swoje lustro od najmłodszych lat, ja w kółko piszę wyłącznie o sobie. Ja nie jestem narratorem wszechwiedzącym, jak to ma w zwyczaju Jerzy Pilch. On jest mężczyzną, to sobie może być narratorem wszechwiedzącym. Ja jestem kobietą. Ja jestem narratorem nic nie wiedzącym, obecnym w każdej osobie swoich wywodów, nic nie wiedzącym narratorem wszechosobowym. O kimkolwiek nie napiszę, to będzie ja. To będzie o mnie. To jest o mnie.

I to ja jestem paszczurem!

Ile razy w życiu spotkałam się z krytyką swojego ubioru! Ile razy zrezygnowałam z kiecki, bo komuś się nie podoba! Bo „za krótka”! „Za długa”! Jakaś tam! Kiedyś rozpisywałam się w pamiętniku nad tym, w co się ubiorę, gdy już wreszcie wrócę z Niemiec i spotkam się z Hanzim. Cztery strony drobnym maczkiem. Cztery strony poświęcone temu, jaką bluzkę, jaką spódniczkę, jakie buty, jaką bransoletkę, w jakim kolorze, do jakiej fryzury, do jakiej opalenizny. A jak

będzie padać? A jak mi skóra zejdzie od tego wściekłego opalania się na naftę? To wtedy co?

Zeszła. Zeszła mi skóra z twarzy. Wszystko na nic. A przecież opalałam się przez bite dwa miesiące po to, żeby Hanzu zobaczył we mnie bratnią duszę. Żeby mnie polubił.

Cztery strony emocji napiętych jak struna, cztery rozdygotane strony nadziei, że jak się ubiorę ładnie, to może wtedy on mnie potraktuje serio, tak od serca, po ludzku, jak kogoś ważnego, kogo nie należy robić w balona?

Czerwona sukienka. Czerwona sukienka na pierwszej randce, na której zgasłam przy brokatowych tancerkach Hanziego. Czerwona sukienka jak krwisty sztandar porażki. Tylko że cokolwiek bym nie założyła, byłoby porażką. Porażkę mam w genach, we krwi, w szafie. I nieważne, jak drogi, jak modny ciuch kupię. Zawsze będzie nie tak.

Ubiór jest jak kombinezon kosmonauty chroniący przed niszczącą pustką kosmosu. Przykrywam się nim, kupuję kolejne jego warstwy, wierząc, że to mnie uchroni przed odrzuceniem.

Nie uchroni.

\*\*\*

Gdy mój ojciec przyjechał, właśnie skończyłam podstawówkę. Na świadectwie miałam SAME piątki od góry do dołu. Whisky nie zdał do następnej klasy, co mi niezwykle imponowało. Urywaliśmy się z domu nad jezioro, łowiliśmy ryby, paliliśmy skręty i słuchaliśmy punk rocka z magnetofonu kasetowego. A tu nagle: bam! Ojciec.

Przyjechał i z miejsca chce mi kupić prezent! Nie byle jaki prezent. On chce mi kupić prezent panaceum, który wyleczy cały ten brak, niezrozumienie, który zetrze z pamięci te wszystkie kobiałki truskawek, za które nie zdołałam kupić sobie džinsów. Ale nie, to nie mają być džinsy. Zresztą ja już nie chcę džinsów. Ja mam wybór: albo pies, albo telewizor.

Pies albo telewizor!

Opowiadałam to Whisky'emu głosem zduszonym z rozbawienia, bo wybór ten wydaje mi się tak nedorzeczny, że

zasługuje na wspólne go wyśmianie. Pies albo telewizor, Whisky, kumasz? Umrę chyba! Pies albo telewizor! Co to w ogóle za alternatywa!

Ale Whisky w ogóle się nie śmieje, patrzy z niepokojem na mnie i pyta, czy już wybrałam.

Jak to: czy wybrałam?! Czy on nie rozumie, że mówię to dla jaj? Sorry, bracie, ale ja takie zagadki rozwiązuję z prędkością światła. W wieku dwóch lat recytowałam *Pchłę Szachrajkę* jak z nut, żeby się przypodobać tacie. Ja za akceptację i miłość - czyjąkolwiek - dałabym się pokroić. Jak w ogóle mogłabym się zastanawiać? Tu nie ma nad czym się zastanawiać! Ja zaraz pęknię ze śmiechu, Jezus Maria, ty, Whisky, tak na serio? Jak można w ogóle to porównywać, jak można to zestawiać! Na cholerę mi jakiś głupi telewizor? Po co mi jakaś pierdząca rzecz?! Matka ma telewizor przecież, wystarczy po dziurki w nosie. Kiedy byłam mała, szlag mnie trafiał, gdy w wakacje puszczała Janosika w telewizji, bo ty i Ola nie chcieliście się ze mną bawić, tylko oglądać telewizję! Tyle do zrobienia, tyle drzew do obskoczenia, tyle strychów do zdobycia, tyle jezior do przepłynięcia, tyle ryb w tych jeziorach do złowienia, a wy przed telewizorem! Boże!

Pies to co innego, pies to przyjaciel, to przytulanie, to niekończące się rozmowy, to wspólne spacerowanie, to czterdzieści kilo miłości, dokładnie tej samej, której mi do bólu kości brak!

- No i co wybrałaś?

- Jak to: co? Nie co, tylko kogo! No oczywiście, że psa!

- Ty to jednak pierdolnięta jesteś.

Drugi raz nie popełniłam błędu z tamtej pamiętnej chwili, kiedy Izka obdarzyła mnie wyznaniem o mojej urodzie na fizyce. Tym razem zachowałam się godnie. Znałam Whisky'ego na tyle żeby wiedzieć, że są to słowa uznania. I uznałam je za komplement.

\*\*\*

Komplement to wielka rzecz. Zaczarowany eliksir, krem Azazella, środek odmładzający i uszczęśliwiający.

Komplementy są zjawiskiem niezwykłym, zwłaszcza w naszym kraju. O ile w ogóle się pojawiają, wywołują często skutek zupełnie odwrotny od zamierzonego. Izka powiedziała mi spontanicznie, że jestem ładna. I teraz co? Wyobraźcie sobie ten niechciany prezent, z którym diabli wiedzą, co robić. Człowiek się potem głowi, węszy, boi. A tam tyka bomba zegarowa, a tam się kotłują węże.

Każdy komplement, nawet najbardziej wyszukany, warto na wszelki wypadek od razu zamordować. W Polsce notuje się liczne przypadki mordowania komplementów. Aby skutecznie zamordować komplement, należy na niego zareagować, na przykład wątpliwością - czyli nie wierzymy na słowo. Słyszymy: „Jesteś piękna” i żądamy zapewnień: „Naprawdę?”, „Nie kłamiesz?”, „Przysięgnij!”. Inna reakcja na komplement to podejrzliwość. Sprawdza się świetnie w tej szerokości geograficznej. Skoro ktoś nam mówi coś miłego, z pewnością czegoś chce. Albo, co gorsza, coś przeszkobał. Po usłyszeniu komplementu należy błyskawicznie i ostro zareagować oskarżeniem: „Pięś!”.

Jest jeszcze możliwość awantury. Ja się na awanturach znam doskonale, wyssałam z mlekiem matki. Dlatego, gdy ktoś mi mówi coś miłego, robię z miejsca aferę. Skoro już ktoś prawi pochlebstwa, niech się liczy z konsekwencjami. Bo każdy komplement jest doskonałym powodem do zrobienia awantury. Przykład: „Ładnie ci w zielonym”. „A co, może w czerwonym źle?!”

Inna reakcja, też sprawdzona przeze mnie, to obojętność. Broń najskuteczniejsza, niezwykle prosta. Na każde pochlebstwo wzruszamy ramionami. „Jesteś boska!”. „E tam”. „Masz piękne oczy!”. „E tam”. „Piękna i mądra!”. „E tam”. „Ładna sukienka”. „E tam, stara”. Prawda, że działa? No i wreszcie negacja. Cokolwiek miłego usłyszymy, idziemy w zaparte. Zaprzeczamy, skrupulatnie argumentując, dlaczego mamy rację. Tę sytuację doskonale opisuje przykład z życia wzięty. Do sklepu przychodzi para, on i ona, jak się z rozmowy okazuje: Sebastian i Dżesika. Sebastian ma w sklepie służyć za doradcę, Dżesika kupuje spodnie. Dżinsy. Bierze dwie pary,

idzie do przymierzalni, Sebastian zalega na sofie. Dżesika się szamoce w przymierzalni dłużej chwilę, w końcu wychodzi w dżinsach numer 1, a z Sebastiana wystrzela następujący wywód:

- Jezus! Boskie! Mega! Czad! Dżesika! Bierzemy! Kotek! Wyglądasz bosko! O rany! Brak mi słów! Masakra! Jakie kształty! Jaki fason! Bierzemy! Ściągaj, idę płacić! Nic już więcej nie przymierzaj! Te i koniec! Perfekcja! Doskonałość!

Dżesika z miną skrzywioną zerka to na Sebastiana, to w lustro, aż w końcu stwierdza z przekonaniem:

- Chyba cię porąbało. Wyglądam jak gruba Świnia.

- Co ty gadasz za głupoty, dziewczyno! Wyglądasz pięknie! Bajka! Miód! Dawaj te dżinsy, ja płacę! Masz śliczny tyłeczek, w tych dżinsach to już absolutny kosmos! Kupujemy!

- Przymierzę te drugie.

- Nie trzeba! Szkoda czasu! Te są świetne!

- Idę mierzyć.

Dżesika znika, Sebastian czeka, po chwili:

- Boże! Te są jeszcze lepsze! Nie wierzę! Czad! Jesteś piękna! Bierzemy obie pary!

- Co ty pierdolisz, mam dupę jak trzydrzwiowa szafa.

## NARZECZONA

Po raz pierwszy ujrzał Zośkę na dworcu w Kętrzynie. Siedziała na murku w krótkiej sukience i patrzyła gdzieś w niebo, może na dym z parowozu? Jej kasztanowe włosy lśniły w słońcu. Wskoczył z pociągu, pobiegł na przełaj przez dwa torowiska, schował się za budynkiem dworca, zamknął na chwilę powieki i spytał sam siebie: „To ona?”.

I wszystko tak w nim krzyknęło, że aż się przestraszył. Znów złapał oddech, odwrócił się i, raz kozie śmierć, poszedł prostym krokiem. W powietrzu unosił się ciężki zapach. Tuż obok dworca była cukrownia. Słodki zapach przetworzonych w cukier buraków wypełniał dworcową dzielnicę. Pomyślał, że jest tak słodko, że nic nie trzeba mówić. Przecież już cały kosmos wie, że to właśnie ona. Więc po co słowa?

Jednak się odezwał:

- Na kogo pani tak czeka?

Zośka spojrzała mu prosto w oczy i odrzekła:

- Na pana.

\*\*\*

Wiosna. Kolejna wiosna. Pierwsza z ostatnich wiosen w moim życiu.

Sukienkę trzeba kupić!

Prawda jest bowiem taka, że ja mam wszystkie kiecki za krótkie. Za małe, za wąskie, za ciasne, niestosowne. Cała moja szafa zatrzymała się w ubiegłym stuleciu, gdzieś w czasach kortowskich przygód w studenckich klubach, nad jeziorem, w lesie, w godzinie pąsowej róży. Jestem z małego miasta, a w małym mieście jest wielki kompleks i zero kiecek.

Ubrania mam kuse, oszczędne, niezbyt rozbudowane, jakbym się nie potrafiła zdecydować na kupno czegoś skończonego w swej definicji. Jakbym nie wiedziała, w czym, oprócz



zakrywania, rzecz? Jak wyrazić siebie, jak się określić, skoro sama nie wiem, kim jestem? Czasem, po wielominutowym staniu przed szafą, wydaje mi się, że wszystko w niej zostaje, podczas gdy ja defiluję przez życie obnażona, bezbronna, niedojrzała.

Może jak kupię kolejną kieckę, dorosnę?

\*\*\*

Zanim dorosłam, dostałam neurozy na punkcie własnej niewinności. Nie, nie chodzi o to, że byłam niewinna, tylko o to, że w oczywisty sposób byłam winna. Byłam winna z powodu tamponu (chyba), a przynajmniej istniało takie prawdopodobieństwo. Kompletnie się na tym zafiksowałam, wpadłam w szal czytania ulotek doczepionych do opakowania i zachodziłam w głowę, czy jest możliwe, abym na skutek aplikacji straciła dziewictwo? Czy istnieje szansa, że nie? Czy - jeśli tak - już powinnam się zabić? Powinnam. To pewne. Babcia mi mówiła, że każda panna młoda powinna mieć wianek. Czy mam wianek? Czy przez ten pieprzony kawałek waty już go utraciłam? Czy mój potencjalny narzeczony powinien mnie z miejsca rzucić, bo nie jestem pełnowartościowa? Kogo zapytać? Kto mi odpowie? Żartujecie sobie? Babcia? Mama? Babci takich pytań się nie zadaje, z matką się nie rozmawia, policzki mi pulsują ze wstydu, zaraz się udławię własną żalosnością.

- Mamo, czy to możliwe, że przez tampon straciłam...?

- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz, zmyj lepiej naczynia.

\*\*\*

Pies miał siedem tygodni, składał się z futra maści czarnej podpalanej, czterech grubych jak u niedźwiedzia łap, zdziwionego światem pyska, migdałowych oczu i nieopisanej miłości. Owczarek niemiecki. IQ sto pięćdziesiąt. Szczyt marzeń. Zachwyty od pierwszego wejrzenia.

Zaczęło się od afery, bo matka nie chciała się zgodzić na psa. Pojechałyśmy do hodowcy tylko po to, żeby powiedzieć, że sorry, ale ojciec niczego z nią nie ustalił. Oni się dawno

rozwiedli, oni ze sobą nie rozmawiają nawet w sprawach kluczowych, nawet w takich sprawach jak wielki pies rasy owczarek niemiecki. Który miałby mieszkać u niej przecież, a ona ma jeszcze dwoje małych dzieci i chyba ktoś tu literalnie oszalał. A konkretnie, proszę pana, oszalał ten niezrównoważony człowiek, ojciec tej dziewczyny. To nie jest pierwsza szajba tego człowieka, to szajba stutysięczna, to jest szajba permanentna! To jest zaburzenie osobowości typu borderline. Albo dwubiegunówka co najmniej.

Święty spokój był, jak go nie było. Ale teraz spokój się z jakiegoś powodu skończył, z jakiegoś powodu ten człowiek przypomniał sobie, że ma dziecko, może dlatego, że ona się tak dobrze uczy, nieprzejętnie, same piątki od góry do dołu, świadectwo z czerwonym paskiem. Ale to przecież nie powód, żeby teraz mi ściągać psa na głowę, słowo daję, nie mógł kupić telewizora?!

Moja matka peroruje, a ja nie mogę. Nie wytrzymam tego. Wypłaczę oczy. Pęknie mi serce. Nie przeżyję.

Piętnaście lat i koniec. Śmierć. Zgon z żalu za psem. Piszcie sobie na nagrobku, co chcecie. W dupie was mam. Mam tylko ogromną nadzieję, że pozdychacie z rozpaczony na moim pogrzebie. Że was sumienie zeżre, że wam nie da spać. Że do końca swoich dni będziecie budzić się na mokrych poduszkach, we łzach i nigdy nie zaleczonym poczuciu winy, że nie pozwoliliście mi na psa i doprowadziliście do śmierci.

Dla mnie osobiście śmierć nie jest straszna. Dla mnie śmierć to bułka z masłem. Od początku swojego istnienia czułam tę śmierć na plecach. Całe moje dzieciństwo było dla mnie jednym śmiertelnym zagrożeniem. Moje pojawienie się na tym świecie - już to było kłęką życia. Dlatego mam dość tej nierównej walki. Znam się na śmierci. Ciągłe ktoś umiera. Bez przerwy robiliśmy z Whiskym jakieś pogrzeby chomikom. Pierwszy pies zmarł mi na rękach, jak byłam dzieckiem. Tamten Misiek, spod dużego fiata. To teraz ja też mogę umrzeć. Moje życie bez psa nie ma sensu. A wy nie pozwalacie mi na psa. Wy nawet ze mną nie rozmawiacie, tylko wygłaszacie odczepione od realiów komunały. Wygłaszajcie

sobie dalej. Dalej się ze sobą droczcie. Dalej rzucajcie w siebie butami. Niech wasze życie będzie wieczną udręką.

Żegnam.

Zgodziła się, ale na innego niż wybrał ojciec. A ja nie wiem już nawet, którego ojciec wybrał, nie wiem też, jakiego wybrała matka. Ja zobaczyłam Dragona, Dragon ujrzał mnie i to był koniec rozmowy.

Oraz początek, nowe otwarcie konfliktu między mną, matką, ojcem: ojcem a matką, mną a matką, ojcem a mną i prawdopodobnie jeszcze między planetą Jowisz a gwiazdozbiorem Andromedy.

\*\*\*

Dragon miał sześć miesięcy, już mu uszy stały, stały i słuchały każdego mojego słowa, a mówiłam do niego bez przerwy. Mówiłam mu, jak idziemy przy nodze, jak nie przyjmujemy poczęstunku od obcych, po co są szczepionki, jak nie prowokować większych i agresywnych psów, jak nie szczekać przy małych dzieciach.

Wszystko rozumiał.

Kiedy matka swoim zwyczajem budziła mnie do szkoły, a robiła to bezpardonowo, co znaczy, że napierdalala w harmonijkowe drzwi i wchodząc w częstotliwość wiertła dentystycznego krzyczała: „Kaśka, wstawaj!!!”, Dragon zrywał się spod mojego łóżka i ciężkim, zdecydowanym basem przeganiał ją w inne przestrzenie domu.

Kiedy z kolei Dragon dostał zakaz wchodzenia do pokoju matki ze względu na jej nowy dywan, jasne było, że sprawa jest aktualna jedynie wówczas, gdy matka w domu jest obecna. Nikt sobie przecież nie będzie zawracał głowy rozdzielaniem przyjaciół z powodu głupiego dywanu, gdy matka jest u pani Krysi, a ja chcę obejrzeć *Dirty Dancing* na video.

Przyjaźń moja i Dragona nie miała sobie równych. Porozumienie naszych dusz splotło się w *team* doskonały. Nie było miejsca, gdzie Dragon by ze mną nie chodził. Nie było słowa, którego Dragon by nie rozumiał. Tym bardziej

nie mogłam pojąć, dlaczego któregoś dnia przyjechał ojciec i tłumacząc, że mam szkołę i na pewno przez tego psa opuszczę się w nauce, z tych swoich samych piątek zjadę na jakieś parszywe cztery plus. Poza tym pies potrzebuje prawdziwej tresury, mocnej ręki, witamin, wołowej karmy i chuj wie, czego tam jeszcze. Zabrał psa do Niemiec.

\*\*\*

Nie wiem, kiedy to się stało. Kiedy romantycznego, cygańskiego, wiecznie nieobecnego amanta zamieniłam na emocjonalnego szantażystę. Pamiętam, że kilka razy chciałam się z tego powodu zabić. Stałam na dachu wieżowca i myślałam, że jest mi wszystko jedno. A potem schodziłam i wracałam do swojego zwykłego życia dziewczyny, która w kółko przeprasza, bo na kogoś spojrzała, bo spotkała się z koleżanką, bo napisała coś głupiego w pamiętniku, bo umalowała oczy, bo użyła tamponu i nie wie, czy jest dziewicą.

Przeszłam z nastoletniego związku z chłopcem, który miał mnie w nosie, do związku z facetem, który rozliczał mnie z każdej myśli. Kompletnie nie widziałam relacji między odwiecznym znikaniem a obsesyjną kontrolą, nie widziałam też związku między zniknięciem sześciolatkiem a trzaskaniem drzwiami w manifeście obrazy za słowo: NIE.

Mój nowy chłopiec miał na imię Jarek i też się obrażał. Obrażał się na przykład za to, że kiedyś kochałam Hanziego. To znaczy, ja nie wiem, czy go kochałam, ale powszechnie wiadomo, że mi się podobał. No więc Jarek obrażał się na to. I zrywał ze mną. Zrywał średnio raz na tydzień, a ja na kolanach go przepraszałam za wszystko. Przepraszałam, bo już nie chciałam więcej tego obrażania się, nie chciałam tych gwałtownych wyjść, tych fuknięć, tego dławiącego chłodu, tego zrywania się z kanapy, tego szarpnięcia kluciami, tego odrzucenia.

Ja chciałam, żeby było dobrze, żeby mnie ktoś przytulił, żeby pogadał, pośmiał się ze mną, żeby wyszedł ze mną na spacer i podzielił tęsknotę za psem. Zeby zrozumiał, że ja lubię książki i poczucie bezpieczeństwa, że właściwie to nic więcej od życia nie

chcę, tylko psa, książkę i przyjaciela.

Zatem przepraszałam. A im więcej było zerwań, tym więcej przeprosin. Potem nauczyłam się, że dobrze działa płacz. Leciąło to mniej więcej tak. Jarek ze mną zrywał, bo według niego go nie kocham, bo go oszukałam, bo umalowałam oczy, a miałam tego nie robić, bo napisałam w pamiętniku, że lubię Izkę, a przecież miałam myśleć, że Izka jest głupia, bo poszłam na lody ptysiowe z Olą. Bo mówił: „No powiedz, powiedz mi szczerze, co wczoraj robiłaś, słowo daję, nie zerwę z tobą”.

Wtedy ja mówiłam jak na spowiedzi, co robiłam i on stwierdzał, że to jednak dla niego za dużo i zrywał. A ja wtedy go przepraszałam, a jak już, już wychodził z furią z mojego domu, stawałam w przejściu i płakałam. Strasznie płakałam. Płakałam i błagałam, żeby nie wychodził, żeby mi wybaczył, żeby mnie nie zostawiał, bo ja go bardzo kocham. On mnie odpychał, a ja wieszałam się mu na szyi i płakałam, i błagałam. On mnie chwycił za przeguby, ścisnął boleśnie i odsuwał od siebie, a ja płakałam i błagałam, i wieszałam się na nim znów.

I tak, kurwa, co tydzień.

Co tydzień.

Już mi nie wystarczało trzaskanie drzwiami mojego ojca, już mnie nie zadowalało rzucanie kolczatką po pokoju, kiedy sprzeciwiłam się zabraniu psa. Ja chciałam mieć na co dzień ten koszmar. Ja chciałam się zbliżyć do dna częściej niż raz na sześć lat. Bo za tym upokorzeniem, za tym ścisnięciem do siniaków przegubów, kryło się coś, co było moje bezsprzecznie, nie do zakwestionowania. Moje i znajome.

Zero. Zero poczucia własnej wartości.

Kupił mi złoty łańcuszek. Ach, przepraszam, nie kupił, jak się potem okazało, miał skądś, po prostu mi go dał. Wówczas byłam stuprocentowo przekonana, że kupił. Dla mnie. Przywiązałam się tym łańcuszkiem jak żelazem argumentu, że tylko mężczyźni opętańczo zakochani kupują swoim dziewczynom złote łańcuszki. A ja chciałam być opętańczo kochana. Pokażcie mi nastolatkę, która nie chce być opętańczo kochana. Ta obsesja mija późno, niestety zbyt późno. Prawda, że opętańcze zakochanie z miłością nie ma nic wspólnego,

dochodzi do człowieka po wielu siniakach na przegubach. A więc ochoczo zbierałam siniaki, za które uniżenie przepraszałam, oraz nosiłam z dumą swój złoty łańcuszek jako niepodważalny dowód miłości.

\*\*\*

Jarek zrywał ze mną przez bite półtora roku. Tyle czasu zajęło losowi ostateczne zażegnanie Jarkowego szantażu emocjonalnego. Ostateczny koniec mojego płaczu w drzwiach rodzinnego domu. Ostateczny finał wielogodzinnego wystawiania pod jego drzwiami i wypalania kolejnych paczek papierosów na jego klatce schodowej. Początek lat dziewięćdziesiątych.

Bezdiskusyjny powrót wolności.

Jak to się stało?

Powiem tak. Jeśli jakikolwiek ojciec jakiegokolwiek córki czyta tę książkę, niech teraz wstrzyma oddech. Niech uważa, bo rzecz, o której napiszę, tylko z pozoru wydaje się błędem. W gruncie rzeczy jest okładem z lodu na siniak przedramienny. Jest cudownym lekarstwem na chorobę toksycznej miłości.

Otóż mój ojciec podjął decyzję szokującą, w stu procentach męską i - jak to z męskimi decyzjami bywa - w ogóle nieprzemysłaną, a jednak genialną. Było to rozwiązanie doskonałe, tym doskonalsze, że kompletnie wariackie, a nawet można by powiedzieć: desperackie.

Nie wiem, czy lęk przed moją powtórną czegoś odmową, czy strach przed bolesnym konfliktem z córką, czy może po prostu nic logicznego, grunt że coś podszeptało mojemu ojcu, aby zaproponować Jarkowi nasz wspólny wyjazd do Niemiec na wakacje. Była to dla Jarka niezwykle lukratywna propozycja, rzecz bowiem działa się w czasach zmierzchającej komuny i wielkiej wagi niemieckiej marki. Jarek więc aż skoczył z radości, a mnie wtedy cieszyło absolutnie wszystko, co cieszyło Jarka, więc ja oczywiście skoczyłam z radości także.

Z pozoru wydawało się to szalonym i nieprzewidywalnym w skutkach pomysłem mojego ojca, niosło bowiem ciężar konsekwencji włączenia w struktury rodzinne przerażającego

despoty, który jawnie, wszem i wobec wykańcza psychicznie jego córkę.

Matka była przerażona. Nic jednak nie powiedziała, bo z ojcem w ogóle nie gadała. Z miejsca wyłączyła się z akcji i wróciła do swoich starych spraw.

Ojciec tymczasem tajemniczo milczał.

I pojechaliśmy wszyscy razem, we trójkę, ja, ojciec i Jarek. Drugie podejście, wakacje w Niemczech, ja i dwóch zapaśników ekstraklasy w szantażu emocjonalnym.

Który wygra, który mocniej trzaśnie drzwiami?

Aha?

## ŻONA

Gotuję. Smażę. Pucuję od rana blat, garnuszki, po kapustę biegnę, sapię w fartuchu. Obłoki pachnącej pary unoszą się nade mną, coraz pulchniejszą od tego gotowania. Jestem kobietą domową. Co tam kobietą! Kurą. Jestem nietolem, ptasim pomiotem i solidarnie z systematyką własnego rzędu - robię gołąbki.

Dla niego.

Gołąbki są delikatne, łagodne. Zwinięte w liść kapusty, jak niemowleta w bety, czekają na bohatera moich snów, na króla mojego serca, na mojego MEŹCZYZNĘ. Czekają, tkwiąc nieruchomo, tylko skwiercząc i kwiląc stęsknione - moje wyznanie miłości: gołąbki z młodej kapustki, z mielonej łopatki, bez kości, samo chude, plus sosik pomidorowy z kapeczką śmietanki, majeranek, czosnku odrobinka...

Wszystko tęskni. Wszystko zdaje się nucić tęskne zwrotki - nawet czajnik, garnki, ścierka. Ziarna ryżu wbite w mięsną masę, koperek, puchata kołderka purée starannie ugniecionego przez uśmiechniętą, zachęcającą mnie:

Jedz chłopcze, na zdrowie!

A jak będzie trzeba, dołożę. Ja w fartuchu, chętna, miła, z kuchennym blatem zespolona w jedno, obfita, miękka kucharka oddana, usłużna, nachylona między patelnią a tobą, mój ukochany, w gotowości na skinienie, chęć najmniejszą, którą w twoich oczach czytam, chwytam ledwie skiełkowaną myśl o smaku na końcu twojego podniebienia, ochotę jakąś nikłą - zgaduję i już piersiami falując ochoczo, wbijam skwierczące po chwili jajka, już mąką zaciągam sos, zasmażkę, raz dwa, koncentrat, śmietana, skwareczki na okrasę i masz! Jedz. Dołożyć?

Nie, nie dokładaj, bo mnie, gołąbeczko, niestety na kolacji nie będzie. Jestem na polowaniu, poluję na samca alfa, na twojego



ojca, którego muszę zabić, żeby zabić część ciebie. Zjedz sama, ile wlezie jedz, rośnij zdrowo. Aż urośniesz któregoś dnia, aż któregoś dnia dorośniesz.

\*\*\*

- Nałożyłaś mu coś jeść?

- Ależ, Babciu, przecież on jest dorosły. Cała lodówka jedzenia, jak będzie chciał, to sobie nałoży i zje.

- Jak mu nie nałożysz, to nie zje!

Tak oto odpowiadasz za jeszcze jedno życie.

Nie, nie chodzi o to, że masz dzieci, kobieto. Dzieci to małe miki. Dzieci to żaden problem. Z dziećmi to my sobie na luzie radzimy. Natura tak skonstruowała człowieka, że jakoś od dwóch milionów lat ewoluje. Istnieje. Jakimś cudem przetrwał. Kiedy łania powije źrebię, żadne ugrupowania *pro life* nie stoją nad jej głową i nie ciosają pouczeń. I jakimś niepojętym cudem ta łania ogarnia temat. Więc nie chodzi tak naprawdę o macierzyństwo. Owszem, u ludzi w miejsca pojawiają się zastępy mądralińskich, co, kiedy, jak, czy wolno, a nie wolno, czym karmić, kiedy, nosić, przewijać, nie przewijać, a to, a tamto, a sramto. Ale to nie ma nic wspólnego z walką o przetrwanie gatunku. Gatunek sobie poradzi. Macierzyństwo wszyscy mają w dupie, a nad dziećmi nikt nie będzie się rozwodzić. Klaps i krótka piłka. Spoko.

Tu chodzi o kogoś więcej! Tu chodzi o kogoś, kto sobie może jednak zupełnie nie poradzić. Tu chodzi o kogoś, kto ma problem z przetrwaniem, bo kuchnia jest dla niego o wiele bardziej niebezpieczna od dżungli i gdy cokolwiek w niej wykona „z własnej inicjatywy”, należy pisać z radości, że w ogóle przeżył.

Tak, jest ktoś o wiele ważniejszy od dzieci do opiekowania. Do rozpieszczania. Do gilgania pod paszkami. Do wtykania łyżeczkami porcji papu.

To twój MAŻ.

Twój mąż - według świadomości wielopokoleniowej, według autorów setek poradników od „Frondy” po „Cosmopolitan” -

jest istotą międzyplanetarną, jego ciało rozszczerzone jest z umysłem w odległościach świetlnych. On nie ma pojęcia, gdzie leżą jego skarpetki, a co dopiero jedzenie w lodówce. Talerz. Widelec. Jemu trzeba nałożyć i podstawić pod nos, i zachować ostrożność, by nie naruszyć przestrzeni zadumy, bo choć myśl jego jest wielka, to jednak zagubiona.

I zanim się odnajdzie, on sam, niestety, umrze z głodu.

A ty zostaniesz wdową. I rozpadniesz się na kawałki, odpadnie ci nos, ręka, głowa, rozsypiesz się w pył, którego resztki zeżrą wyrzuty sumienia, jaką byłaś głupią suką, kiedy twój mąż konał, podczas gdy ty nie nakładałaś mu ryby po grecku.

\*\*\*

Nie. Nie wyszłam za mąż. Nie tym razem. Co ciekawe, nikt przez cały pobyt w Niemczech ani razu nie trzasnął drzwiami. Nikt koleczką nie rzucił. Jarek nie podjął się ani razu zerwania ze mną, ojciec w ogóle nie miał głowy do obrażania się. Zniosłam te wakacje nad wyraz beztrosko, na niekończących się spacerach z odzyskanym psem i kolegą z sąsiedztwa, Michaelem. Wtedy już nauczyłam się, jak powiedzieć po niemiecku „przyjaźń”. Nie było tak trudno. Michael był miły, niczego nie żądał, o nic nie fukał, miał czas i ochotę do rozmowy i na nic się nie obrażał. Mało ze sobą rozmawialiśmy i podobało mi się to. Wtedy właśnie zaczęłam doceniać małomównych facetów i wspólne milczenie. Zostało mi to na całe życie. Wracając do moich wakacji - słuchaliśmy z Michaelem płyt, chodziliśmy nad rzekę i jakoś tak świat się odpiął, rozsznurował.

Tymczasem Jarek z ojcem zrywali owszem, ale się do roboty. Bo mój ojciec nie dość, że zabrał go wspaniałomyślnie do wymarzonego Reichu, to jeszcze taki mu sprawił fantastyczny prezent, jak ekscytująca każdego Polaka robota na czarno za najprawdziwsze marki zachodnie. Tam zatem, w niemieckich magazynach, dwóch mężczyzn mojego życia załatwiało swoje porachunki.

Czas leciał, lato mijało, życie powszedniało, czułam się już

prawie jak żona, która mieszka z ojcem i mężem, i początkowo ochoczo, a potem z coraz mniejszym przekonaniem robi im obiad, by wreszcie rzucić to zajęcie w diabły, skoro ojciec wcale tego nie wymaga, a wręcz się zżyma, że nie jestem kurą domową i mam tego nie robić.

A przecież w końcu to ojciec tu rządzi. Wrodzona agresja ojca i Jarka rozbiły się o siebie nawzajem, ale poza mną, na orbitach równoległych do mojej, z moją orbitą niemających nic wspólnego.

A ja się błogo rozleniwiałam, jak nigdy przedtem i rzadko potem. I miałam dzięki temu coraz bardziej wszystko w dupie.

Podobno każdy człowiek ma dwa życia. To drugie zaczyna się wtedy, gdy zrozumie, że ma tylko jedno. A ja myślę, że jest jeszcze trzecie. Najpiękniejsze. Zaczyna się wtedy, gdy zrozumiesz, że większość spraw na świecie to nie twój problem. Że nie wszystkie problemy tego świata dotyczą ciebie. Więcej. Że jest bardzo dużo problemów, które pozornie dotyczą ciebie, ale spokojnie możesz mieć je w dupie.

Zrywanie i trzaskanie drzwiami może właśnie należeć do tego rodzaju problemów.

Ale Jarek nie mógł trzaskać drzwiami w domu mojego ojca. W ogóle nie mógł przy moim ojcu, od mojego ojca zależało bowiem, czy dostanie śniadanie, czy zarobi sto marek, czy będzie mógł po pracy skorzystać z prysznica. Mój ojciec czerpał z przywilejów samca alfa całymi garściami, co go nieziemsko bawiło i zupełnie pozbawiało bojowych wobec mnie instynktów. Tak bardzo był pewny swojej pozycji w tym własnoręcznie uformowanym stadku, że przez bite dwa miesiące moich wakacji uśmiech mu z twarzy nie schodził.

Zdominowany do szczętu narzeczony, pozbawiony kompletnie męskiej władzy, z cyfrowym pietyzmem oddał się pasji zarabiania waluty. I tak się temu poświęcił, jak poświęca się temu każdy przeciętny Polak w robocie za granicą. Tak się zatracił, że świata poza tym nie widział. Pracował dzielnie, a wieczory wypełniał celebracją zarobionych pieniędzy. Nastaly więc długie tygodnie

ciulania, odkładania, skrupulatnego liczenia, przeliczania, segregowania, układania, dodawania, odejmowania, fantazjowania, a co to będzie, jak zarobi jeszcze więcej, a co by było, gdyby wziął jeszcze sobotę, a już w ogóle jak niedzielę i nadgodziny. Wizje takie roztaczał, ukochany mój, a nosa z pokoju nie śmiał wyściubić, piwa z lodówki nie śmiał sobie wyjąć. Jednego swobodnego ruchu nie śmiał wykonać. Bo jednak wszystko było zależne od mojego ojca.

Wyjazd do najgłupszego sklepu wiązał się z proszeniem mojego ojca o podwózkę. Wyjście na głupi basen wiązało się z poproszeniem mojego ojca o podwózkę. Zakup głupiego piwa w sklepie wiązał się z proszeniem mojego ojca o przetłumaczenie na niemiecki: „*Ein Bier, bitte*”. Tylko fajki mógł sobie kupić w automacie, ale to też nie bardzo, bo fajki, jak każdy podróżujący wówczas do Niemiec Polak boleśnie odczuł, kosztowały całe cztery marki. Sorry, takiej walki z własnym ciulactwem mój narzeczony podjąć nie mógł. Pasywnie się więc poddał, zgiął się, skurczył, w niebieskie banknoty zakopał i zaległ w ciszy.

Ale jednak coś go tam gryzło, coś uwierało i w końcu, w desperacji sięgnął po narzędzie najgorsze z możliwych, mianowicie wrócił do swojego Ja z piaskownicy. I jał z mojego ojca szydzić. Po cichu, konspiracyjnie, nieudacznie, za jego plecami, niczym uczeń w gimnazjum. Z jedną, podstawową różnicą. Żaden uczeń z gimnazjum nie popełniłby takiego błędu jak Jarek. Jarek szydził z mojego ojca PRZY MNIE.

Tak mnie to zdumiało, że początkowo nie mogłam uwierzyć własnym oczom i uszom. To aż tak? Aż tak się pomyliłam? Przez półtora roku błagałam we łzach o miłość tego właśnie człowieka? Halo, tu Ziemia. Ja Wisła, ja Wisła! Słyszycie mnie, drogie dziewczyny wszystkich emocjonalnych szantażystów tego świata? Wojna się skończyła. Nie będzie już ciosów we własne serce. Nie będzie już własnej na siebie agresji. Wróg poległ. Wsadził sobie do plecaka granat i wyjął zawleczkę. I zrobił, jak to mój dziadek mawiał, jebut!

A gdy już wybuchł, opadła zasłona, mgła się rozwiła i przejrzałam na oczy, a widok był taki, że nie mamy o czym rozmawiać. I nie chodzi wcale o to, że poczułam się dotknięta. Wcale się nie poczułam. Odwrotnie. On mnie nawet tym swoim granatem nie drasnął. Ale owszem, sam strasznie się poturbował.

On się obraził! Nie, przepraszam, on SIEBIE obraził. Obraził siebie manifestem strasznego błędu. Zgubnym przypuszczeniem, że córce może spodobać się wyszydzenie jej ojca.

Ha, ha, ha.

Nie ma takiej kolczatki, którą można rzucić, by zerwać tę więź. Nie ma takiego trzaśnięcia drzwiami, którym można rozdzielić tę lojalność. Nie ma takiej rozłuki, którą można ostudzić tę miłość.

Miłość córki do ojca.

Wzruszyłam więc ramionami, popukałam się w czoło, wzięłam psa i poszłam na spacer z Michaeliem.

Nie musiałam z nim nawet zrywać. Wystarczyło, że zaczęłam, aż po powrocie do Polski on złapie przyczepność ze starym gruntem, poprawi swój mundurek i zadmie w swój róg znajomą pieśń.

- Gdzie byłaś przez cały weekend?

- Na wycieczce.

- Z kim?

- Z klasą.

- A kto tam był?

- Ludzie z klasy.

- A był ten, jak mu tam.... Ten, co ci się kiedyś podobał? Mikołaj?

- Przecież on chodzi do mojej klasy.

-Był!?

- Tak.

- O, nie! Musimy się rozstać! Nie mogę dłużej znieść tego! Nie kochasz mnie! Nie szanujesz! Znów się umalowałaś, masz za krótką spódnicę! Zdradzasz mnie w myślach! Czuję to! Czuję, jak mnie poniżasz! Boże, jaka ty jesteś! Nic od

ciebie nie dostałem nigdy, nic mi nie dałaś! Tylko żerujesz na mojej miłości, na tym, że cię kocham i jak jakiś naiwniak, ciągle w nas wierzę! Ale ja jednak byłem głupi! Odchodzę! Nie dzwoń do mnie już nigdy! To koniec!

- Dobra!

Moja śpiewna zgoda wytrąciła Jarka z równowagi, to pewne. Nie studiowałam jednak tej reakcji zbyt długo, ponieważ wzięłam swoje rzeczy i wyszłam z jego domu na zawsze. Resztki tłącej się miłości rozwiało Jarkowe postanowienie, na co przeznaczyć zgromadzoną na gastarbajterskich wakacjach fortunę.

Na zakup telewizora.

\*\*\*

W świecie nowoczesnych związków jest na ogół tak, że jeśli dany facet jest, pozwolę sobie użyć takiego określenia, zapuszczonym fajfusem przyklejonym (właśnie!) do telewizora, względnie do playstation, a najczęściej do komputera, to sprawy mają się następująco:

Fajfus przez jakiś czas tkwi w pasożytniczej symbiozie z partnerką, która na niego tyra, która go karmi, która go zabawia, która wreszcie ma po dziurki w nosie tej sytuacji, wobec czego z łagodną furią rzuca mu klucze na zapačkany pizzą stolik i z dumą odchodzi.

Zszokowany fajfus bierze się wówczas w garść, sprzedaje na eBayu playstation, zaczyna biegać, chodzić na siłownię, pisać, dostaje nagrodę, wreszcie zostaje sławnym pisarzem, kobiety na jego widok mdleją, a przyglądająca się z daleka efektom swojej decyzji ekspartnerka z zadowoleniem rozpatruje ewentualność powrotu do fajfusa, który już dawno fajfusem nie jest.

Tak się dzieje na świecie, ale zupełnie inaczej sprawy mają się w Polsce. W naszym kraju żadna partnerka żadnego fajfusa nie opuści. Owszem, podczas gdy on w najlepsze będzie tkwił przy konsoli, będzie upatrywał sens życia w zabijaniu nieistniejących potworów, pod poplamioną koszulą będzie hodował brzuch, będzie dla niej niemiły,

będzie ją oszukiwał i lekcewał, będzie z nią w kółko zrywał i szantażował ją emocjonalnie - ona tego stanu rzeczy nie ośmieli się zmienić. Polska kobieta załaduje sobie fajfusa razem ze wszystkimi jego potworami na plecy, do tego dorzuci dwójkę trojaczków, dziecięcy rowerek, pracę na dwie zmiany i dźwigając to wszystko przez życie, zdąży jeszcze kupić kilka przyzwoitych koszul dla męża fajfusa. Polska kobieta będzie z pokorą taszczyć swój krzyż, bo choć polska kobieta dobrze wie, że jej facet to rozpieszczony nieudacznik i wygląda jak ostatnia łajza, musi przyznać, że ma jedną podstawową zaletę:

JEST.

O ile faktycznie ostatnio w świadomości młodych przebojowych babek coś drgnęło, statystyczna Kowalska musi się jeszcze sporo nadźwigać, by wreszcie zauważyć w facetach potencjał innej, niezwyklej zalety. Ta druga zaleta jest szczerze ukryta, a jej stwierdzenie wymaga przejścia w odmienny stan świadomości, co przecież nie dzieje się tak hopsiup. Dlatego kobieta musi przebrnąć przez wszystkie obowiązki życia: macierzyństwo, małżeństwo, pranie, sprzątanie, gotowanie gołąbków, prasowanie, gnieźdzenie się na wspólnym łóżku i diabli wiedzą, co jeszcze. Ta druga zaleta u facetów jest jak kamień filozoficzny. Zamienia naszego ciastowatego fajfusa w szlachetne złoto. A odkrycie tej cechy gwarantuje nam miłość najlepszą z możliwych - miłość do samej siebie. Owszem, trzeba oddać fajfusowi cześć. Trzeba mu przyznać, taki facet ma to do siebie, że faktycznie JEST. Ale uwierzcie, to tylko namiastka szczęścia.

Najlepszy jest bowiem facet, którego NIE MA.

Rozumiem, że to może wydawać się szokujące. I owszem, kobieta na początku trochę histeryzuje, nie chce się z tym zgodzić. Z czasem zaczyna jednak doceniać takiego faceta. Coraz częściej o nim myśli. Zaczyna tęsknić! I wreszcie nim się zachwyca. A potem już za żadne skarby nie chce go stracić. Facet, którego nie ma, jest bowiem doskonały. Nie ma żadnych wad. Nie siedzi przy konsoli, nie chłepce piwa, nie obraża, nie czepia się, nie krytykuje. Niczego nie wymaga, o nic nie pyta.

Nie jest głodny, nie hałasuje, nie beka i nie chrapie. Wcale nie jest gruby. Nie jest też łysy. Nie podnosi deski klozetowej, a w związku z tym w ogóle nie zapomina jej opuścić. Nie rozrzuca skarpetek. Nie wraca po nocy, nie wychodzi w dzień. Nie zdradza! Nie pyta, co na obiad. Nie ma żadnych wkurzających kolegów. Nie ogląda meczów. I, co najważniejsze: nigdy, absolutnie nigdy nie zrywa.

\*\*\*

W Polsce zawieranych jest około dwustu tysięcy małżeństw rocznie. Osiemdziesiąt procent nowożeńców to panny i kawalerowie - zawierają związek małżeński po raz pierwszy. Przeciętna suknia ślubna kosztuje około dwóch tysięcy złotych, welon minimum pięćset, buty drugie tyle, albo i lepiej, plus pończoszki, rękawiczki, fidrygałki - całość zamyka się w czterech, pięciu tysiącach. Samo wesele organizowane zwykle na co najmniej sto dwadzieścia osób - kosztuje ponad dwadzieścia osiem tysięcy złotych.

Te kwoty niewielu odstrasza. Z jakiegoś powodu każdej kobiecie zależy, by jej ślub był jak z bajki. Z jakiegoś powodu chce wyglądać jak księżniczka, więc wyda ostatni grosz na teatralną kieckę i fotografa, który zrobi jej sesję z wypchanymi gołębiami. Wszystko musi być idealne, piękne i bajeczne.

Z życiem już tak nie jest. W życiu wraca z pracy i w proggu słyszy: „Co na obiad?”.

Co na obiad?

Najbardziej zniechęcające pytanie. Co na obiad? A kiedy, gdzie miałam go upichcić? W biurze, na klawiaturze?! A może po drodze, w tramwaju, na światłach? Z dzieckiem na kolanach, w przedszkolu, w szkole, na wywiadówce? Z dwóch dań złożony, zupa krem z ptysiami, zestaw surówek i rolada? Plus przystawki może? Deser piętrowy? Jezu, jestem taka zmęczona, padam na twarz, a on: „Co na obiad?!”. Matka go rozpieściła, przysięgam, mam ochotę zabić jego razem z mamuszką, babką i całą zgrają ciotek, które się nad nim trzęsły całe życie, które mu frykasy pod nos podstawiały, a na koniec wypuściły z wyłożonego puchem gniazda, żeby teraz bezczelnie,



roszczeniowo zadawał takie pytania! Żeby wyskakiwał z czymś takim, kiedy przecież jestem sterana tak samo jak on, albo i może nawet bardziej! Żeby w swoim nieskończonym egoizmie zawarł cały szowinizm i patriariat, i ani krzty empatii!

Wieki, pokolenia pieprzonej niesprawiedliwości i co? Dwudziesty pierwszy wiek, feminizm, walka i co? I co?! I idę do kuchni z miną zaciętą, biorę garnek i strugam ziemniaki. I tylko po głowie tłucze mi się tamta chwila, którą nie wiadomo czemu tak dobrze zapamiętałam, tamten moment, w którym ojciec powiedział, że ta kobieta, która go kręci, kobieta idealna, kobieta NIESKOŃCZENIE doskonała - wcale nie zajmuje się struganiem kartofli!

O Boże, ile we mnie żalu, ile złości, mam ochotę zadzwonić do ojca i wydrzeć się do słuchawki: „To dlaczego mi kazałeś strugać kartofle?! To dlaczego wychowałeś mnie na kobietę SKOŃCZENIE niedoskonałą?!”.

Ale nie dzwonię, nic nie mówię, nie krzyczę, robię obiad. Mój bunt jest ZA MAŁY, żeby pokonał poczucie winy, poczucie obowiązku, no bo faktycznie, kurwa, co na obiad?! To moja działka, mój kawałek życia. Moje królestwo kartoflane, odziedziczone po matce, która też strugała kartofle, bo ON pytał: „Co na obiad?”, a, jak się okazało, niestety w ogóle go to nie kręciło.

Ale gdzieś w głowie tłucze się też druga myśl. Tylko jakoś przez całe życie nie dałam jej dojść do głosu. Przez całe życie udaje mi się ją stłumić. Choć coś niepokoi, coś drapie i uwiera. Bo tak naprawdę, co było w tym pytaniu. Szowinizm? Roszczenia?

Naprawdę?

Naprawdę to usłyszałam, bo przecież to w mojej krwi płynie ten kompleks, ta nadinterpretacja. To poczucie, że jedno, krótkie rzeczowe pytanie ma wywołać zryw i działanie. Bo „Co na obiad?” dla mnie oznacza, że MA BYĆ OBIAD! I to moje DNA z matki, babki, ojca i siedmiu ciotek, to powinowactwo służalcze i przekonanie, że musimy wszystko, że to nasz obowiązek, że, helo! tu ktoś jest głodny! - to nie pozwoli nam się na przykład zatrzymać, nie gnać do lodówki, nie chwytać za

garnek, nie robić zaciętej miny, nie strugać kartofli wcale. Nic nie robić. Tylko zapytać: „A co proponujesz?”.

Ale nie. Tego nie powiem. Wolę zrobić ten pieprzony obiad, dla „świętego spokoju”, złorzeczając pod nosem, jakie to niesprawiedliwe i okrutne, że przecież pracuję tak samo jak on i tak naprawdę dużo więcej poświęcam uwagi dzieciom, ale jednak zacisnę zęby i będę strugać ziemniaki, i z zemsty, z braku pomysłów na lepszą relację, ze strachu przed skazaną z góry na porażkę walkę z całym skostniałym społeczeństwem - wbrew komukolwiek, wbrew samej sobie zamienię się w zrzedliwą zołzę.

\*\*\*

Zołza to kobieta, która ma wiecznie pod górkę, która zboląła, ze ściśniętym brzuchem, z okresami, z porodami, z PMS-ami, z hormonami, z huśtawką nastrojów, z rozdartym na czworo włosem i z przekombinowaną psychiką, tyra za wszystkich, bo sama od siebie nie umie się odpiardolić. I wybaczcie, ale nigdy nie może być miła. W jej pełnym wyrzutu wzroku skierowanym w stronę mężczyzny (bo przecież nikt inny nie jest temu wszystkiemu winien) tkwi szkło bolesne. Ona z posągową dumą dźwiga swój kobiecy krzyż, jadowiec przy tym wyrzucając losowi swoją płęć. Ona bez ustanku miele w swym gardle kolce i ciernie, by systematycznie i z żołnierską wręcz skrupulatnością uderzać w płacz.

Skutecznie przy tym egzekwując roszczenia.

Brzmi okrutnie? No trudno.

Kobieta musi mieć fochy, inaczej się nie da. A im większy dąs, tym bardziej ją facet kocha. A gdy już ten facet się na tego focha złapie, gdy się na tym fochu jak na palcu owinie, to wtedy się faceta trzyma, nie puszcza! Krótko się go trzyma. Na komórkę co piętnaście minut się dzwoni, sprawdza. Pytanie: „GDZIE JESTEŚ?!” z odpowiednim ładunkiem pretensji się ćwiczy. Jak mantrę się powtarza.

To nic, że facet z jednej zmiany na drugą, trzecią nockę po godzinach dorabia, nosem po ziemi orze, na rodzinę tyra. To nic, że z delegacji sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę leci,

wszystkie przepisy drogowe łamie, by do sfochowanej żony jak najprędzej wrócić. „GDZIE JESTEŚ?!” - jak łyk czarnej kawy, być musi. „GDZIE JESTEŚ?!” - jak kuksaniec w ospały kark człowieka ze snu budzi. „GDZIE JESTEŚ” - jak gwizd trenera nad strudzonym ciałem - orzeźwia.

I nic z odpowiedzi, nic z relacji po drodze: jestem w pracy, w Orzyszu, w Koziej Wólce jestem. Tak, już na krzyżówce, rondo mijam, lecę. Między Biedronką a pralnią jestem. Przy tokarce. W banku przy kasie. W przedszkolu jestem. W kościele jestem. U lekarza. Na budowie. Zaraz jestem! Jestem!

Wszak po powrocie zawsze pada wściekłe: „GDZIE BYŁEŚ?!”.

Nie pytajcie mnie o rodzaje kobiet, prawie wszystkie to żoły. Istnieją jednak różne żoły stadia. Mamy zatem:

- ° żołą matkującą („Zrobiłam ci gołąbki, GDZIE JESTEŚ?”),

- ° żołą bezradną („Samochód mi zgasł, GDZIE JESTEŚ?!”),

- ° żołą policjantkę („Minęła dziesiąta, GDZIE JESTEŚ?!”),

- ° żołą schorowaną („Głowa mnie boli, GDZIE JESTEŚ?!”),

- ° żołą prorokującą („A nie mówiłam, GDZIE JESTEŚ?!”),

- ° żołą ukrytą („Misiaczkę, GDZIE JESTEŚ?!”),

- ° żołą zazdrosną („Z KIM JESTEŚ?!”).

Wszystkie wyżej wymienione wcielenia żoły ewoluują dowolnie ze swoich pozycji, by osiągnąć jeden wspólny, acz różnie dla poszczególnych żoły osadzony w czasie stan:

- ° żoły niekochanej.

Żoła niekochana to kobieta, która ku swojemu wielkiemu zdumieniu przestaje być kochana. Swoją drogą, nie wiadomo jakim cudem facet po dwudziestu pięciu latach odpowiadania na pytanie „GDZIE JESTEŚ?!” przestaje kochać pytającą. Żadne pisma kobiece, choć dzielnie wspierają niekochane żoły, nie rozwiązały do dziś tej zagadki. Jaka jest tego przyczyna? Egoizm? To możliwe. Niewdzięczność? Z pewnością. Przemiała blondynka z działu promocji, która nigdy nie pyta: „GDZIE JESTEŚ?” Albo może raczej horoskop? Tak

czy owak, wykluczyć należy przesył roszczeniami, utratę cierpliwości i niechęć do spędzenia życia na wiecznych tłumaczeniach.

Facet, który przestaje kochać, to zdaniem żony świnią. Świnia i drań porzucający bez sumienia tę tysiąc razy dziennie wydzwanającą z nieśmiertelnym „GDZIE JESTEŚ?!”, zbolełą i urobioną, padającą na twarz biedną kobietę, która przecież JEMU urodziła dzieci, JEMU poświęciła wszystkie swoje przyjaźnie, znajomości, zajęcia, hobby, pracę, co tam jeszcze, życie całe. Bo ona jest jego proteżką, a właściwie - to on jest jej proteżką, bo przecież nie ma czegoś takiego jak samodzielna, pełna osoba, której niepotrzebna jest wcale żadna kontrola. Nie, są połówki. Połówki jabłek, połówki pomarańczy, połówki osób. I tymi połówkami srają od najmłodszych lat do głów kolejnym pokoleniom - kolejne pokolenia.

No więc mamy w efekcie pół osoby, żonę niekochaną, a ta jest wielce niebezpieczna, szczególnie dla siebie samej. Zaczyna bowiem toczyć nieprzerwaną wojnę o miłość swojego eks, o miłość swojej drugiej połówki, która już zdążyła się zespolic z inną połówką albo po prostu zdecydowała się na całość. I choć wojna ta jest z góry przegrana, kobiecie to nie przeszkadza.

Ona będzie walczyć do upadłego i udowadniać całemu światu, że z całą pewnością na tę utraconą miłość zasłużyła. Żona niekochana zapiera się przed jakimkolwiek konsensusem, a jej mottem życiowym jest: „Nigdy mu nie dam rozwodu” albo: „Jak odejdzie, nigdy nie zobaczy dziecka”. Jasne. Dziecko jest jej kartą przetargową, zakładnikiem jej miłości. Facet MA kochać i koniec. A jak nie kocha, to ona go będzie dzieckiem szantażować. Dziecko jest tworem doskonałym do takiego szantażu. Tym doskonalszym, im bardziej facetowi na dziecku zależy.

No więc taka żona każe sobie kochać, a jak nie, to, kurde, kara. Kara! Niech wszyscy będą ukarani, niech cały świat cierpi, niech cierpi dziecko i siostrzenica, koleżanka i teściowa, niech wszyscy mają źle, bo jej się nie da kochać. A nie da się, bo w kółko napierdala telefonem to swoje „GDZIE JESTEŚ!”. Nie da się, bo w kółko sprawdza, kontroluje i robi afery. Nie da się,

bo w kółko się trzęsie, żeby przypadkiem nikt nie przestał jej kochać, bo to przecież, do cholery, wszystkich pieprzony obowiązek!

Obowiązek dozgonnej miłości.

Tak więc żoła, wobec której istnieje obowiązek miłości, w momencie tej miłości wygaśnięcia staje się nieznośnie ascetyczna, cierpiętnicza, sama wyzbywa się wszelakich pokus, by w szaroburym berecie dowieść swych katuszy. Nie spotyka się ze znajomymi, a o jakimkolwiek nowym związku nawet nie chce myśleć. Wszak walczy o to, co jej się należy jak psu kość, a co w rzeczywistości nie istnieje. Jednak im zacieklejsza jest ta walka, tym kategoryczniej kobietę od jakiegokolwiek miłości oddziela. Dochodzimy w ten sposób do straszliwego punktu, do czarnej jak smoła sytuacji, w której to żoła niekochana osiąga stadium:

- ° żoły nienawidzącej.

Żoła nienawidząca nienawidzi całego świata, a najbardziej siebie samej.

\*\*\*

Dobrze ją znam. To zaczyna się od niespełnionych oczekiwań. Tak jak my nie spełniałyśmy w dzieciństwie oczekiwań ciotek i pań z przedszkola. Tych wszystkich blerw, które wylewały na nas swoją żółć za to, że im strasznie źle w życiu. Że ciągle je coś uwiera, że im się ciągle coś nie podoba, że świat nie jest dokładnie taki, jaki sobie wyobraziły, jaki być powinien, według ich zdumiewającego schematu. Że nie we wszystkich oknach są firanki, że nie każdy ma dwójkę grzecznych i robiących kupę do nocniczka dzieci, że nie każdy stawia stopy jak dziewczynka. Wtedy trzeba psioczyć i zarażać swoją nienawiścią, tymi druzgocącymi ocenami wszystkich dookoła, trzeba ładować do dziecięcych głów ten swój jad, żeby w tych dziecięcych głowach wywołać migrenę na całe życie. Ale nie tylko migrenę, bo przede wszystkim to niekończące się dążenie do perfekcji, która wcale nie jest żadną perfekcją, tylko zaciskającą się na szyi pętlą spełniania czyichś niemożliwych do spełnienia oczekiwań.

Oczekiwań, których do dziś nie możemy spełnić, choć tak się staramy, tak się sznurujemy, tak się napinamy. I to wieczne niespełnianie oczekiwań wciąż nas wpędza w poczucie winy. To dlaczego, u diabła, nie wpędzić w poczucie winy jeszcze kogoś? Dlaczego, zamiast leżeć na plaży w wakacje, nie powiesz na telefonie i nie poopierdalać męża, że nie pamięta o odkurzeniu kwiatków? Dlaczego, zamiast zająć się sobą, nie pilnować opętańczo zegarka i nie wpaść w furię z powodu pięciominutowego spóźnienia? Dlaczego nie wyimaginować sobie, że jesteśmy zdradzane, okłamywane, niekochane, kiedy on ma przedłużający się projekt?

Z drugiej strony, jest mnóstwo przykładów na samospełniające się życzenia. Przecież jeśli wierzymy święcie, że ktoś nas nie kocha, to nie ma takiej siły, żeby nie przestał. Mimo że nasze oczekiwania są zupełnie inne. Ale to życzenia się spełniają. Oczekiwania już rzadziej.

Oczekiwania regularnie robią nas w balona. Niemniej nigdy ich nie porzucimy. Będziemy się ich trzymać kurczowo, jakby miały moc sprawczą, jakby mogły zaczarować świat. Ładnie to obrazuje przykład klasycznej najebki, w której chwila dobrego samopoczucia jest tak ważna, że nikogo nie zniechęca perspektywa dwudziestu czterech godzin złego samopoczucia w dniu następnym. Nie ma takiego kaca, który by przyhamował rubasność sprzed świtu. Powiem więcej. Zawsze oczekuje się, że tym razem żadnego kaca nie będzie. Dziś jest mój dzień! Dużo nie wypłam! Spoko! Tylko że na drugi dzień głowa ci pęka i rzygasz do zlewu.

Podobnie jest z dryfowaniem w nieświadomości i trzymaniem się oczekiwań jak pijany płotu. I z uporczywą niechęcią do akceptowania faktów. A fakty są takie, że facet, który od zawsze rozrzuca skarpetki, nawet po sto pięćdziesiątym twoim lamencie nie przestanie ich rozrzucać. Fakty są takie, że kolejna wybaczona zdrada pociągnie zaraz następną. Fakty są takie, że ktoś, kto nas źle traktuje, nie zamieni się w dżentelmena nigdy. I jeszcze fakty są takie, że choćbyśmy wyskoczyły ze skóry i zaczęły chodzić nie tylko „jak dziewczynka”, nie tylko stopami do wewnątrz, nie tylko po

cichu, na palcach, ale choćby na rzesach - i tak nikt tego nigdy wystarczająco nie doceni.

Ale oczekiwania trzeba mieć. Trzeba mieć oczekiwania wobec świata i oczywiście wobec siebie, żeby sobie jeszcze bardziej dowalić. Żeby sobie nie pozwolić odetchnąć. Żeby się rozdeptać, zbesztać, zgnoić i wmówić, jak bardzo - mimo wszystkich oczekiwań - jesteśmy niedoskonałe w tym świecie nieskończenie doskonałych kobiet. Bo przecież, gdybyśmy były doskonałe, gdybyśmy się jeszcze bardziej postarały, to może ta ciotka, która nie pamięta nawet naszego nazwiska, doceniłaby nasz życiowy trud? Może ten facet, który wpatruje się w tę niezwracającą na niego uwagi lafiryndę, doceniłby nas, bo przecież wysztafirowałyśmy się specjalnie DLA NIEGO. I to dla niego mamy ten spalony blond na głowie i dla niego ledwo się trzymamy na nogach w tych szpilach.

Nie dla siebie.

Oczywiście, są sposoby. Są sposoby czarowania rzeczywistości i tkwienia w oczekiwaniach. Założmy, że strasznie nam się podoba pewien brunet spod Wrocławia. Tak nam się podoba, że jesteśmy w stanie zarwać trzy dni i trzy noce, ciągnąć się pociągami na drugi koniec Polski po to, by brunetowi zrobić niespodziankę. Niestety, tak nam zależy na dobrym samopoczuciu podczas owego romantycznego desantu, że nie przyjdzie nam do głowy, by przed podróżą upewnić się, czy on ma na spotkanie ochotę? Czy na pewno ma czas? Może umarł? A może wyjechał do Skierniewic? Do wojska go zwinęli? Jest chory? Coś tam? Właściwie wszystko jest możliwe, ale my nie dzwoniemy w piątek rano, tylko w zakłętym przekonaniu, że mamy OCZEKIWANIA- jedziemy. Hej, ho! Siedzimy w przedziale nieruchomo, najchętniej byśmy telefon i laptop wyłączyły, żeby żadna wątpliwość, żaden zdradliwy SMS, rozczarowujący do bólu mail czy telefon nie zdmuchnął tego płochliwego ptaka, jakim jest nasze chciejstwo.

A wystarczy zadać pytanie. I już nawet nie pytanie do bruneta, pal go diabli. Chodzi raczej o pytanie do siebie: o co mi właściwie chodzi? Co mam z tego, że nie dowiem się, proszę państwa, jakie państwo przeznaczyli honorarium za

te wszystkie moje wspaniałe odczyty, prelekcje i konferencje, których propozycjami mnie państwo raczyli zaszczyścić?

O co mi chodziło wtedy, gdy pojechałam do Warszawy na spotkanie z wydawcą, który tego dnia właśnie zachorował i zapomniał mnie o tym powiadomić? Czemu nie zadzwoniłam, żeby się upewnić, czy na pewno spotkanie jest aktualne? Można było oddać bilet w kasie i pójść na gofry do Sopotu. Ale moje oczekiwania kazały mi się tłuc za sto dwadzieścia złotych przez sześć godzin w jedną stronę, odbić się od drzwi z bolesnym wzrokiem sekretarki na plecach, postać dwa kwadransy pod pomnikiem Kopernika na deszczu i upić się z rozpaczony na Krakowskim Przedmieściu. O kacu nie wspomnę.

To ja się teraz przyznam, o co chodzi. Chodzi o iluzję. Zaczarowanie rzeczywistości. Wyobrażenie, że tak się stanie, jak JA oczekuję. Że gdzieś w świecie czeka na mnie zabójczy brunet, z którym przeżyję niezapomniane chwile. Że wydawca czeka w pąsach i w zachwycie na moją powieść, że te wszystkie kulturalne instytucje na pewno mi zapłacą za to, że przyjadę i zrobię im show, a przynajmniej zwrócą koszty podróży, bo przecież napisali w mailu, że jestem nadzwyczaj fajna. A skoro jestem taka nadzwyczaj fajna, to chyba nikt mnie nie zrobi w balona, co?

Owszem, robi. I to koncertowo. Ale przecież tu chodzi o to, żeby tej prawdy nie wyartykułować. Żeby ją odsunąć. Oddalić, rozłożyć na drobne fiaska, którymi się potem obdzieli przyjaciół, rodzinę, ludzi na peronie, polityków, korupcję, deszcz i okrutny los. Tylko że ani rodzina, ani znajomi, ani ludzie na peronie, nawet politycy, korupcja, deszcz czy okrutny los - nie mają nic wspólnego z tą prawdą, z tym, że większość oczekiwań to wytwór mojej wyobraźni, a rzeczywistość ma mnie w dupie.

Większość ludzi ma większość ludzi w dupie.

\*\*\*

Ludzi od dawna przestała interesować rozmowa. Ludzie mówią do siebie zagadkami. Gdy o coś chodzi, to ogólnie



wiadomo, że nie wiadomo, o co. Jest taki dialog, dość powszechny: „O co chodzi?”, „O nic!”. Odpowiedź ta jest zagadką ludzkości, nierozwikłanym wielomianem zmiennej  $x$ . Nikt nie wie, co się pod tym kryje. Wiadomo tylko, że coś się kryje. Coś? Bezmiar znaczeń! Najczarniejszy pod słońcem  $x$ , szydercza niewiadoma, której żadne obliczenia nie wyjaśnią, żadne wykresy nie wskażą, żadne układy równań ani wyciągnięcie pierwiastków - nie odkryją. Każda, najzmudniejsza nawet, próba dochodzenia kończy się tym samym, bolesnym dźgnięciem:

Domyśl się!

Znasz to skądś? Kto tym razem powinien się domyśleć, o co ci chodzi? Wolisz nie wyjaśniać. Wolisz swoich demonów nie przepędzać. I tłuc się pociągami, tramwajami, ciągnąc za sobą ciężką walizkę przez trzy dzielnice obcego miasta, nie dojechać, wydawać ostatnie pieniądze na bilet, żyły wypruwać, spieszyć się, spieszyć tam gdzieś, gdzie nikt na ciebie nie czeka. Ale przecież ty nie wiesz, że nie czeka, bo nie masz czasu się dowiedzieć, bo lecisz, biegiesz, działasz, jesteś w ruchu, w obiegu, w zaangażowaniu wielkim, w procesie, w zamęcie, a przede wszystkim w przekonaniu, że w tej chwili masz ciągle jeszcze wielkie oczekiwania.

Zamiast pójść na gofra.

\*\*\*

- Kaśka! Do ciebie!

Miesiąc bez chłopaka i już coś przeszkadza temu światu. Już kogoś niesie, już niepokoi. Ja mam, moi drodzy, chwilę na dotarcie do siebie. Moment na zapukanie do swoich drzwi. Przez tę krótką chwilę mam szansę na poznanie swoich pragnień, potrzeb, zachcianek. Na posłuchanie własnego oddechu, na wypicie herbaty, na koncert Depeche Mode z winylu. Albo na zwykłe ponudzenie się. Na odgadnięcie, co mi się w życiu podoba. Na przymierzenie wszystkich swoich dwóch sukienek i podotykanie ich materiału. Na zdecydowanie, czy wolę czerwień, czy turkus?

Na poleżenie z psem na zakazanym dywanie. Na poczytanie

Hemingwaya. Na nic. Nic. NIC!

Jeszcze się naspotykam. Jeszcze się natyram w tym odwiecznym kolektywie. Jeszcze się nausługuję, jeszcze obiadów nagotuję. Jeszcze się nadenerwuję. Jeszcze włosów z głowy nawyrywam. Jeszcze sobie pętlę na szyję zawiążę. Jeszcze sobie naodmawiam. Jeszcze zapomnę o sobie na śmierć. Ale teraz mam dopiero osiemnaście lat. Dwadzieścia. Dwadzieścia pięć. Trzydzieści. Trzydzieści pięć? Jezu, chcę sobie pożyć dla siebie. Zdażę. Nie zdażę? Nie zdażę, bo już zaraz zadzwoni telefon, dzwonek do drzwi, przyjdzie list, potem e-mail i SMS, zaraz zacznie się ten czas, kiedy Babcia będzie się nade mną pochylać przy wigilijnym stole i pytać z taką wszechogarniającą troską w głosie: „Kasiunia, czy powiesiłaś wreszcie firanki w oknach? A właściwie, to czy już masz wreszcie to dziecko?”. Czy już masz to dziecko, na które czeka cała ludzkość? Cały świat patrzy na bezdzietną ciebie przez te twoje pozbawione firanek okna i z dezaprobatą kręci głową. No ile można zwlekać? Chcesz być starą ciocią? Chcesz być posuniętą w latach bezdzietną dziwaczką? No chyba nie chcesz. Oczywiście, że nie chcę być starą dziwaczką. Nie będę. Nie będę starą dziwaczką i nie będę nastoletnią wpadką. Będę cyrklować z tym swoim uwierającym życiem tak, aby sprostać oczekiwaniom absolutnie wszystkich. Babci, ciotki Jadźki, taty, mamy i tego kogoś, kto puka do drzwi.

Wstaję więc, wychodzę z pokoju, patrzę kto tam.

- Jezu, a ciebie co sprowadza?

- Przyszedłem po łańcuszek.

## ZAKOCHANA KOBIETA

Ty myślisz, że ja nie pamiętam twoich oczu? Ciemnych tęczęwek, zbyt wyraźnych, niemożliwych wręcz, niepokojących do bezsenności, z całą masą niewidzialnych tajemnic, plamek niczym dziury w słońcu, kraterów księżycowych, wspomnień wciśniętych w mrok źrenic, ty myślisz, że ja ich nie pamiętam? Że zapomniałam?

Nic nie zapominałam.

Każdą kosteczkę twoich dłoni, stóp, numer buta, twój zapach, uśmiech, głos - wszystko to wiem, nauczyłam się wtedy, wyryłam w umyśle na zawsze i każdego dnia tuż przed snem, zaraz po nocnym rozstaniu z gorzkim smakiem dnia recytuję, śpiewam jak *Rascwietali jabłoni i gruszy*, jak „Litwo, Ojczyzno Moja”, jak pacierz, na pamięć.

Ty myślisz, że to mi tak fru, wyleciało? Że znikło? Że jak ktoś kogoś z domu wyrzuci nocą, gdy nikt nie patrzy, nie słucha, gdy nie ma świadków, tylko cichy tupot sandałów o stopnie klatki schodowej oddala się od ciebie jak kartki kalendarza, jeden, dwa, trzy, miesiąc, dwa, rok, dziesięć lat, to wtedy wszystko znika, chowa się w czarnej dziurze niepamięci, w kosmicznym zapomnieniu, na zawsze, na amen? Że można zacząć wszystko od nowa, jakby nic, jakby tamtej nocy wcale nie było?

Noc bez świadków, noc księżycowa, tylko ten tupot stóp, jak stenogram zapisany w mojej pamięci.

Pamiętam.

Przecież nigdy nie odsłaniam duszy, a teraz nagle oddaje siebie jak bilet do skasowania, tak jak wtedy: trzask, po sprawie, zapamiętaj tylko zapach, numer buta, kolor oczu i wysiadaj z tego tramwaju, znikaj z tego życia, idź w swoją stronę i szybko, piorunem zbuduj sobie inne. Swoje życie. Beze mnie. Bez miłości.

Mówisz, że jestem taka mała, trochę śmieszna, trochę

hałaśliwa, jak niedorośła dziewczynka, że się potykam o schody zupełnie tak samo jak wtedy, tylko że teraz to takie rozkoszne, miłe, fajne. I faktycznie, tak zostaje, faktycznie mówisz do mnie: mała, podtrzymujesz na tych schodach, kupujesz słodycze, lody, mierzwisz włosy i czekasz, aż nigdy nie dorosnę, aż zawsze będę twoja.

Dotykasz mnie, trzesz jak lampę Aladyna, jakbyś czekał, jakbyś sprawdzał, tymczasem moja głowa otwiera się jak sezam, wysypują się z niej wspomnienia, wylatuje z niej tamta noc jak dżin z pocieranego przez ciebie ciała, fruwa nad nami niczym kruk, rozwiera bezgłośnie dziób i snuje poemat, który jednak ciągle słyszę, od lat.

Przewija mi się jak film, klatka po klatce: twój dom, zeschnięte kwiaty na podłodze, kilka małych butelek zero trzy opróżnionych, ja pośród szkła, na chwilę, na minutę, jak lśnienie wypalonej gwiazdy w wyłomie twojego życia, puf!, jestem. A potem widzę już tylko czerń twoich słów: „Idź już sobie, wyjdź, nie rozumiesz, wyjdź stąd!”.

Zaraz żona wróci.

Moja chwila minęła, mój czas się skończył. Pomiędzy twoim i moim życiem sterta kartek z kalendarza. A na ich szczycie uparcie tkwi tamta, a raczej dwie, bo to noc była i nie wiadomo, czy to bardziej dwudziesty pierwszy, czy dwudziesty drugi czerwca?

Kasuję bilet: trzask.

Dobrze, że go mam, ostatnio przecież jechałam bez biletu, pewnie dlatego wyrzuciłeś mnie z nocnego tramwaju i wracałam na piechotę przez całe miasto sama, w środku nocy.

Łzy leciały mi po policzkach, łzy lecą zwykle w milczeniu, nie krzyczą, nie wołają, schną i znikają. Ot łzy, nic wielkiego, całe życie lecą. Moje stopy też zlatywały, po schodach, po cichu, dyskretnie jak dziewczynka zbiegałam do nowego życia, daleko od ciebie, od nas. Tak było cicho, bezgłośnie... Czy właściwie to wszystko się w ogóle wydarzyło?

Pamiętam twoje oczy. Jestem błękitnym niebem, po którym kiedyś przeszło ich chmurne spojrzenie.

\*\*\*

Nikt nie usłyszał tej ich przysięgi.

Nikt, poza samymi przysięgającymi, poza nim i Zośką, która święcie w tę przysięgę uwierzyła. I chociaż przysięgi nie wypowiedzieli w kościele, ale nad jeziorem, Zośka w jeziorze zobaczyła Boga. Ale czy Bóg się tym przejął? Czy uznał ważność tych słów? Czy dopomógł?

Nikt nie dopomógł. Żadni święci ani Bóg Wszechmogący w Trójcy jedyny, tym bardziej.

Tak sobie tylko powiedzieli, bo wino wypili, bo się zakochali. Bo tylko siebie mieli, poza parą spodni i jedną sukienką - nic więcej. Bo tym językiem osobliwym, dla nikogo niezrozumiałym, w swym dwuosobowym państwie zaczęli rozmawiać. A w tym języku jest niezwykle bogactwo odmian jednego słowa. Miłość. Miłość jest w każdym zdaniu, najprostszym i banalnym, nawet gdy jej nie słyhać, gdy nie słyhać tych głosek: M, I, Ł, O, Ś, Ć - to ona i tak tam jest!

Niewerbalna, przezroczysta, delikatna i silna jak pajęczyna. To słowo, głucha sylaba języka prymitywnych plemion, narzeczka pierwszych ludzi, unikalne brzmienie języka ho pi, nigdy dostatecznie nie wyśpiewana i nigdy nie sfalszowana pieśń. Coś, czego nie słyhać, a krzyczy. I choć nie słyhać, nie można ukryć. Gdzieś tam, między strunami głosowymi drga i w zwykłym mówieniu wybrzmiewa tysiącem akordów.

- Ślubuję ci miłość, wierność oraz to...

- Zobacz, jakie drzewo wielkie!

- To nasze drzewo.

- Jak ono się nazywa?

-Buk.

- To nasz BUK.

- To nasz BÓG.

- Tak nam dopomóż...

Zdecydowali, że nie wrócą do domu. To znaczy on nie wróci do żony, bo już, mimo młodego wieku się gdzieś zaplątał, już go ze studiów wyrzucili, już pracował, już przeklinał, już papierosy palił, już był dorosły, już był żonaty. Ona jeszcze w szkole, przed maturą, cienka bananówka, długie włosy, hipisowski styl

na najnowszą modłę. Nigdy nikogo tak nie kochała. Choć wcale piękny nie był. Dziewczyny mówiły, że diabeł. Chudy, z nosem garbatym, krzaczasty, żyłasty i faktycznie jakiś taki diabelski.

Zimne te noce czerwcowe. Bananówka na zmarzniętych udach. Jak do domu nie wrócę, matka mnie zabije.

- Nie zabije.

Nie zabiła. Od zabijania był on.

\*\*\*

Krzysztof.

Moja nowa miłość, moja miłość jedyna, niepowtarzalna, niezwykła, unikatowa. Boże, jak ja go kochałam. Jakby była wojna, nie modliłabym się o życie, ale o jego telefon. Ale przecież była wojna. Wojna wybuchła w jednej chwili, w porażającym momencie naszego pierwszego spotkania w pociągu. Moje istnienie nagle stało się kruche, niepewne, zależne. Sens mojego życia zbiegł się w oczekiwaniu na dzwonek telefonu.

Bolesnym oczekiwaniu, oczekiwaniu pełnym dramatycznych napięć, pełnym być albo nie być. Bo przecież byłam albo nie byłam. A raczej nie byłam. Nie istnieje bowiem taka liczba rozmów telefonicznych u zakochanej kobiety, która by ją uratowała. Mnie nic nie ratowało. Ja ciągle byłam ranna. Ja ciągle konałam. Ja umierałam najbardziej bohaterską śmiercią wszystkich wojen ludzkości. Śmiercią, która trwała dwa lata bez przerwy.

I nigdy nie miałam tego dosyć. Bo nigdy nie miałam GO dosyć.

Nawet gdyby był, jak go nie było, nawet gdyby dzwonił, jak nie dzwonił, nawet gdyby mówił, jak milczał. Zakochana kobieta czeka zawsze. Czeka od pierwszej sekundy swojego zakochania. Zerka na telefon z częstotliwością dwustu spojrzeń na minutę. Ona nie jest uzbrojona w cierpliwość. Ja nie byłam uzbrojona w cierpliwość. A może byłam? A może jednak byłam zakuta w pancerną zbroję cierpliwości, skoro potrafiłam tak czekać na telefon bite dwa lata, zanim definitywnie zrozumiałam, że cała ta miłość to moja iluzja?

Ale zanim to się stało, dokonałam ataku na samą siebie, wyniszczając w sobie wszystko, co mi jeszcze po moich relacjach z innymi ludźmi zostało. To, czego nie wybił Hanzi i czego nie wytlukł Jarek, wyrzezałam do ostatniej komórki ja sama. Ja, najgoręcej zakochana kobieta pod słońcem, nieobliczalna i gotowa na wszystko, gotowa rzucić się w podróż przez pół Polski, gotowa uciekać ze szkoły pod pozorem pogrzebu dziadka, gotowa z gorączką czekać całą noc i z rozpaczą wypić w samotności całą flaszkę wódki - wszystko po to, żeby wreszcie się doczekać spotkania, wreszcie to spotkanie u niego wyblagać, wystękać, wywarować.

Bo nic się nie liczyło ponad to spotkanie z nim, miłością mojego życia.

A miłość mojego życia miała mnie głęboko w dupie i traktowała jak antrakt w nudnym jak flaki z olejem małżeństwie. Jak zabawną rozterkę, której tak naprawdę nikt nie traktuje poważnie. Zostać z żoną czy być ze mną? Zostać z żoną czy być ze mną? Rozwieść się z żoną czy wyrzucić mnie za drzwi? Kwiatki, margaretki mógł sobie kupić i płatki rwać, jak dziewczyna szukająca odpowiedzi we wróżbie: Kocha, nie kocha?

Nie kocha!

Nie kocha, dziewczyno, bo jakby kochał, to byś żadnego kwiatka nie musiała skubać, bo byś to, jak amen w pacierzu, WIEDZIAŁA.

Każda kobieta WIE. Po prostu to wie. A jeśli nie wie, to znaczy, że nic tu po niej. Jeśli nie wie, to znaczy, że nie kocha. Koniec kropka. Jak facet kocha, to wie o tym cały świat i pół kosmosu. Jak facet kocha, to nawet twoje erytrocyty to wiedzą. Jak facet kocha, to nawet jeśli jest niemową, tak to roztrąbi, że nie ma wróbla, który by tego nie wiedział.

Tak więc, jeśli chodzi o Krzysztofa, to Krzysztof mnie, ściśle, nie kochał.

Ale ja oczywiście musiałam się ludzić. Musiałam wejść w tę grę pozorów i w niej tkwić pół życia, żeby sobie jeszcze je trochę bardziej spierdolić. Dopóki nie dotrze do mnie, że miłość to nie są telefony, listy, domysły, nierealne fantazje ani

dmuchawce na wietrze.

Pozory zawsze były moją mocną stroną. Udawałam pogodę ducha i spokój, podczas gdy w środku zalewała mnie lawa, w środku następowały po sobie erupcje, w środku tykała bomba zegarowa. Dopóki nie poczułam tego piekielnego spojrzenia na sobie, jakoś się trzymałam. Ale potem wystrzelona w kosmos uczuć, przestałam posiadać umysł. Czy zakochana kobieta posiada umysł?

Ależ oczywiście. Podobny do elektrowni atomowej. Potrafi rozebrać na drobne części najprostszy komunikat. Proste pytanie: „Cześć, mała, co tam?”. Co za ekwilibrystyka! Cześć mała, co tam? O jeny. Co tam?! Mała! Cześć! A. A! A!!! Mała! Mała? Ja jestem mała? Malutka? JEGO malutka? Jakież to musi być uczucie, skoro ja jestem jego malutką?! Co tam? O Boże, co tam? Nic tam. No zupełnie nic. Tylko nie spałam od dwóch dni warując jak suka przy telefonie. Tylko nie jadłam przez cały weekend, bo się nie odezwałeś, nie przyszedłeś, nie zadzwoniłeś, nie dałeś znaku życia, a ja siedziałam przy oknie i spaliłam cztery paczki fajek.

Ale spoko. Zajebiecie. Bawię się setnie, gdy ty spędzasz święta z żoncią. Super tam. To znaczy: tu. W mojej pustelni mentalnej, do której nikt nie ma wstępu, bo przecież od dwóch lat z nikim nie gadam, bo przecież nie mam nawet z kim, bo komu ja niby powiem, że mam romans z żonatym facetem - przecież matka mnie zabije. Zabije, że tak go kocham, że wszystko inne przestało znaczyć cokolwiek. Że zamiast uczyć się do egzaminów, stoję pod jego domem z psem i godzinami czekam, aż wyjdzie „wynieść śmieci”!

Ale i tak rewelacja. Świetnie, że zadzwonił. Mega, że powiedział całe zdanie: „Cześć, mała, co tam?”. Mam się teraz czym karmić przez następny pusty weekend, mam czym napełnić zasklepione pustką neuronami wymęczonego napięciem oczekiwania mózgu. Niech się teraz kręci ten dramat przypuszczeń, wyobrażeń odpowiedzi. Co powie w następnym zdaniu? Może na przykład, o matko jedyna: Kocham? Albo mniej dosłownie: Tęsknię? Pragnę? Całuję?

Prawda jest taka, że gównno powie, a nawet jeśli powie



cokolwiek, nawet jeśli to będzie któreś z powyższych upragnionych przeze mnie kłamstw, to sens odebranego komunikatu zawrze się w krótkim wyznaniu: „Zerznąłbym cię, mała”.

Ale to, oczywiście, pod spodem. Między wierszami. Bo na wierzchu jest: Kocham, tęsknię, pragnę, całuję.

\*\*\*

Słowa, słowa, słowa. I na tym koniec. Wirtualna miłość. Dwa lata fruwania światłowodem. Dwa lata odbierania wyczekiwanych telefonów i listów. I kilka gorących spotkań. Nic więcej. Ani przez moment nic więcej. Żadnych wspólnych weekendów. Żadnych spacerów po parku. Żadnych zakupów. Żadnych wspólnych problemów do rozwiązania. Nawet z psem razem nie wyszliśmy. Nawet, kurwa, łańcuszka złotego nie dostałam do pobawienia się iluzją.

Nic.

I chociaż nic więcej nigdy nie dostałam, ciągle na coś więcej czekałam. Czemu człowiek zawsze czeka na coś, czego nigdy nie dostał?

\*\*\*

Że z deszczu pod rynną, to mi nie musicie tłumaczyć. W tym tempie auto destrukcji gotowa jestem nie dociągnąć trzydziestki. Ale przecież taka miłość się nie zdarza. A przynajmniej niezwykle rzadko. Raz na dwa lata. Dwa lata temu byłam przekonana, że moja miłość z Jarkiem to absolutny fenomen. Fenomen, który zakończył się odebraniem łańcuszka. Tego łańcuszka, którego złotym ogniwem wiązałam nadzieję na to, że następnym razem będzie inaczej. Że on się zmieni. Że tym razem ze mną nie zerwie.

Zrywał.

I teraz też miałam fenomenalną miłość na zabój, na krew, na upokorzenie, na stratę wszystkiego dookoła, na śmierć, na rzucanie się z wieżowca, na wieczne oczekiwanie, że on się rozstanie z żoną dla mnie. Bo przecież łączy nas wyjątkowa miłość. Ależ ta miłość była WYJĄTKOWA! Jej wyjątkowość

powinna leżeć w Sevres pod Paryżem. Jedyna, niepowtarzalna, zesłana z niebios, z gwiazd, z kosmosu, zapisana w prorocत्वach Nostradamusa, rozerwana przez demony w postaci połówek pomarańczy, jabłek i kartofli.

Tak, to była moja miłość kartoflana, która sparaliżowała mnie, zakłęła w bezruchu w oczekiwaniu na telefon od mojego boga o imieniu Krzysztof. A mój bóg Krzysztof wykonywał swój telefon po kryjomu, ponieważ dar ów niezwykły, miłość jedyną, zesłaną z kosmosu, skrzętnie ukrywał przed żoną.

I, owszem, byłam połówką. Kupioną w monopolowym na świeżo odebrany dowód, na jego obiecaną wizytę, do której szykowałam się dużo dłużej, dużo dłużej niż trwały opisane na czterech stronach pamiętnika zabiegi. Szykowałam się tak długo, jak długo trwała obietnica. A potem czekałam. Czekałam całą noc.

Ale on nie przyszedł, bo on już nie był połówką, on był zero siedem wypitym z teściem na rodzinnym grillu.

\*\*\*

Moje potrzeby zawęziły się do bardzo wąskiej laserowej wiązki wypełniania JEGO potrzeb. Znamy to już. Moje potrzeby dwa lata temu były zawężone do wypełniania potrzeb Jarka. A wcześniej do wypełniania potrzeb Hanziego. Matki. Ojca. Ciotki Jadźki.

Tymczasem główną moją potrzebą było bycie tu i teraz w tym akurat momencie, gdy on miał czas i ochotę. A on miał czas i ochotę dosyć nieregularnie, w rytmie wyznaczonym rozpadającą się pustką między obowiązkami męzowskimi a patem w pracy. Jak już się wszystko wypełniło, jak wszystko wybrzmiało i było mu trochę nudno, wtedy szybko musiałam wszystko rzucić i niby ćma lecieć w światło oślepiającej mnie miłości. Ale oczywiście oszukiwałam siebie samą, że tak mi to właśnie pasuje, to mi teraz właśnie po drodze, a właśnie w ten sposób to nawet lepiej. Lepiej mi nie spać dwa dni i zaważyć egzamin, lepiej mi drałować do niego przez dwa miasta akurat w dzień kolokwium, lepiej mi wydać ostatnie pieniądze na bilet tam, dokąd on mi każe jechać. Nie, przepraszam, on mi nie

każe, on mi niczego nie każe, tylko MNIE tak PASUJE.

Wszystko to sobie powkręcałam, ponaginałam, że sama uwierzyłam w to, że to jest dokładnie MOJA potrzeba. Więc moją potrzebą było też wbijanie się w coraz krótszą i coraz bardziej obcisłą mini, w coraz wyższe i coraz bardziej niewygodne obcasy. Moją potrzebą było wypełnianie jego zachcianek o pierdaczeniu bzdur przez wykonany cichaczem telefon. Moją potrzebą było oddanie mu siebie w jakichś żenujących warunkach, w samochodzie, gdy on ma ochotę na podbudowanie swojego ego poprzez zaliczenie młodej, dużo młodszej od jego żony, laseczki z uniwersytetu.

Moją potrzebą było żywe wysłuchiwanie jego fantazji na temat nigdy niezrealizowanej ucieczki od życia w splotach namiętnych naszej wyjątkowej, dziwnej, nieokiełznanej, niebezpiecznej, tajnej, przeklętej i dlatego tak podniecającej – miłości.

Moje potrzeby znikły, zapadły się, wypaliły, wyrzezały. Została po nich przenośna lampa Aladyna, do pocierania i wypełniania JEGO potrzeb.

\*\*\*

A może to chodziło o to, że tak naprawdę ciągle coś mi się zdawało? Że zawsze coś się w takich chwilach wydaje? Nie będę mówiła o sobie, bo to jakby rozgrzanym prętem znów po plecach drapać. Niech to będzie opowieść o tobie.

Ty. Z tobą jest tak zawsze. To ty się na czymś fiksujesz i to ciągniesz, i tym żyjesz, właśnie tym wyobrażeniem przez rok, dwa lata, czasem całe życie? Twoje wyobrażenie ma niewiele wspólnego z rzeczywistością, otuliło cię szczelnie przed światem, zamknęło cię w kapsule, w salonie krzywych zwierciadeł. W krzywych zwierciadłach widzisz tylko siebie, choć oczywiście wydaje ci się, że widzisz tylko jego. Ale ty jego w ogóle nie widzisz, ty w gruncie rzeczy w ogóle go mało znasz. Mówisz, że wszystko było fajnie, że było cudownie, tylko nie wiadomo czemu nagle, rach- ciach, on zrywa. I wyrzuca cię za drzwi.

On zerwał i wyrzucił cię za drzwi, bo mimo że było tak

wspaniale, tak cudownie, tak się już wam POUKŁADAŁO, to problem właśnie w tym, że się poukładało, że już było, że trwało, a trwanie to nuda.

On, właśnie ten, którego nie zdążyłaś poznać przez ostatni rok, dwa lata, piętnaście lat, w ogóle nie był zainteresowany tym, żeby coś trwało. On nie chciał żadnego trwania, tak jak ty nie chciałaś wcale go poznać. Tobie wystarczyło wyobrażenie jego, nie on. Bo on, kochana, dobrze to znasz, piszą o tym wszystkie poradniki dla kobiet, on jest zainteresowany ZDOBYWANIEM.

Jego nie interesuje twoje wnętrze, twoja inność. Twoja inność go generalnie wkurwia. BYCIE z tobą też jest nieciekawe. Jego w ogóle nie interesuje bycie. Bycie to żmudny proces, to różność, to poranki i wieczory, to wspólne milczenie, to przyklejanie terakoty, to zapalenie gardła, to łyzy, to brudne gacie, to kupowanie pralki na kredyt i przewijanie obsranego dzieciaka. Bycie to też kłótnie, to smutek i żądność. To listwy przypodłogowe.

To koniec zdobywania. Śmierć niepewności.

A on musi tę niepewność czuć, on musi walczyć, zmagać się, cierpieć. Jeśli jest dobrze, to jest źle. Nie ma więc mowy, żeby było dobrze, zamiast „dobrze” są race, potajemne telefony, nieustające imprezy, bujanie się na lampie, wycieczki na koniec świata. I to oczywiście on cię zabiera, zawiązuje ci oczy i wsadza do samochodu, dwie walizki, skrzynkę szampana i pakuneczek z kokardką, blond kuferek na jego zachcianki.

Oczywiście umierasz z zachwyty, że jesteś zabierana jako ten pakuneczek z kokardką. Jak pacynka. Tak robił twój tata. Pojawiał się od święta, z trzygodzinnym opóźnieniem, ale przecież się pojawiał i wszystko inne przestawało być ważne. Wsadzał cię do samochodu, zabierał paszport, zabierał psa, wywoził cię po kawalku w nieznanne. A gdy powiedziałaś: „Nie”, to rzucił czymś przez pokój, aż się przykleiłaś do tego fotela jak rzekotka. Bo gdy powiedziałaś: „Nie”, to tak trzasnął drzwiami, że odpadł kawałek tynku. Bo gdy powiedziałaś: „Nie”, to nie odzywał się do ciebie trzy dni, a gdy mówiłaś: „Tato”, to patrzył jak na robaka.

A więc teraz się już nauczyłaś. Teraz się cieszysz. I opowiadasz przyjaciółkom, jak to super, niespodzianka, jakie to słodkie, jakie romantyczne. I mimo że zdobyłaś się na odwagę, gdy miałaś piętnaście lat, dziś już do głowy ci nie przyjdzie, że pewne rzeczy ustala się razem, że może się okazać, że pod spodem, pod tym pakunczkiem z kokardką jest ktoś, kto - puk, puk - wcale nie chce tam jechać albo przynajmniej ma prawo wiedzieć, dokąd jedzie. Nie dasz jednak tej sobie dojść do głosu, bo oto tu ktoś ma oczekiwania, a te oczekiwania są podyktowane podobno twoimi oczekiwaniami, jakby co, to przecież usłyszysz, że on to wszystko robi DLA CIEBIE.

Tylko że on to robi dla siebie, bo w chacie mu się nudzi. W chacie jest listwa do przykręcenia. Jednak ty wierzysz w to, że on to robi dla ciebie, więc robisz to dla niego, żeby go nie urazić, że, kiedy on się poświęca, ty jesteś taka niewdzięczna.

I tak się wzajemnie tą iluzją nakręcacie. I w ten oto sposób pozwalasz na to, żeby on się super bawił i na to, żebyś udawała, że ty się super bawisz. Ale jak się tak głębiej zastanowisz, to wcale nie bawisz się dlatego, że gdzieś jedziesz, ale dlatego, że zadowoliliś jego, że jesteś z nim i znów możesz poprzeglądać się w jego krzywych lustrach. Podoba ci się, bo JEMU się podoba. Jesteś zadowolona, bo ON jest zadowolony. I jest obłędnie, bajkowo. Jesteś królowną, pierdolonym pakunczkiem w jego wozie, a nie osobą dorosłą. Puk, puk.

A jutro on zrywa.

Huśtawka to podstawa tego związku, to jego chwiejny fundament. Jeśli nie będzie huśtawki, to nie będzie powodów do uganiania się za trofeum, a trofeum to właśnie ty. Atrakcyjna „jego” dupa, którą należy dopaść, zdobyć. Ty to krótką spódniczka, buty na obcasie. Ty to gadżet, blondyneczka, zabawka, fajerwerk w kolekcji jego życiowych triumfów. Zabawka, która nakręcona przez niego chodzi po domu w szpilkach. On mówi, że lubi szpilki, więc się w nich kolebiasz. On chce ciebie w mini? Chodzisz w mini. On chce, żebyś się wypacykowała w weekend, te dwa wolne dni, kiedy chcesz odpocząć i po snuć się dresach - pacykujesz się jak lala. Żadnych dresów. Żadnej codzienności! Żadnej nudy! Żadnych

listew do przykręcenia. Bo, nie daj Boże, znowu będzie zwyczajnie. Zwyczajnie dobrze.

A kiedy będzie znów to przekłete „dobrze”, on coś znajdzie, coś wymyśli, coś go obłędnie wkurwi w tobie, na coś się obrazi, coś tam okaże się, że przeskrobałaś, albo po prostu nie będzie chciał mieć kłopotów i on sobie pójdzie, odejdzie, zerwie, do piekła cię wtrąci. A potem znów będzie zdobywał i zabierał.

Ciebie albo inne trofeum.

To widać już na początku, w romantycznych wyznaniach, w urywających się telefonach, w gorączkowych: „chcę”. Chcę ciebie, JA chcę ciebie, jak nową zabawkę w swoim nudnym świecie. Żona mi się trochę znudziła, znudziły mi się jej cellulitowe biodra, a ty masz młode ciało i jesteś lalczką idealną na przerwę w życiu.

To te elektryzujące szeptki, że całe życie marzył o kimś tak super, o takiej mega lasce, której będą zazdrościć mu koledzy, jeszcze nawet bardziej niż samochodu i laptopa Apple. Całe życie marzył o takim tyłeczku w jego wozie, o takiej wystrzałowej cizi, o kobiecie z wyższej półki, nietuzinkowej, niebanalnej, wspaniałej królownie z bajki.

Śpiącej królownie, rzecz jasna. Bo jak zaczynasz coś chcieć, jak zaczynasz gderać i „się mądrzyć”, to już nie jesteś taka super. To już się pojawiają awantury, a to są oczywiście awantury o sprawy błahe, przyziemne, na przykład właśnie o przykręcenie listwy. No ale co ty, przykręcanie listwy dawno już nie kręci, jego to znudziło, więc sorry, ale przestań go naciskać i robić z niego pantoflarza. Przestań go wkurwiać, przestań gderać i się mądrzyć, że jesteś dorosła.

Skoro jesteś taka dorosła, to on to pieprzy, bo on wcale nie chce mieć dorosłej kobiety, on chce mieć niunię, trzpiotkę w sukienusi.

Nie naciskasz więc, nie sprzeciwiasz się, nie rościsz, próbujesz się dostosować, czekasz, kiedy rozwiedzie się z żoną. Ile lat jesteś gotowa czekać? Kto o tym zdecyduje? Ty? Nie rozśmieszaj mnie. To on zdecyduje, kiedy wyrzuci cię z domu, bo sorry, ale on kłopotów nie chce. Więc będziesz tą słodką dziewczuszką, będziesz fajerwerkiem, mega laską, której

zazdroszczą kumple, słodką córeczką, której zazdroszczą znajomi.

I tym się karmisz. To sobie w kółko powtarzasz i nawet już nie zauważasz, że znacznie te jego wyznania ubarwiasz. Już nie pamiętasz, że na pytanie, czy ładnie wyglądasz, on odpowiedział, że w porządku, a ty twierdzisz, że to było: „zajebicie”. Musisz sobie napompować to „w porządku” do „zajebicie”, bo faktycznie ostatnio jakoś przestał cię wielbić. Co gorsza, jakoś tak nie wiadomo kiedy role się odwróciły i teraz od dawna właściwie to ty wielbisz jego.

Ale ile byś nie wielbiła, ciągle mu czegoś brak.

I ile by on cię nie wielbił, ciągle tobie czegoś brak.

Brakuje ci czegoś, chociaż przecież wciąż jesteś taką samą Kaśką, nic się nie zmieniłaś, cały czas się starasz, tylko gdzie się podziała twoja wiara w siebie? To poczucie wartości, że jesteś jeszcze wciąż fajna, właśnie to, co widzisz w jego lustrze, w jego odbiciu. Musisz się bardzo starać, żeby tego lustro ci nie zabrał. Musisz się bardzo starać, żeby lustro wciąż pokazywało to, co chcesz. Musisz latać w tych spódniczkach i na tych obcasach, musisz się dopasować, musisz przestać zawracać głowę i niczego nie odmawiać, bo przecież, co się stanie, jak on ci to krzywe lustro zabierze? Co się stanie, jak wyjdiesz z kapsuły swoich wyobrażeń? Co się stanie, jak któregoś dnia on powie: „Idź już sobie, mała, bo żona zaraz wróci”? I czujesz się jak zero, bo on cię potraktował jak zero.

Skąd masz wytrzasnąć WŁASNE poczucie wartości?!

\*\*\*

- Może byśmy uciekli do Australii?

Boże miłosierny, o Jezu, matka znów mnie zabije. Matka mnie zabije, ale kto się teraz matką przejmuje? Przecież właśnie padły takie słowa, padło takie wyznanie, że chyba przestanę oddychać! On jest gotowy jechać ze mną do Australii, przecież to znaczy, że zwariował na moim punkcie, że jest gotów na wszystko, do kł adnie tak j ak j a!

Cały świat skurczył się teraz do tego jednego małego kontynentu za oceanem, do którego uciekałam z moim

Krzysztofem. I w każdej ciężkiej chwili, nawet wtedy, gdy czekałam na niego dwa dni i z rozpaczyny urznelam sie w samotnosci. Wtedy tez jechalam do Australii. Do Australii jechalam podczas matury i po maturze, a takze w przeddzień egzaminów na psychologię, która by mi się chyba bardzo przydała, gdybym się tylko na nią dostała. Ale się nie dostałam, bo byłam zajęta podróżą do Australii. Byłam tak intensywnie pochłonięta wyprawą za ocean z tym telefonem odmierzającym poziom temperatury wszechnej miłości, że zapomniałam zupełnie o tym, że nie mam biletu. I na gapę zawinęłam na ulicę Żołnierską mieszkanie trzydzieści siedem, na upragnioną noc. Bo przecież nikt się nie spodziewał, że facet u którego nocuję, jest żonaty i tego dnia jego żona postanowi wrócić wcześniej z wakacji.

I wtedy on, moja miłość gwiazdna, przeznaczenie boskie, jedyna, niepowtarzalna apokalipsa pragnień - wypierdoli mnie za drzwi.



## MATKA POLKA

Kiedy Zośka rodziła pierwsze dziecko, miała dziewiętnaście lat. Po niezbędnych zabiegach golenia i lewatywy, w krótkiej szpitalnej koszulce trafiła na oddział porodowy. I tam, na łóżku, została pozostawiona sama sobie. Gdy krzyczała z przerażenia i bólu, dwie pielęgniarki siedziały przy oknie i piły kawę. Gdy krzyczała z przerażenia i bólu, słyszała pełne zniecierpliwienia docinki, że jest za głośna. Nikt jej nie wyjaśnił, co się z nią dzieje, nikt nie podał szklanki wody, nikt za rękę nie potrzymał.

Za oknem był kwiecień tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku. Piękna pogoda, pierwsze pąki kwiatów. Ptaki śpiewały, budziła się wiosna.

Pod oknem przechodziło dwóch młodych mężczyzn.

Z zaciekawieniem przysłuchiwali się krzykom dobiegającym z porodówki. I nagle pojęli, że to głos znajomy: jednego - siostry, drugiego - żony. Ogromnie ich to rozśmieszyło.

Pośmiali się i poszli na piwo.

\*\*\*

No i oczywiście, że to się stało. To się musiało stać. Ten moment wykrakały wszystkie wróble na gałęziach drzewa genealogicznego. Oto jestem młodą mamą. Koniec piątek i czwórek z plusem. Mamy większy problem. Problem ŻYCIOWY. Koniec drugiego roku studiów i mdłości na genetyce. Jakie są mutacje chromosomalne? Ktoś wie? Ja nie wiem, ja zamierzam nie mieć z tym nic wspólnego. Jeszcze tego brakuje mi do szczęścia. Tymczasem, przepraszam państwa, muszę wybiec z sali i wyrzygać się pod drzewem.

Trzasnęłam drzwiami uczelni i to był mój początek trzaskania drzwiami. To był start w życie, moje życie, które w tej właśnie chwili przestało być moje.

Leżałam pod tym drzewem i patrzyłam na swoje ciało. Na dłonie, na paznokcie, na nogi, uda. Na brzuch. Na cycki, które powiększały się z minuty na minutę. Na całość, która ledwo urosła, a już się zdeformowała.

Pamiętam, że miałam tylko jedną koszulkę, w którą się mieściłam. Z tej koszulki śmiali się chłopcy ze starszego roku, ale nie miałam wyjścia. Przestałam się mieścić w czymkolwiek. Przestałam też mieścić się w domu rodzinnym, dlatego któregoś dnia zabrałam Dragona, wszystkie pamiątki, majtki na zmianę i trzasnęłam drzwiami po raz kolejny.

To była godzina dwudziesta trzecia. To był siódmy miesiąc. To był październik. To był początek trzeciego roku akademickiego. To była realizacja obietnicy spod obrazu Memlinga.

Wysłałam więc z domu i poszłam na dworzec PKP, by pierwszym pociągiem dotrzeć do miasta moich marzeń i tam już zostać na stałe. Nadeszły czasy absurdu dorosłości. Nie stać mnie było na nocleg w akademiku, nie mogłam przemknąć niezauważona przy portierni. W tym stanie wzbudzałam żywe, a niezbyt przyjemne dla mnie zainteresowanie pań z okienka. Wchodziłam więc do akademika przez okno. Okno było wysoko, wdrapywałam się więc mozolnie, ciągnąc za sobą rosnący brzuch.

Pies mógł wchodzić drzwiami.

\*\*\*

Hania. Od samego początku swego istnienia wywróciła mi świat do góry nogami. W dniu jej pojawienia się powstał nieopisany rejwach. Jakby faktycznie nic poza nią się nie liczyło, jakby ludzkość od zarania dziejów nigdy czegoś podobnego na oczy nie widziała. Oto zdarzył się cud. Ósmy cud świata. Dwie ręce, dwie nogi, głowa ciut za duża. Palce sztuk dziesięć. U stóp drugie tyle. Apetyt - maks. Defekacja - maks. Absorbowanie - maks. Decybele - maks. Miłość - MAKS.

Wolność i niezależność rodziców - zero. Sobotnie imprezy - zero. Słuchanie muzyki - zero. Sen - zero.

Trzy i pół kilo, pięćdziesiąt centymetrów. I jeden pewnik. Nic już nie będzie takie jak kiedyś.

Do końca życia nie zaznam spokoju. Do końca życia nie odzyskam talii. Do końca życia nie posłucham Red Hotów. Już mi się nawet nie będą podobać. Przystanie podobać mi się głośna muzyka i wypadły do Spatifu. W ogóle wszystko przestanie mi się podobać. A ja?

Ja generalnie nigdy się sobie nie podobałam, ja sobie zawsze w życiu przeszkadzałam, ale teraz stanie się coś nowego. Zaczną mi przeszkadzać wszyscy ludzie na świecie.

I Mikołaj. Mimowolna przyczyna ostatecznego Jarkowego zerwania. Pojawił się w moim życiu jakoś po drodze, w szkolnej ławce, niezauważalny pośród tych wszystkich toksycznych absztyfikantów. Nie zniknął, nie zrywał, nie miał żony i nie wyrzucał mnie za drzwi. Ale rozmawiał ze mną o kotach na dachu, o tym, czemu boję się wampirów i co widzę w tych książkach, z którymi się nie rozstaję. Wychodził na spacer z moim psem i leczył go u weterynarza. Stawiał na nogi po kolejnych upadkach, nosił moją walizkę i pomagał wdrapywać się do akademika. To był mój prawdziwy Mikołaj, nie ten wyimaginowany z dzieciństwa. To był mój Mikołaj, ojciec mojej (nie umiałam przyznać, że naszej) Hani.

Bo ja nie umiałam tego przyjąć. Ja się nauczyłam żyć w przekonaniu, że jestem sama na świecie, że sama sobie poradzę, sama przez życie z całym bagażem macierzyństwa się przedrę. Że skoro nie było ojca, to męża też nie ma. Jest na papierze, jest w formularzu, jest w statystykach. Ale choćby nie wiem jak był, to go nie ma.

\*\*\*

Zatrzasnęłam się, bardzo szczelnie zamknęłam z tym swoim problemem, sama przed sobą udając, że się nic nie stało, że nie ma co. Miałam niewiele ponad dwadzieścia lat. 48 kilo. I w głowie coś w rodzaju sieczki złożonej z naiwnych pytań o sens życia. W wieku lat jedenastu nauczyłam się zmieniać pieluchy na siostrze i gotować mleko z proszku. No to spoko, nie? A potem zaczęła się wojna. Wojna młodej dziewczyny w ciąży z całą ludzkością o

to, żeby się nie wpierdalała i pozwoliła żyć. Żeby młoda dziewczyna w tej ciąży nie była traktowana jak puszczalski śmieć, jak zero lądujące na ginekologicznym fotelu z trzydniowego melanzu, bezwartościowa i wyzuta z człowieczeństwa picza, której w głowie tylko podrzucanie dziecka teściom.

Nie. Chodzi o to, że to jest wrażliwa i przeżywająca intensywnie swoje życie osoba, której czasem wystarczy zwykłe ludzkie traktowanie. Która ma prawo spokojnie urodzić dziecko i według własnych pomysłów je wychować.

I niekoniecznie ma zamiar komukolwiek przy okazji robić krzywdę. Chociaż to ostatnie to nie wiem. Bo dziś bym rzezała.

Pierwsza była kobieta ginekolog, która stwierdziła ciążę. Mogliby ją pokazywać w gabinecie figur woskowych Madame Tussaud. Po wściekłym wyszarpaniu mojej szyjki macicy, usłyszałam westchnienie zniechęcenia i wyrok wyrażony takimi oto słowami: „I co? Która babcia będzie chowała?!”.

Potem to już poleciało. Armaty się odpaliły. Salwy poszły. Zmasowany atak. Na uczelni, w domu, w rodzinie, wśród znajomych, na porodówce i oddziale szpitalnym. We wszystkich mądrościach ciotek, położnych, pielęgniarek, redaktorek pism dla młodych matek, lekarzy i teściów.

W tych zakazach jedzenia kapusty, truskawek, mięsa, makaronu, kaszy, mleka, kurwa, wszystkiego.

W tych pierdzących poradach o szkodliwości soków owocowych i noszenia dziecka na ręku zbyt długo, bo się „przyzwyczai”. Bo się przyzwyczai i to jest dramat dla ciotki Jadźki, bo ona ma z tym problem, że moje dziecko przyzwyczaило się do tego, co jest w stu procentach naturalne.

W żelaznych zasadach karmienia co trzy godziny. Bo przecież jak się naruszy zasadę karmienia co trzy godziny i nakarmi się co dwie, co godzinę nie daj Boże, to Beata Kempa, Kinga Rusin i sąsiadka z naprzeciwka nie będą mogły spać.

W kwestionowaniu słuszności spania z dzieckiem. Bo przecież, jeśli się śpi z dzieckiem, to się dziecko zgniata, mówią o tym statystyki, jak świat światem, co drugie dziecko

zgniecione.

W kręceniu głową na widok ubrudzonych śpioszków. Jakby ta odrobina kurzu na kolanach raczkującego malca miała zabić.

W załamywaniu rąk, że jeszcze nie mówi. Bo przecież powinno.

W pseudo zatroskanych pytaniach: „A zupki już włączyłaś?”.

W jadowitych, pełnych zniecierpliwienia fuknięciach: „Czemu ona tak płacze?”.

W karcących spojrzeniach, że pierś na wierzchu, w miejscu publicznym (a przecież przeszkadza, że płacze!).

W druzgocących porównaniach, kto kiedy zaczął wysadzać na nocnik. A Michaś miał osiem miesięcy, jak wołał!

No to co ty, jak ty matka? Jak ty wychowujesz, skoro niedościgniony Michaś w wieku ośmiu miesięcy robił klocka do wesołego nocniczka, podczas gdy twój upośledzony dzieciak dalej wali w gacie? Jak się z tym czujesz? Sama sobie odpowiedz, jak się z tym czujesz, bo tu absolutnie nikogo nie obchodzi, jak się czujesz w ogóle. Tu wszystkich za to niezwykle obchodzi, jak oni się czują. A oni się czują bardzo. Tak bardzo, że weź się ogarnij i zrób coś z tym!

Przestałam się odzywać. Przestałam walczyć. Przegrałam tę wojnę. Tę wojnę przegrywa się zawsze. Ta wojna jest totalna. A najbardziej totalne jest to, że ofiar jest więcej, niż się wydaje. Ofiar jest cała masa. Zatrzęsienie ofiar. Masowy grób macierzyństwa.

Zagłada ludzkości.

Owszem, postanowiłam, że dam radę. Dziecko będzie robić koncertowo kupy do nocnika, chodzić, śpiewać i recytować wcześniej niż Michaś. I nawet przez moment nie przyszło mi do głowy, że oto właśnie pozwoliłam na to, żeby jakiś Michaś zajął miejsce Eli Kozior. Nie przyszło mi do głowy, że własnemu dziecku, temu samemu cudownemu maleństwu, które tak bezbrinnie zasypiało na moim brzuchu, które tak wściekle, niezrozumiale i nagle pokochałam, za którym dreptałam krok w krok na oddział noworodków, gdy mi je zabierali do naświetlań lampą przeciw żółtaczce, o które tak walczyłam z zaspanymi

pielęgniarkami, gdy nie chciały przynosić mi go do karmienia, na które patrzyłam z daleka przez szybę, gdy leżało w inkubatorze i płakało, a ja płakałam razem z nim - temu samemu najważniejszemu człowiekowi na świecie funduję właśnie ten sam koszmar, który prześladuje mnie przez całe życie. Masz być lepsza niż Michaś. Masz być lepsza niż Ela Kozior. Masz nie stawiać stóp na zewnątrz. Masz chodzić jak dziewczynka. Masz być mądra jak chłopiec. Z powodu oczekiwania ciotki, która tak naprawdę gwizdże na to, jak stawiam stopy. Z powodu wymagań zafiksowanej na sranie do nocnika ciotecznej babki, która zawsze wszystkich będzie porównywać do Michasia. Z powodu pieprzonych stereotypów społeczeństwa, państwa i Kościoła, którzy to wszyscy jak jeden mąż mają mnie i ciebie daleko w dupie, córeczko. Ale oceniać będą do krwi.

To był kolejny absurd dorosłości. Niestety, już zostałam skażona absurdami. Już ich nie zauważałam. Bez refleksji, za to w nowym rynsztunku, z pakietem G i B - granat i bazuka, dołączyłam do szwadronu wojennego, do zbrojnego szturm na samą siebie. Na siebie i własne dziecko. I jak na wojenkę przystało, okopałam się w wynajmowanym z Mikołajem mieszkaniu w Gdańsku Wrzeszczu i zamaskowałam się nieodłącznym, przyklejonym jak kamuflaż uśmiechem.

I tak uzbrojona - z niezagojoną raną po porodzie - smażyłam dzielnie kotlety dla rodziny, która mnie szturmem odwiedzała, bo teraz, w odróżnieniu od tamtego ciężarnego, błakającego się po akademikach kłopotu, stałam się szalenie interesująca, teraz można było zacząć się do mnie fantastycznie przypierdalać.

Aha. To były panierowane kotlety. Z ryżem i trzema surówkami.

Dałam radę.

\*\*\*

Niestety, musiało minąć wiele bolesnych lat, żebym zrozumiała, że dupa, że ja nigdy nie dałam rady. I że byłoby mi

łatwiej, gdybym miała prawo to sobie powiedzieć. Byłoby łatwiej, gdyby cały świat nie stał mi nad głową i nie robił mi klasówki z matematyki na każdym kroku. Byłoby prościej, gdyby ktoś ofiarował po prostu POMOC, zamiast tego popieprzonego moralizowania. Byłoby super, gdyby mi powiedziano, że spoko, że wiele rzeczy nie muszą tylko z tego powodu, że jestem kobietą. Genialnie by było, gdyby ludzkość nie uzurpowała sobie prawa do wydawania poleceń, rozkazów, wyroków, wskazówek, instrukcji, przykładów, wzorców. Byłoby rewelacyjnie, gdyby po prostu pozwolono żyć.

Bo gdzie wszyscy byliście, gdzie, pytam, gdy ten dzieciak - tak, ten sam, o którego potem stoczyliście wojnę, czy i kiedy podawać marchewkę i do czego srać

- był wciągany przez okno do akademika w moim brzuchu, bo nie miałam dwadzieścia siedem złotych na nocleg? Gdzie byliście, kiedy ten dzieciak w moim brzuchu żywił się jednym jabłkiem, w najlepszym przypadku kradzionym ze stołówki akademickiej obiadem? A gdzie byliście, kiedy ona przychodziła na świat? Kiedy chorowała na żółtaczkę? Gdy na mróz bez kurtki, w kocu ją wyniosłam, telefonu nie mając, szukając w panice dobrego człowieka, który mnie za darmo zawiezie z noworodkiem do szpitala?

\*\*\*

Kiedyś wracałam z pracy, odebrałam Hanię ze żłobka, miała wtedy trzy lata. Jechałyśmy tramwajem do domu, w tramwaju zasnęła. Wzięłam ją na ręce i szłam z przystanku do domu. Szłam obliczając w głowie odległość i własne siły. Czy dam radę? Dam radę przejść z dzieckiem, które waży piętnaście kilo, dwa kilometry? Kurde, nie wiem. Może dam. Oczywiście, że dam. Nie będę jej przecież budzić. Niech śpi. Przyniosę ją do domu, otworzę jakoś drzwi, nogą przytrzymam dziecko, potem wtargam się z nią, zatrzasnę drzwi, przejdę do pokoju, położę ją w łóżeczku i odpocznę.

Odpocznę.

Może uda mi się nawet zasnąć? Może chwilę się zdrzemnę, zanim mała się obudzi? Nawet jeśli nie zdążę, to przecież i tak

będzie cudownie choć chwilę odsapnąć. Myślę więc o tym, jak odpoczywam, jak się układam w fotelu, a może nawet na sofie, wyciągam książkę, pamiętnik, czytam, piszę, cichutko gra radio, Hania śpi.

Tymczasem idę przez ten cholerny Wrzeszcz, z naprzeciwka jakiś facet w garniturze pewnym krokiem zasuwa. I te płytki, pieprzone płytki chodnikowe - każda pod innym kątem. Te polskie płytki chodnikowe, czy jest na sali jakaś pierdolona fundacja *pro life*, zadbajmy o przyrost naturalny, heloł? Gdzie jesteście? Może zamiast robić kolejny spot o tym, że kobiety muszą zdążyć rodzić płatników ZUS, wpłaćcie na fundusz równania chodników? Bo jak idzie matka z dzieckiem na rękę, pot jej spływa po plecach, to ona jednak nie może zobaczyć, że płytka chodnikowa leży pod kątem 40 stopni, i ona się, moi drodzy, o tę płytkę potyka i leci z tym dzieckiem na twarz.

Żeby na twarz!

Żeby to była twarz matki. Żeby chociaż. Ale to, niestety, tak się fizycznie składa, że w pierwszym kontakcie z betonem jest potylicza dziecka. A facet w garniturze z naprzeciwka idzie i wiecie, co robi? Podbiega, oferuje pomoc? Podnosi płaczące w niebogłosey, wystraszone dziecko? Może dzwoni po pogotowie? Nie, moi drodzy. Ten facet się śmieje! On się śmieje z tej sytuacji. Jemu nie sposób powstrzymać się od parsknięcia. On prycha i przechodzi sobie dalej, zostawiając na chodniku potłuczoną trzylatkę i matkę, która połyka lzy.

To jest, drodzy państwo, tak śmieszne, że jak dziś, po latach to opisuję, to mam ochotę się ze śmiechu zesrać. Do nocnika, jak Michaś. Dlatego uważam, że ta scena powinna być sfilmowana i wyemitowana w telewizji publicznej. Jako podsumowanie wszystkich potknięć matek z dziećmi tego kraju. Jako esencję działań opiekuńczego państwa, wszystkich instytucji, które wzmacniają społeczną świadomość, jak ważne jest macierzyństwo. Proszę bardzo. Macie za friko. Scenariusz na najlepszy spot fundacji Mama i Reszta Świata.

\*\*\*



Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy, póki one rodzą. Na opustoszałych porodówkach, wśród chichotu spijających kawę pielęgniarek. Wykpione, upokorzone, z ogolonymi łonami, z przyklejonymi do brzuchów kardiogramami, unieruchomione z bólu, wbijające sobie ze strachu paznokcie w dłonie, zlekceważone bohaterki wszech czasów. Te, którym od pokoleń wmawia się, że ich rola jest mniej ważna, mniej wzniosła, mniej rycerska, kiedy one rodzą, a ich mężowie idą w bój. Przedstawicielki jedyne go gatunku na świecie, dla którego własne przetrwanie stanowi dalszy plan. Matki.

Niezgrabne, roztargnione, z mlekiem w cycach, z rozczochraną spoconą głową, nieprzytomne z bólu, wydzierające się na pół miasta, aż się ludzie śmieją. Kwoki, mleczarne, chodzące inkubatory. Grube bele, dupy szafy. Co rok prorok, maciory rozplodowe, kłopotliwe w pracy, na urlopach macierzyńskich, wiecznie na chorobowych, bezużyteczne, niewpasowane, z tym swoim inwentarzem nigdzie nie zapraszone. Z tą hałasem męczące. Roszczeniowe, wózkowe, bezczelnie pchające swoje wielkie niewygodne dupiska w ten nasz zgrabny, photoshopowy, ultranowoczesny świat.

One się nie ubierają w mundury, nie bawią się wojnę. Sztandarami nie machają. Ojczyzny naszej pół krwią nie rosą. Nie walczą. W powstaniach nie giną. Ich blizny nie pochodzą z przegranych powstań, ich blizny to świadectwo wygranej.

Im nikt nie przyznaje orderów na uroczystościach, rocznicach wybuchu wojny, stłumienia powstania, przewrotów, przeskakiwania przez płot, wyzwoleń, obaleń, Solidarności, wolności i świąt patriotyzmu. A to one wydawały na świat kolejne pokolenia - w schronach, w obozach, w domach, na obskurnych porodówkach, w przepełnionych szpitalach, w trudnych czasach kryzysu, w czasach okupacji, internowania i mleka na kartki. Gdyby nie one, nas by nie było.

Tej logiki ludzkość przyjąć nie potrafi. To prawda zbyt ciężka, jakby się dwa razy dwa tak skomplikowało, że żaden mózg w tym kraju tej zasady pojąć nie może. Ludzie latają w

kosmos, przesyłają sobie międzykontynentalne selfie, a fundamentalnej prawdy o zachowaniu gatunku nie potrafią zrozumieć.

I wmawiają tym, od których zachowanie gatunku zależy, że ich rola na tym świecie jest DRUGORZĘDNA. Że jeszcze muszą bardzo się starać, żeby oprócz tej DRUGORZĘDNEJ roli, odgrywać setki innych ról.

To się matkom wmówiło i teraz one same od siebie wymagają cudów, bo nie tylko wydadzą na świat potomstwo, nie tylko będą dbać, karmić, chronić, sprzątać, całe swoje życie poświęcą, ale jeszcze zakatują się na siłowni, jeszcze się wypindrzą, jeszcze się wyświęcą, jeszcze będą skakać wokół męża i całej jego rodziny, dla której ze zsytym tyłkiem po porodzie będą smażyć kotlety, gdy przyjdzie obejrzeć wnuczkę. One się muszą podobać, rozstępy usuwać, wagę zrzucać, cellulit leczyć. Muszą być perfekcyjne, ładne, posłuszne i grzeczne, żeby nie psuć humoru nikomu, żeby innym było miło, żeby nie przeszkadzało, że po dziecku się „rozlały”. Żeby nikomu nie przeszkadzało, że karmią dziecko w centrum handlowym, żeby nikomu nie przeszkadzało, gdy zmieniają pieluchę w restauracji. Żeby zeszyły wszystkim z drogi.

Ktokolwiek stworzył ten świat, umiera ze śmiechu widząc ten kraj „drugorzędnych matek”. A już na pewno w śmiech uderzyłyby zwierzęta, te wszystkie królowe matki w swoich ulach, gdyby się dowiedziały, że ci, którzy się nie rozmnażają, pouczają te, którym gatunek zawdzięcza istnienie. Bo one by ich nawet do ula nie wpuściły.

Może, zamiast religii, w szkołach powinno się po prostu puszczać filmy przyrodnicze? Może dzięki temu ludzie pojmą, kim w naturze jest Matka? Może wtedy zostawią ją w spokoju? Uszanują? Zaufają jej mądrości, jej instynktom? Może nie będą kontrolować jej sumienia? Nie będą pouczać? Zejdą z jej głowy, wyjdą z macicy? Pozwolą o sobie decydować? Nie będą stać na straży moralności, przestaną nakazywać, zabraniać, moralizować?

Może wtedy skończy się odwieczny szantaż historią o

dziewicy, której anioł zwiastował ciążę. Ten paradoks matki niepokalanej, służebnicy PAŃSKIEJ, kobiety nieskończenie pokornej. Ta cwana presja wymyślona przez tych, którzy ze strachu przed wyrzuceniem z ulla, odwrócili porządek świata. Może wreszcie zrozumiemy, dzięki komu przetrwaliśmy. Czy dzięki wojnom, które nas zabijają? Czy dzięki powstaniom, które przegrywamy? Czy dzięki polityce, z którą sobie nie radzimy? Czy dzięki Bogu, którego nikt nie widział? Czy dzięki Matce.

\*\*\*

W kółko śni mi się sen z tamtej kamienicy, w której mieszkałam jako dziecko. Wracam, jakbym miała coś do załatwienia. Jakbym musiała jeszcze trochę pomieszkać, żeby zmienić zakończenie.

Odrapany dom w starej dzielnicy Olsztyna. Na parterze wielodzietna rodzina. Dzieci znajdują w piwnicy kilkudniowe szczeniaki. Bawią się nimi przez cały dzień, a potem przywiązują do roweru za sznurek i ciągną za sobą. Ciała szczeniaków walają się potem przy piaskownicy. Nic z tego nie rozumiem.

Na pierwszym piętrze melina. Wracam ze szkoły, na ścianach i podłodze półpiętra rozlana świeża krew. Czyja to krew? Czy ktoś zmarł? Przy piaskownicy nie ma ciała, znów nie ma odpowiedzi.

Na drugim piętrze Misia. Na trzecim piętrze my.

Misia ma 5 lat i czarne oczy, ogromne. Czasem słyszę na klatce schodowej apokaliptyczny gniew jej ojca: „Kuuurwa!!!”. Nic mnie bardziej nie unieszczęśliwia. Ani kogucik, o którym mi mama opowiada, kogucik który tak się uparł, żeby mimo przestróg drzwi lisowi otworzyć, że za trzecim razem lis go wreszcie pożarł. A ja krzyczę ze łzami na twarzy: „Mamo, nie! Zmień zakończenie, zmień!”. Ani ten Janek z książki *Przyjaciel Wesołego Diabła*, co przybranego ojca starego porzucił, a ja ryczę w poduszkę tak, że gorączka 39 stopni. Ani *Janko Muzykant*, ani opowieści o wojnie. Ani Babcia, która śpiewa do snu

piosenkę o straszliwym Henryku, który zabił brata swojej żony, a ta biedna musi jeszcze brata zakrwawioną chustę prać:

A ona prała i płakała.

Ona prała i płakała.

Bo po chuście poznawała...

Żeby nacisnąć dzwonek do naszego domu, Misia musi wspiąć się na palce i z całej siły wyciągnąć ręce. Żeby nacisnąć dzwonek do naszego domu, musi zostawić dwie młodsze siostry, jedną dwuletnią, drugą trzymiesięczną. Żeby nacisnąć dzwonek do naszego domu, musi pokonać wstyd i strach, pójść piętro wyżej do obcych ludzi i powiedzieć, że nie jadła nic od dwóch dni, jej siostry też nie jadły od dwóch dni, bo rodzice nie wrócili z balangi. Ojciec bije, matka pije. Krew na ścianach, krew na podłodze. Świat ledwo powstały, już osuwa się w przepaść.

Moja matka otwiera drzwi, ja stoję obok. Misia wygląda jak poszarpany skrzat. Gęste czarne włosy odcinają się równo przyciętą grzywką nad wielkimi oczami. Dziewczynka dwa razy próbuje coś powiedzieć, aż wreszcie, zachęcona łagodnym uśmiechem mojej matki, duka:

- Mama... nie włocila. Mogę bułkę dla siostly?

I mleko?

Mamo, zmień zakończenie! Zmień zakończenie tej historii, bo od dzieciństwa nie mogę spać! Zmień zakończenie, tak jak zawsze to robisz! Daj życie kogucikowi, przytul starego mędrca, ocal małego skrzypka, zabierz esesmanów, okrutnego Henryka i tych strasznych ludzi z drugiego piętra! Kup cały koszyk bułek i nakarm wszystkie Misie tego świata!

Najbardziej tęsknię do tych słów, których nie napisałam. W nich zawsze czai się nadzieja, że zakończenie można zmienić.

## BABCIA POLKA

Dni mijają bez pośpiechu. Wstaję niezbyt wcześnie, jem w łóżku śniadanie, czytam używając okularów. Za oknem zima hula, ja przy kominku, w niebieskim kocu, w filcowych kapciach piję herbatę z cytryną. I niech mi ktoś powie, że młodość jest fajniejsza.

Wczoraj wyszłam na spacer. Szłam niespiesznym krokiem w kierunku lasu i napotkałam cmentarz. Małeńki. Cmentarzyk, rzec można. Uroczy, zanurzony w śniegu, któremu nadchodzący mrok nadał błękitną poświatę. Furtkę otworzyłam, zajrzałam do królestwa śmierci i śmierci oddech chłodnym pozdrowieniem wiatru mnie przywitał. Poprawiłam szalik i przekroczyłam bramę. Ścieżkę cmentarną wśród zmarłych domostwa przemierzając, czytałam na głos nazwiska na grobach, jedno po drugim, jakbym czekała odpowiedzi: „Jestem!”.

Nazwiska na mogiłach dziwne, historią skrócone z zachodu na wschód, z północy na południe, niczym rebusy skrywają tajemną przeszłość. Krakau, Henschek, Hosenberg, Susenbach...

Szłam, zatrzymując się czasem, a że cmentarz niewielki, zaraz znalazłam się przy skrajnej ścianie przeciwległej do wejścia, pod płotem. W śnieżnej zadymce i gęstniejącym mroku nie zauważyłam od razu zakapturzonej postaci, która stała kilka grobów dalej. Teraz wyostrzyłam wzrok, wśród opadających płatków rysowałam szczegóły. Wzrost niewysoki, waga nieduża, włosy popielate spod kaptura na boki wystają, czyżby w kitki związane? Kurtka zbyt obszerna, dzinsy przydługie, kupione na wyrost, buty na zimę - za słabe. Stoi i smycz szarpie, a na smyczy pies. Znam ją! Znam dobrze. Podchodzę więc śmiało i mówię:

- Cześć!

Ona się kłania: „Dzień dobry!”, co mnie z miejsca irytuje, nie ma bowiem gorszego upokorzenia zadanego przez młodą osobę, jak podkreślany wobec starszego, niechciany dystans.

- Poznajesz mnie? - pytam, a ona mnie znów denerwuje, bo odpowiada, że nie!

- Ja cię poznaję - rozpaczliwie ratuję sytuację, a z pomocą przychodzi mi pies, który rzecz jasna szaleje z radości na mój widok. Skacze i skamle z euforii, a zaraz potem, choć miejsce ku temu niestosowne, turlamy się razem po śniegu.

- Dwadzieścia lat mnie nie widział - mówię zziębnięta i śmieję się głośno, mierzwiąc przyjaźnie gęstą sierść.

Dziewczyna odgarnia z oczu kaptur, zdmuchuje śnieg z rzęs i stanowczym szarpnięciem smyczy psa ode mnie odciąga.

- Bzdura, ten pies ma rok.

- Kasiu - tłumaczę pobłaźliwie - ile ty jeszcze musisz pożyć, by zrozumieć zasady logiki? Stwierdzenie, że roczny pies NIE WIDZIAŁ kogoś lat dwadzieścia, bynajmniej bzdurą nie jest! Rzecz ta jest niezbyt zawila, a jeśli chcesz w przyszłości pisać (co ci serdecznie odradzam), musisz te proste sprawy zrozumieć.

Dziewczyna nie chce słuchać. Odwiecznym konfliktem pokoleń skłócona, ramionami wzrusza i przerywając to niezwykle spotkanie, w mroczną przestrzeń odchodzi. Pętlę czasu z młodzieńczą beztroską rozluźnia i, choć wołam za nią, wołam po imieniu, ona nie chce wrócić, ona się nawet nie obejrzy. Krnąbrna, nieczuła jak posąg, porzuca mnie - teraźniejszość - w ponurej aurze przeszłości.

\*\*\*

- Babciu, Babciu, zaśpiewaj *Szła dziewczeczka!* Jak to było, jak to było? Napotkała myśliweczka, jak to było?

- Napotkała myśliweczka bardzo śwarnego...

-I co dalej, Babciu? I co dalej?

- Myśliweczku, kochaneczku, powiedziała...

- Tak powiedziała? I co? I co?

- Bardzom ci rada, ha, ha, ha!

-I co?

- Dałabym ci chleba z masłem... ALEM GO ZJADŁA!
- I co, nie dała?
- Nie dała, dziecko, sama zjadła. I bardzo dobrze zrobiła.

\*\*\*

Opowiem wam, jak moja Babcia zdejmowała stanik. Najpierw go rozpiniała z tyłu, pod bluzką. Potem wkładała rękę do przeciwległego rękawa i uwalniała ramię z ramiączka. To samo z drugiej strony. Ostatecznie stanik wyciągała przez dekolt. Zastanawiałam się, dlaczego przez dekolt, skoro można go wyciągnąć już przez ten drugi rękaw. I chyba wiem, czemu. Po prostu Babcia miała dużo większy biust od mojego, stąd taki pomysł. Ja dawałam radę zrobić to „na skróty”.

Zdjęcie stanika było ostatnim etapem przebierania się do snu. Wcześniej odbywał się proces zakładania koszuli nocnej. Żeby założyć koszulę nocną, należało, rzecz jasna, najpierw pozbyć się sukienki. Ale nie wyrrywajmy się z tym tak nagle. Sukienkę zdejmowało się etapami. Najpierw należało nieco rozpiąć zamek z tyłu, uwolnić ramiona z ramiączek lub rękawów. Tak zawieszoną na korpusie sukienkę pozostawiało się jeszcze przez moment, aby zasłonić ciało koszulą nocną. Teraz już można było spokojnie zsunąć kieckę dołem bez obaw, że ktoś ujrzy roznieglizowane ciało.

Majtki zdejmowało się dyskretnie, szybko. Po zdjęciu, ścisnęło się je w dłoni, aby nikt nie zauważył intymnych śladów noszenia. Panował niezrozumiały dla mnie do dziś zwyczaj zdejmowania majtek już pod kołdrą i chowania ich pod poduszkę. Być może defilowanie do łazienki w samym szlafroku, koszuli nocnej i bez majtek pod spodem (by je od razu wrzucić do prania) mogło uchodzić za rzecz nazbyt bezwstydną.

Dziadek chodził po domu w samych slipach, niezbyt przylegających do ciała, co pozwalało na frywolne uwalnianie się klejnotów spod bielizny. Nikogo to nie dziwiło.

\*\*\*

Do Babci nie wchodziło się z dzwonkiem. Nikt nigdy nie pukał, nikt za drzwiami nie czekał. Od kiedy wielkie mieszkanie

w kamienicy władze na pół podzieliły i do dwóch rodzin się wchodziło przez wspólny korytarz, nastąpiła niepisana zasada wchodzenia bez pukania do obu mieszkań, utworzonych z tego jednego. Drzwi się nigdy nie zamykały, nikt też nigdy nie wpadł na pomysł, by je kluczem ryglować. Jak na dworcu okręcały się bez ustanku i bez ustanku wpuszczały i wypuszczały gości, sąsiadów, domowników. A to Jadźka, a to dzieci Jadźki, a to Franek, a to jego syn, córka, żona, żony siostra, teściowie, synowie teściów, wuj, stryjenka, wnuki. Samej rodziny starczyło na nieustanne odwiedziny, a co mówić: znajomi! Dom Babci tętnił życiem, lecz życie to nie było wypełnione przyjaznymi spotkaniami. To był młyn odwieczny, szarpanina, rozstania i powroty, łzy i pretensje, i kłótnie. Ola uciekała przed rozłoszczoną matką, Zośka przed mężem, dziadek przed piwniczną zjawą.

\*\*\*

- Leżało to wziół - powiedział któregoś dnia na progu, starym swoim zwyczajem, bez „dzień dobry”, bez wstępu.

Zawsze, gdy wchodził do mieszkania, był już w połowie zdania, w środku tego swojego strumienia świadomości. I teraz wszedł, jakby prosto z tego śmietnika, z którego „wziół” coś do domu, a cały był dumny, jakby z Wilna na Berlin szedł.

- Co to jest?! - krzyknęła Babcia, jeszcze w poprzednim, krochmalnym uniesieniu, a już z nową trwogą. - Coś ty mi tu za śmieci przyniósł, stary?! Tobie tylko jakieś śmietniki i piwnice, łazisz jak kot z pęcherzem. Na co to mnie?! Co to?!

Dziadek wyjął zza pazuchy grubą książkę w ciemnej oprawie, do złudzenia przypominającą Tę Książkę.

- Jezus Maria! - jęknęła Babcia i usiadła.

Wszystkiego się bowiem mogła spodziewać, ale nie książki w rękach swojego męża. Prezent, z lękiem, jednak przyjęła. Rzuciła spojrzeniem na okładkę, przewertowała kartki i uspokoiła się. Nie była to Biblia. Gdyby to była Biblia, z pewnością znak Świętej Księgi na wysypisku nie wróżyłby nic dobrego. Miejscem Biblii jest wszak ołtarz, względnie wypieszczona półka za szkłem w jej kościelowym pokoju.



Co też to była za księga jednak, że ją aż na wysypisko wyrzucono? Jaki musiała mieć w sobie niebezpieczny potencjał, coś za treść wzburzającą, że ją tak potraktowano? Czy może też trafiła na niewłaściwego czytelnika, który jej stron nie rozumiał, a w swym niezrozumieniu cisnął bezmyślnie dzieło na śmietnik?

Babcia, po krótkich rozważaniach, książkę potraktowała wyjątkowo. Nie wstawiła na półkę obok Pisma Świętego, modlitewników i żywotów świętych - Faustyny i Ojca Pio. Tak naprawdę nikt nie wie, gdzie ją schowała, bo nikt jej już więcej nie widział. Jedno jest pewne, Babcia nie poszła w ślady poprzedniego właściciela i książki nie wyrzuciła. Wprawdzie nie była to święta książka, ale niechybnie zaczarowana. Tak mądra i tak ściśle z nadprzyrodzoną naturą zżyta kobieta musiała to wiedzieć. I gdy już w domu wszystkiego zabrakło, i mąki, i oleju, i cukru, Babcia dziwnym sposobem warzyła rozmaite potrawy, na które przepisy znajdowała podobno w tej właśnie książce. Tak powstawały zupy z gwoździa, grzanki ze starego chleba i suszonego czosnku, kluski, kopytka z obierków i z diabli wiedzą czego jeszcze. Jakby tego było mało, Babcia na deser - czy z pajęczyn, czy z kurzu? - zagniała ciasto. To były wyśmienite wypieki, pełne aromatu, z piernikowo-miodową nutą. Łagodziły niejednen konflikt, ratowały niejedno dziecięce marzenie. Maczane w gorącej wodzie stawały się ambrozją, chrupane na krucho - substytutem nieistniejących w tym świecie słodczy. Niemające sobie równych, słynne na całe miasto kryzysowe ciasto.

Wieść niesie, że któregoś dnia, gdy Babcia wyszła do dużego kościoła (nigdy nie chodziła do małego, prawdziwy Bóg mógł rezydować jedynie w monumentalnej bazylice św. Jerzego), wkradł się do nigdy nie zamkniętego mieszkania pewien chytry przedsiębiorca i podpatrzył przepis w książce ze śmietnika. Wkrótce potem powstały zakłady przetwórstwa cykorii produkujące osławiony piernik kętrzyński.

Ale czy to prawda?

- Myślałam o tobie, Babciu. Myślałam o pogrzebie.

- A czyj to pogrzeb był?

- Rysia.

Babcia szła sama, samiuteńka za wozem konnym, wóz podskakiwał na kocich łbach, a ona w butach czarnych, jedynych wyjściowych, do kościoła, na wesele, na chrzest i na pogrzeb.

- Czarne, na obcasie - kiwa głową Babcia. - Ile masz butów dziecko?

- Nie wiem.

- A ile masz czarnych?

- Nie wiem.

Ona wiedziała. Wiedziała ile ma butów, bo miała dwa. Prawy i lewy. A dzieci czwórkę. Jadzię, Franka, Zośkę i Rysia. Jadzia w domu, Franek na drzewie, Zosia w obłokach i Rysio w trumnie. Maleńka trumna podskakuje na wozie, droga ze szpitala na cmentarz daleka, wyboista i nikogo do niesienia krzyża.

Babcia na dłoniach miała skórę tak twardą, że gdy wypadały z pieca rozżarzone węgle, łapała je i bez skrzywienia wrzucała z powrotem. Przy czym nuciła psalm i mgłą subtelności otaczała swoją żelazną niezłomność. Im była starsza, tym częściej przybierała tę uduchowioną twarz, robiąc się wtedy jakaś taka przezroczyista, niebieska. I rozmawiała w myślach z Kimś Wielkim, z Kimś Kategorycznym, z Kimś, kto tak jak ona, znał wszystkie grzechy dziadka. O czym z Nim rozmawiała? O czym Mu mówiła?

Dziadek tak bał się odpowiedzi, że myśl o niej sznurowała mu zwykle rozbrykany język. Nie mógł nawet wykszusić imienia Babci. Gdy zapomniał klucza do furтки ogrodu, krzyczał pod oknem:

-Ty!

Ona falowała przez kuchnię i mówiła dobrotliwie do wnuków:

- Zobaczcie, jaki głupi ten stary. On nie wie, jak się nazywam!

- Ty! - uparte choć zduszone wołanie dobiegało z podwórza.

On by z tego upokorzenia chciał zrezygnować, może i by

poszedł na samą górę, choć już miał rozrusznik serca wstawiony - ale to przecież by nic nie dało! To by tylko sytuację pogorszyło! Bo gdyby się wspiał na trzecie piętro (a schody drewniane są jak konary), stanąłby z tą pogardą twarzą w twarz:

- O, co za niespodzianka, dzieci! Dziadek poszedł na działkę bez klucza! A po cóż klucz! Po co królowi klucz od furtki?! Przed królem wrota same się otwierają!

Dzieciaki się śmiały szyderczo i choć groził, że pasa zdejmie, dalej szydziły, bo on nigdy, przenigdy tego pasa nie zdjął.

- Ile masz butów, dziecko?

- Nie mam pojęcia.

Rysio miał czarne, lakierowane, malutkie. Tylko dla ozdoby, bo przecież nie chodził jeszcze. Jeszcze nie chodził, gdy jego ojciec stracił cierpliwość dla jego płaczu.

Milczenie Babcі ma więcej odcieni. Teraz na chwilę znika jej uśmiech i czekam, co powie. Co można teraz powiedzieć? Co można czuć? Co można czuć, gdy rano się zrywa do pracy, a dzieci same, samusieńkie, bo mąż nie za bardzo wie, którądy do domu? Co można powiedzieć, gdy płaczące niemowlę tak go denerwuje, że ze złością rzuca je na tapczan? Co można czuć na pogrzebie własnego dziecka, gdzie tylko woźnica, trumienka i ona sama?

- Wszystko w życiu trzeba przeżyć.

\*\*\*

Babcia siedzi w pokoju modlitewnym, gdy nagle przychodzi do niej Jezus. Babcia oczywiście nie podnosi głowy znad różańca, ale zupełnie zawstydzona patrzy na Jezusa spod rzęs. No i patrzy, Jezus coś trzyma. Co On trzyma? Chleb. Chleb nie jest cały. Małą część, może jedną dziesiątą ktoś odkroił jak porcję tortu. Reszta nietknięta. Jezus nic nie mówi. Stoi chwilę z tym chlebem, po czym go odkłada na babciny stół, wychodzi.

- I co, i co, Babciu?

- Nic, obudziłam się.

- Ale co to miało znaczyć?

- Nie wiesz? Przecież to jasne. Chleb to hostia. Jezus mi

powiedział, że za mało w życiu jej przyjął. Od tamtej pory przyjmuję codziennie.

I faktycznie, Babcia od lat chodzi codziennie na mszę. Koniec świata, jeśli nie może. Kiedyś przyjechała pilnować mojego małego braciszka i jakoś tak zeszło, że nie zdążyła na siedemnastą, koniec, mogiła, lament, różaniec do północy. Babcia mówi, że modlitwa jest jak moje pisanie. Od modlitwy bolą wszystkie mięśnie, w głowie się kręci z wysiłku. Ale warto.

- Jakie jest Niebo, Babciu?

- Białe jak pościel.

- A piekło?

- Czarne jak smoła.

- A czyściec?

- Szary - odpowiadała z delikatną nutą zniechęcenia.

Babcię generalnie czyściec nie interesuje. Wydaje mi się, że jest zainteresowana wyłącznie niebem. Ma taki zerojedynkowy stosunek do wieczności. Dlatego zawsze byłam pod wrażeniem Babci rozumu. I dobroci. I tej finezji, z jaką, gdy byłam jeszcze mała, budziła mnie, śpiewając *Kiedy ranne wstają zorze*. Pokazała mi kiedyś pijawkę w jeziorcu, gdy czerpała wiaderkiem wodę do kwiatów. Tak byłam zaaferowana tą pijawką, że po kilku dniach napisałam swoje pierwsze w życiu opowiadanie.

O pijawkach. Nauczycielka się pochorowała, w zastępstwie przysłała jakaś młoda siksa praktykantka. Zawołała mnie do tablicy i kazała czytać na głos. Klasa, jak się można domyślać, rżała. Ale dostałam piątkę. Może dlatego, że to była młoda siksa. A może dzięki Babci. Zawsze myślałam, że to drugie.

Babcia wyszywała obrusy. I poszewki. Ja nawlekałam igłę, bo już oczy jej się psuły. Pościel Babci była zawsze artystycznie ozdobiona, poszwy miały wycięte na środku romby. Czasem przepadałam w tych rombach, magicznych przestrzeniach między kołdrą a płótnem babcinego nieba. Gdy miałam siedem lat, uszyła mi sukienkę z materiału zwanego kreton. Ubrana w tę sukienkę wyszłam na wiosenne podwórko i zrywałam niezapominajki.

„Niezapominajki to są kwiatki z bajki” - śpiewała Babcia. I

jeszcze, gdy płakałam za mamą, która jak zwykle gdzieś zniknęła (ciotka Jadźka nazywała moją matkę: „wolna stowa”. Do tej pory nie wiem co to znaczy), no więc, gdy płakałam, że chcę do mamy, Babcia mnie rozbierała:

- Ja chcę do mamy, do mamy, do mamy, bo moja mama ma sukienkę z lamy...

No to ja zaraz, z wrodzoną ciekawością:

- A co to jest lama, Babciu? - i tęsknota za mamą gdzieś zniknęła.

Babcia podobno pisała wiersze. Do dziś je skrętnie ukrywa w wypchnionej lawendą szufladzie. Dziadek wracał do domu z hukiem. Drzwi otwierał nogą, ściśle: ostrym kopnięciem. Jak wchodził z tymi drzwiami, to głośno ryczał. W tym ryku zawarte było frapujące go niezwykle takie oto zagadnienie:

- Kurwa, kto tu rządzi!?

Babcia zajęta praniem na tarze najwyraźniej znała odpowiedź na tyle konkretnie, że nie potrzebowała namysłu. Świeżo wyżęte prześcieradło lniane, zwinięte w ciężki, mokry rulon, nasączony krochmalem mogło osiągnąć poważny ciężar. Na tyle poważny, by napompowanego oparami alkoholu dziadka wystrzelić do sąsiedniej izby, uciszając na wiele godzin, do samego rana.

\*\*\*

Weki. Wszystko w wekach. Truskawki w wekach, dzemy, kompoty. Mam całą kuchnię w truskawkach, które smażę z cukrem. Jestem w truskawkach, w truskawkowym piekle niekończących się słoików. Wypełniam tym swoją spiżarnię, jak nie swoje królestwo, jakąś pańszczyzną kulturową, niepisaną umowę z poprzednim pokoleniem, które przeżyło wojnę i głód, nieopisaną nędzę i dramat ucieczki przed NKWD, a potem kilometrowe kolejki po chleb oraz kombinowane zapasy na zimę. Teraz ja organizuję sobie zapasy na zimę. Dlatego nie mogę wyjechać z Ewką do Juraty, chociaż mamy to umówione i zorganizowane od trzech miesięcy. Nic nie mogę. Muszę zapierdalać z wekami przez dwa weekendy, bo przyjechała do mnie babcia Mikołaja, a babcia Mikołaja to chodzący

absolut, istota totalna, która modeluje rzeczywistość na bieżąco, nie znosząc przy tym żadnego sprzeciwu. Zresztą, kto by się odważył zgłaszać sprzeciw? Oto przywiozła mi trzydzieści kobiałek truskawek. Koniec tematu na najbliższy tydzień. Umówiłaś się z Ewką? Nie rozbawiaj mnie, kochana! Trzeba słyszeć to: kochana! Masz, KOCHANA, rodzinę i obowiązki. Męża i dzieci. A mąż i dzieci potrzebują truskawek. Nie dziś, nie jutro, przez całą zimę potrzebują truskawek! Tę zimę i następną. Przez trzy kolejne zimy twój mąż i twoje dzieci będą potrzebować truskawek i to nie byle jakich, bo tych właśnie, najlepszych truskawek pod słońcem. I oto, KOCHANA, masz te truskawki. **Voilà!** Trzydzieści kobiałek. Siedemdziesiąt pięć kilo. Sto czterdzieści słoików litrowych. Dziesięć tysięcy owoców. Dziesięć tysięcy oderwanych szypulek, dziesięć tysięcy czerwonych krzyżyków na twojej drodze do asertywności.

Dziesięć tysięcy jak wyrok. Przekleństwo truskawkowe ciągnące się z czasów nastoletnich. Ludzie słuchali Joy Division, ja rwałam truskawki na polu i zbierałam dziesięć tysięcy kobiałek na džinsy. Nigdy ich nie zebrałam. Ojciec kupił mi džinsy w RFN. Za duże. Po co zbierałam te truskawki? Po co teraz robię truskawki? Ewka bawi się w Juracie, ja w piwnicy. Kiedy wszyscy będą umierać, ja będę serwować truskawki na ich pogrzebach. Pieprzona truskawkowa klątwa.

Tu, w tym małym, czerwonym owocu, zawiera się moja przyszłość, magiczna liczba, horoskop, pętla czasu. Dziesięć tysięcy kobiałek. Dziesięć tysięcy truskawek.

Jeden, zero, zero, zero, zero.

Gdyby nie ta jedynka, prawie doskonałość.

\*\*\*

To są już prawie wszystkie babcie. Została mi jeszcze tylko babcia nie-Polka. Noemi Susenbach.

Matka mojego ojca.

Ta, co ma ogromne czarne oczy i bardzo niebezpieczny wygląd. Mieszka we Wrocławiu. Ale Wrocław jeszcze nie nazywa się Wrocław. To Breslau, miasto śmierci. Jaki kolor

oczu ma śmierć? Śmierć to rasa aryjska, wodniste spojrzenie wilka. Śmierć jest blisko, depta po piętach, dmucha w gęste, kręcone włosy lodowatym oddechem. Śmierć jest białym krzyżem na drzwiach, niebieską gwiazdą na ramieniu.

Kto wie, co by było, gdyby matka Noemi nie poprosiła tego dostojnego aptekarza o pomoc? Wszak ich rodowód nigdy nie był zbyt klarowny, ojciec i dziadek to Niemcy, babka i matka z pochodzenia Żydówki. Tak czy siak, aptekarz wyszarpie Noemi z katarycznego uścisku tyfusu, a potem sam zginie śmiercią powolną, delikatną, choć nieuchronną.

Śmiercią przez utonięcie. W czarnych oczach Noemi.

Kim jest Noemi? Niemką z Breslau, ocaloną Żydówką czy może matką Polką? Jest koniec wojny. Rosyjskie wojska wyganiają Niemców, trzeba wyjechać z tego miasta. Uciekają, a Noemi myśli: jakoś to będzie. I jest, małżeństwo ze starszym panem, aptekarzem. Jedno dziecko, drugie dziecko, trzecie, czwarte. Zmiana imienia na Aniela. Zmiana języka na polski. A więc jednak matka Polka. Miało nie być życia, są aż cztery. Mąż starszy o prawie trzydzieści lat. Troszczy się o żonę jak ojciec. Mają własną aptekę, niczego im nie brakuje. Co ci jest, Noemi? Zwariowałaś? Zyjeś, masz dom, czwórkę dorastających dzieci. Każdego roku wakacje w Sopocie. Czego chcesz jeszcze?

Ona nie chce „jeszcze”. Ona chce „zamiast”.

Matka mówiła: „Kiedy kobieta dla kochanka porzuca męża i czwórkę dzieci, to to się, moja droga, nazywa »palma«!”.

„Palma” odbija Noemi po kilkunastu latach zamkniętego w wygodnych pokojach życia małżeńskiego. „Palma” jest tak silna, że jej odbijania nie zatrzymają ani macierzyńskie obowiązki, ani szal rozpacz starzejącego się męża aptekarza. Początkowo potajemne spotkania z „kochankiem” zamieniają się w otwartą wojnę o prawo do własnego życia. Nikt nigdy nie pobłogosławi wyboru Noemi. Nikt tego nie zrozumie. Nikt się na to nie zgodzi. Nikt nie uszanuje.

Spotkałam ją zaledwie kilka razy w życiu. Pierwsze wspomnienie z mojego wczesnego dzieciństwa: czerwona sukienka. Czerwona sukienka, która już na zawsze zostanie ze

mną niczym sztandar kobiecości. Noemi zrobiła mi ją na drutach, gdy byłam mała. Sukienka, mimo że z dzianiny, kręciła się w kółko. Kręciła się i to jak! Z przodu miała falbanki, ozdoby, fidrygalki. I cała była taka jakaś... fru! Jakby Noemi, robiąc tę sukienkę, chciała przez tę krótką, choć jaskrawą chwilę zdążyć mnie - wychowaną w katolickiej ascezie - zepsuć, rozbisurmanić, rozpuścić. Jakby mi chciała powiedzieć: baw się, póki jesteś dzieckiem. I owszem. Pamiętam doskonale ten próżny a przyjemny jak diabli czas, gdy wszyscy w przedszkolu się zachwycali: „Skąd masz taką śliczną sukienkę? To jest zrobione szydełkiem? Na drutach? Kto ci zrobił?”.

Nie wiem, kto. Nigdy nie mówiłam na nią „babcia”. Za młoda była. Za piękna. Zbyt zepsuta. Jak można nazwać kobietę, która porzuca męża i czwórkę dzieci dla kochanka? Której odbija „palma”?

Kolejne wspomnienie. Jestem już dorosła, mam swoją rodzinę. Noemi z mężem (dawnym kochankiem) przyjeżdżają nad morze, do Gdyni. Oboje są już starsi, choć wciąż wyglądają bardzo dobrze. Co sprawia, że tak wyglądają? Bez troskie życie? „Palma”? Mieszkam niedaleko, proponują mi spotkanie. Zastanawiam się, jak się zachować. Ktoś mi mówił, że ona jest „chytra jak Żydówka i chłodna jak Niemka”. Ktoś mi mówił, że porzuciła męża. Ktoś mi mówił, że nie umie się poświęcić dla innych. Ktoś mi mówił, że niezłe z niej ziółko. Ktoś mi mówił... Czerwona sukienka z dzianiny majaczy mi jednak w pamięci jak znak zapytania. Budzi ciekawość.

Dobra, trudno, jadę. Kupuję po drodze prezent. *Śmierć w Breslau* Marka Krajewskiego.

Noemi w jasnej, niebieskiej bluzce wygląda jak dziewczynka. Przytula mnie na powitanie. Jest zachwycona książką, ogląda stare mapy miasta dołączone do publikacji. Znajduje ulicę, na której mieszkała, gdzie była ta apteka, w której uratował ją pierwszy mąż. A potem nagle wyjmuje sporą sumę pieniędzy, wciska mi do ręki, żebym sobie (podkreśla: sobie!) kupiła „jakiś drobiazg”. Mówi: „Baw się, póki jesteś dorosła”. Mimo uprzedzeń czuję do niej wielką sympatię, nie mogę oderwać od niej wzroku. Zastanawiam się nawet przez chwilę, czy ona nie



jest czarownicą. Ale nie. Ona tylko żyje swoje życie.

Gdy odchodzę, Noemi zdejmuje z szyi bursztynowe korale. „Uwielbiam bursztyny - wyznaje. - Całe życie mnie chronią”.

Trzecie wspomnienie.. Noemi jest chora. Bursztyny oddała, więc już jej nie chronią. Nie chroni jej starszy aptekarz, od lat nie żyje. Nie chroni jej beztroskie życie, które sobie wybrała zamiast poświęcenia matki Polki. Nic już jej nie chroni. Tylko mąż, ten sam, z którego powodu odbiła jej kiedyś „palma”. Trzyma Noemi za drobną dłoń, ukradkiem ociera łyzy. Kruchą jak porcelana przywiózł niedawno do hospicjum świętego Wawrzyńca. Był bezradny wobec postępującej choroby. Teraz siedzi przy jej łóżku, przy którym poustawiał potrzebne drobiazgi. Krem, szampon, szczotkę do włosów. „*Wie gehts?*” - pyta mnie cichutko Noemi.

Mówi coraz częściej po niemiecku. Lekarze nie rozumieją, tłumaczę, że to jej język dzieciństwa, a ona właśnie do dzieciństwa wraca. Czasem ktoś jęknie zza ściany, więc na moje pytanie, jak się czuje, odpowiada, że inni mają gorzej. Pokazuje mi zdjęcia swoich rodziców. Matka to piękna kobieta, ojciec przystojniak. Noemi mruga do mnie: mamy świetne geny. Kiwam głową. To prawda, mamy świetne geny. Nie starzejemy się w ogóle, najwyżej cofamy się w czasie.

Wracam do niej po pracy, zawsze mnie wita uśmiechem. A potem zamyka oczy i kuli się pod kocem. Mówi coraz mniej i coraz ciszej. Kurczy się z dnia na dzień, jakby postanowiła zniknąć. Wygląda tak, że można ją schować w dłoniach. Zastanawiam się, po co w hospicjum są tak duże łóżka? Przecież ona mieści się w kołyse..

## KOBIETA SUKCESU

Nie ma już we mnie słów  
Został tylko dźwięk tłuczonego szkła  
Kiedy wstaję-wychodzę-idę  
Wszystko we mnie brzęczy  
Jak flaszki po letnich toastach na trawie  
Transportowane nazajutrz do skupu  
Przez wyboisty szuter trzeźwiejącej pamięci  
Jaka szkoda, że się tak nieostrożnie zachowałam  
Tak beztrosko nie zważałam na moją kruchość  
Gdy byłam jeszcze pewnym siebie  
Kryształowym posągiem  
Potłuczone szkło trochę boli  
Uwiera jak kac po zbyt udanej nocy  
Milcząc zabierasz mi słowa  
Zostawiasz jednak butelki  
Zawsze to jakaś nadzieja  
Mogę w nie włożyć kilka listów  
I zatknięte wrzucić  
Do ogrodowego basenu  
Bez wody

\*\*\*

Lecę na złamanie karku do pracy, jak zwykle spóźniona, wściekam się za kierownicą na każdą dziurę w drodze, na radio, na siebie, na kogoś tam, kto wymyślił tak bandycką godzinę przychodzenia do pracy, wściekam się literalnie na cały świat. Wtedy z podporządkowanej wyjeżdża mi przed maskę toyota yaris. I tu następuje koniec mojej jazdy. Bo to, że wbiła się przede mnie, wymuszając pierwszeństwo, jest zaledwie preludium w jej wirtuozerii wkurzania. Od tej pory wszystkie manewry wykonuję w tempie ślimaczym.

Siedzę jej na bagażniku. „Czemu nie jedziesz, spieszę się!” - wołam retorycznie. Ona milczy, toczy się, ja za nią. Chcę trąbić, klakson nie działa, chcę zabić, to też nie działa, światłami migam. Ona nic. Piętnaście na godzinę. Na dwójeczce. Silnik się dławi, dławi się ta jej dwójeczka, że słyszę ją w swoim przyhamowanym do czerwoności aucie. I, kurde, ŚRODECZKIEM jedzie, żeby jej, broń Boże, nie wyprzedzić!

Kwadrans po ósmej, pokonałyśmy kilometr.

Dojeżdżamy z podporządkowanej do szosy i tutaj następuje moment, w którym zaczynam rozumieć motywy wszystkich zbrodni tego świata. Jeśli na oddalonym dwadzieścia kilometrów horyzoncie majaczy cień motorynki - toyota yaris nie ruszy z miejsca. Nie ma szans. Ona czeka. Nie, nie czeka, aż wszyscy przejadą. Ona czeka, aż wszyscy umrą.

Mój samochód skacze jak rozwścieczony amstaff, ja płonę, krzyczę: jedź, jedź!, ona stoi. Wpół do dziewiątej, godzinę temu powinnam być w pracy. Nie ma mnie. Nie ma mnie w zębatym kole porządku tego świata.

Jestem w piekle.

Jestem w rozpacz, w białej gorączce, w czarnej pianie, w kotle z gotującą się smołą. Cały mój zapas magnezu szlag trafił. Ciągnę się za toyotą, płaczę. Modłę się, by zechciała gdzieś skręcić, zniknąć. Nie znika. Popadam więc w otępienie, rezygnuję, już mi wszystko jedno. Nie ma sensu walczyć, nic nie ma sensu. Przecież to jasne, że i tak nigdy nie dojadę do pracy. Nie w tej wieczności.

Mija więc ta wieczność, ląduję w końcu pod firmą, przede mną ląduje toyota yaris. Trudno właściwie określić, czy ląduje, zdaje się, że jej stan w ogóle nie ulega zmianie, jak stała tak stoi. Patrzą z umiarkowaną furią, cóż za to za blond pióropusz wysiadzie z auta? Jakaż to niewiasta zadała mojemu feminizmowi taki cios? Metr dziewięćdziesiąt, w karku niewiele mniej. Komórka przy uchu, wzrok zgaszony, groźny niczym spojrzenie goryla. Ta kobieta to facet.

\*\*\*

Dziś rano znów umarłam. Już jako trup zjadłam cztery aspiryny, choć wiem, że to marnotrawstwo. Ale co tam marnotrawstwo! Przecież samo umieranie jest marnotrawstwem. Marnotrawstwem jest również pakowanie turkusowego kompletu z satyny do trumny. Jeśli umieram ja, niech umierają ze mną wszystkie moje kiecki, buty, wstążki i kapelusze. Niech skonają moje berety i turbany. A przede wszystkim niech umierają aspiryny, ibuprofeny i apapy, cały arsenał leków przeciwbólowych.

Śmierć poranna jest bodaj najczęściej występującą śmiercią w moim życiu. Następuje natychmiast po otwarciu powiek. Leżąc w trumnie porannego stuporu, stworzyłam już dwa miliony wierszy i pół tysiąca opowiadań. Oczywiście, żadnego nie uwieczniłam na piśmie. Śmierć poranna jest zbyt straszna, by ją opisywać. Śmierć poranna jest śmiercią w męczarniach, w perspektywie znoju całego pracowitego dnia.

Dzień składa się z tysiąca zadań, które po zwleczeniu się z łóżka muszę zacząć odhaczać. Minuta po minucie, kwadrans po kwadransie, godzina po godzinie...

O szóstej rano duszę budzik i wbiegam do łazienki, gdzie wsadzam głowę pod kran. Jeśli mam kaca - przeganiam go chłodną wodą, wyrzutami sumienia i nieśmiertelną obietnicą dozgonnej abstynencji. Jeśli, szczęśliwie, go nie mam, ustawiam niemal wrzątek i szoruję się ogórkowym płynem z Biedronki. Umywszy włosy, zawijam obolałą głowę czerwonym ręcznikiem i wlepiam spojrzenie w zaparowane lustro. Teraz mam swoje kilka chwil na ocenę intensywności przemijania. Czasem, w tych dramatycznych dniach, gdy akurat rzucam palenie, wierzę naiwnie, że czas się cofa, wygładzając mi wspaniałomyślnie twarz.

Moment z szafą. Ja - goła, ona - pusta? Ja zawsze będę goła, a moja szafa zawsze będzie pusta. Od kiedy rozebrała mnie pani w przedszkolu, nigdy nie zdołam się ubrać. W harmonogramie mojego dnia powszedniego moment uświadomienia sobie tej bolesnej prawdy właśnie teraz nadchodzi. Jest dla mnie niezgłębioną tajemnicą, jakim cudem on w ogóle mija? Gdy stoję z tym ręcznikiem na głowie, zdaje mi się, że mój

pospieszny, poranny czas mknie sam do biura, a mnie - zamienioną w nagi posąg - porzuca na zawsze w wiekuiestej bezradności. Ale życie jest nierozzerwalnie z czasem połączone i każe mi wreszcie wydobyć z dna szafy pogniecioną jak spadochron, ostatnią, oczywiście za krótką kieckę.

Kanapki dla dzieci robię już w panice. Gdzieś po drodze, między herbatą a makijażem rozwieszam pranie, by trzy sekundy później gonić stracony czas na trasie dom-praca. O podróży do pracy pisać już nie będę, bo się wykończę. Wykończy mnie sama myśl o tym, co przeżywam za kierownicą. Samochód parkuję możliwie najdalej od firmy, żeby ukryć, jak bardzo jest uwalany. Nie mam czasu na mycie auta. Nigdy nie mam czasu na mycie auta. Ten czas jest mi zasadniczo odgórnie NIEPRZYDZIELONY. Każdy człowiek na tej ziemi został obdarowany pakietem minut pod tytułem: „mycie samochodu”. Mnie jakoś pominięto. To niesprawiedliwe, fakt, ale nauczyłam się z tym żyć. Po prostu parkuję z dala od ludzkich oczu, by nikt nigdy nie dowiedział się, jakim paskudztwem się poruszam.

Rzecz jasna, wszyscy to jakimś cudem odnotowują.

Idę po trotuarze, mijając tłumek współpracowników i mówiąc jakieś dziewięćdziesiąt pięć razy, na przemian: „cześć”, albo: „dzień dobry”, przyspieszam kroku, by zniknąć w drzwiach biurowca. W holu zamykam oczy i już odczuwam tęsknotę za ledwie utraconą samotnością.

Buduję mur z własnych myśli, aby odgrodzić się od tych wszystkich ploteczek, pogaduszek, grzecznościowych gadek szmatek na temat: pogody, korków, cen masła, ostatniej garsonki księgowej, pierwszej komunii stryjecznej, nasączeniu tortów, wymiany opon, przydatności kremów do rąk, ramion, biustu, dekoltu, zmarszczek, cellulitu, owalu twarzy, nadmiaru tkanek tu, tam i owam - całe to gadanie, a raczej to wygłaszanie, które tak naprawdę nikogo nie interesuje, odgradzam od siebie murem myśli o lataniu we śnie i zanurzam się w swoją wyimaginowaną samotność.

Oto ja. Kobieta sukcesu. Kobieta pseudo sukcesu. Kobieta migreny codziennej, bólu głowy ścinającego z nóg.

Patrzę przez okno na zieloną trawę, na kwitnące krzewy, na drzewa, na las i siedzę sparaliżowana kategorię obowiązków, patrzę przez okno. I liczę. Liczę, jak mijają mi te minuty, te godziny kolejnego dnia reszty mojego życia.

\*\*\*

- Cześć, Marta, tu Kasia. Przepraszam, że dzwonię tak wcześniej, ale wczoraj wysłałam ci felieton do publikacji, a potem doszłam do wniosku, że on jest do dupy i w nocy napisałam nowy i teraz masz go na pocztę. Mogłabyś to wymienić?

- Jesteś pewna, że ten już jest OK?

- Kurwa. Teraz to już nie wiem...

\*\*\*

Liczę też śmierci poranne, wszystkie te moje śmierci, które już przeżyłam.

We wszystkich moich śmierciach mieszka Jolka. Jolka ma piegi, jasne włosy, duże usta i bliznę na policzku po upadku w niemowlęctwie. Lekką nadwagę, z którą walczy od zawsze i od zawsze się odchudza. Jest piekielnie inteligentna, uwielbia czytać, ma cięty humor. Czasem zapomina, że jest ode mnie dużo starsza, że tak naprawdę jest przyjaciółką mojej matki, która ją wkrótce będzie odwiedzać na oddziale onkologicznym w Gdańsku. Tymczasem Jolka lubi bawić się ze mną we fryzjera. Kwadrans ona, kwadrans ja - siadamy na zmianę na fotelu i czesemy się nawzajem. Rozmawiamy wtedy o szkole, o chłopakach, o stukniętych koleżankach i nawiedzonych nauczycielach. Obgadujemy wszystkich jak leci. Jolka jest jedyną osobą w moim małym samotnym świecie, z którą mogę porozmawiać. Niestety, kiedy pojawił się Hanzi, Jolka została pochowana w białej trumnie, w turkusowym turbanie na głowie.

Ale dziś Jolka jeszcze żyje. Śmiejemy się z koleżanek, które zbuntowały przeciwko mnie całą klasę. Prawdę mówiąc, wcale mi nie jest do śmiechu, prawdę mówiąc jest to dla mnie straszna trauma, od miesiąca nikt się do mnie nie odzywa, nie

odpowiada na pytania, wszyscy odwracają głowę, gdy do nich mówię.

Nie wiem, czemu.

Jolka opowiada, że gdy była dzieckiem, też ją to spotkało. Bo Jolka była dzieckiem bez taty. Ale dziś Jolka już nie jest dzieckiem. Gdy ja wstaję do szkoły, Jolka leci do pracy. Jest bardzo ambitna, chce do czegoś dojść. Tylko nie wie, co czego. Dużo pali. Mało je.

Wiecznie się odchudza. Pije alkohol. Kiedyś wypila kilka kieliszków za dużo i wymiotowała całą noc. Leżałam obok, cała sparaliżowana jej bólem, przerażona wizją porannego wstawania do szkoły.

Godzina pierwsza, Jolka rzyga.

Godzina druga, Jolka rzyga.

Godzina czwarta, Jolka rzyga krwią.

Mamo, ja mam jutro klasówkę z historii.

Kogo obchodzi moja klasówka z historii? Kogo obchodzi klasówka z historii, dopóki z klasówki nie będzie cztery z plusem i będzie się można poprzyperdalać, dlaczego nie pięć? Kogo obchodzi siedmiomiesięczny płód, dopóki nie dostanie dziewięć w skali Apgar i nie będzie się można poprzyperdalać, dlaczego nie dziesięć?

Jolka nie jest zadowolona z siebie. Nie jest zadowolona ze swoich włosów. Zazdrości ludziom, że mają lepiej. Jolka nie ma ojca. Jolka nie ma nikogo. Czuję pod skórą wspólny kompleks. Ja też zazdroszczę. Ja też nie jestem zadowolona z siebie. Ja też jestem samotna. Ja też nie wiem, co z ojcem. Ja też będę rzygać do czwartej. Ja też chcę do czegoś dojść. Ja też nie wiem, do czego, bo wszystko, co osiągnę, będzie mi się zawsze wydawało niewystarczająco zajebiste.

Mnie też boli głowa.

Próbuję na jej włosach stworzyć coś, co się nazywa „kłosek”. Sto razy zaczynam, wciąż mi się nie udaje. Z jednej strony jest jakieś uwypuklenie, warkoczyk uparcie wychodzi krzywo.

- Masz krzywą głowę! - mówię.

Jolka podnosi rękę, dotyka głowy i wyczuwa guza.

Przypominam sobie ten sen. Śnił mi się dużo wcześniej,

jeszcze przed zabawą we fryzjera. We śnie Jolka przychodzi do mnie, kładzie mi głowę na udach, kuląc się przed jakimś strachem. Pytam, co się dzieje, ale ona nie odpowiada. Na głowie nie ma jasnych włosów, jasne włosy gdzieś przepadły. Widzę tylko ciasno zawiązany, połyskujący w ciemności, turkusowy turban. Mimo grubej warstwy tkaniny na głowie, czuję od niej lodowaty chłód.

- Jola, czemu jesteś zimna? - pytam.

Znów cisza. A nogi mam tak zdrętwiałe, że się budzę. Otwieram oczy, Jolki już nie ma. Nie ma jej od dawna. Będę jej szukać we wszystkich moich przyjaciółkach.

Nie znajdę.

Zostanie mi po niej tylko ta mała, poranna śmierć.

\*\*\*

Kiedy już wyszłam z tego domu w siódmym miesiącu ciąży, kiedy już trzasnęłam drzwiami i pojechałam nad morze, kiedy postanowiłam się z tym siedmio miesięcznym brzuchem wdrapywać przez okno do akademika, to właściwie od razu zdałam sprawę, że łatwo nie będzie. I nie było. Nie było łatwo, ale tego też nikt nie obiecywał. Nikt nie obiecywał, że jak pójdę do urzędu pracy i z dzieckiem na rękę wystoję swoje, to nie otrzymam żadnego zatrudnienia, bo tam się wcale po zatrudnienie, głupoto, nie stoi. Tam się stoi po to, żeby złożyć formularz o nieotrzymaniu zatrudnienia, co jest niezwykle cenne, bo w jakiś dławiący satysfakcją sposób skutkuje zasiłkiem dla bezrobotnych.

- Ale ja chcę iść do pracy.

- Jedyne, co dla pani mam, to praca w przetwórstwie ryb.

Spoko. Właśnie wyleciałam ze studiów, mam świeże dziecko na plecach, jedyne, co mi się marzy, to patroszenie dorsza na taśmie. Patroszenie dorsza to ogólnie mój konik, robię to od świtu do zmierzchu w wynajętym mieszkanku we Wrzeszczu, ale tylko wtedy, gdy mam za co tego dorsza kupić. Bo generalnie nie mam za co. A jak nie ma za co, to trzeba zrobić rundę po mieście i szukać pracy, wchodząc drzwiami, a jak nie drzwiami, to oknem, w tym jestem już nieźle przeszkolona.



Albo założyć własną działalność. Działalność z dzieckiem na rękę jest doskonałym wyjściem, to wyjście wręcz wymarzone dla młodej matki, która w grudniu, kiedy nie ma wózka, skafandra i pieluch, musi z chorym dwutygodniowym noworodkiem, skrętnie owiniętym kocem, bo tylko takie coś było w domu, wylecieć na mróz, szukając pomocy. Mikołaja nie ma, wyjechał gdzieś, do szkoły, do pracy, na Księżyc, do Niemiec. Nie pamiętam. Nie wiem. Ja nie widzę nikogo na świecie, ja jestem sama, zawsze sama. Ja się potykam o innych, biegnę przez życie i poszukuję na własną rękę szpitala, a że nie mam przy sobie złamanej złotówki, proszę jakiegoś obcego taksówkarza o okazanie człowieczeństwa.

Facet nie miał wyjścia. Człowiek po porodzie jest na takich dopalaczach, że gotów w obliczu odmowy przegryźć aortę. Ale też ma taką wiarę, że wszędzie widzi dobro i miłość. Dlatego patrzy ufnym wzrokiem w przyszłość. A przyszłość wygląda tak: nie będę patroszyła dorsza, założę własną firmę. Goła i niewesoła, dziecko na utrzymaniu, przychodów zero. Minus ZUS bandycki i opłaty za dzierżawę wychłodzonego jak mięsna zamrażarka lokum.

\*\*\*

Wynajęłam nieogrzewany barak przy auto handlu i dopadły mnie gęste jak smoła wątpliwości, po jaką cholere były mi te wszystkie piątki, broń Boże nie: cztery plus. I gdzie jest moja odznaka „wzorowy uczeń”

- to też mi przyszło na myśl. I jeszcze to, że byłam stałym elementem wystroju tablicy w szkolnym holu. Ja i mój wiersz. Nie pamiętam, co to było. Pewnie jakiś pompacyjny bzdet o ojczyźnie. Dziś bym napisała coś bardziej trywialnego. Dziś bym napisała o ZUS-ie i kontroli skarbowej.

Ale cóż. Nie czas i miejsce na literackie rozterki. Czas i miejsce jest na przetrwanie.

Trwam więc.

Siedzę w baraku opatulona trzema puchówkami, cała się trzęsę i dzielnie obdzwaniam trójmiejskie firmy, intonując na

wszelkie sposoby głos, zadaję nieśmiertelne pytanie: „Czy nie powinni państwo w swojej firmie okleić czegoś folią samoprzylepną? Bo właśnie uruchomiliśmy (my, znaczy: ja) studio reklamy, dysponujemy najnowocześniejszym sprzętem (farelka, kalkulator), zapewniamy profesjonalną obsługę (mnie), najdogodniejsze terminy (w najbliższej przyszłości) oraz konkurencyjne ceny (co łaska)”.

Przez telefon nikt nie widzi, że siedzę w baraku i się trzęsę, więc lans. Mija tydzień, strach zwany ZUS-em chucha mi lodowatym oddechem w kark. Mam już zamrznięty szpik kostny.

Warczę desperacko te swoje propozycje przez telefon i czekam na przelew. To drugie, jak się później okaże, będzie mi towarzyszyło do końca dni mojego studia reklamy. A więc dzwonię, powtarzam sobie, że w końcu coś się wydarzy, gdy nagle faktycznie coś się wydarza i w jednej chwili zmienia mnie i moje życie.

Do baraku wchodzi on.

Diabli wiedzą skąd, z nieba nagle spadł, anioł, szatan, w długim płaszczu, rozchełstany, przystojny, cholera, bogaty. Patrzą, pod oknem beemka. Zielona. W środku, zaplątany o lusterko, jeszcze się kołyszę od niedawnej jazdy - święty Krzysztof.

- Studio reklamy?

Ludzie kochani, mój znój, trud codzienny, walka zamrzniętych stawów skostniałych palców na klawiaturze oblodzonego telefonu, wreszcie moja wiara, że kiedyś wreszcie ciepły podmuch nadziei przywieje pierwszego, pełnego miłości klienta, nie poszły na marne.

Z czym do mnie przychodzi? On nie chce byle tabliczki, szyldu, naklejki. On, uwaga, chce okleić całego tira, do którego wsadzi akwarium z rekinem! Co tam jedno akwarium, co tam jeden tir! Tego będzie więcej, cały kompleks akwariów, tirów, rekinów! Od góry do dołu, z jakimiś jeszcze osłonami na koła, Jezuu, nie rozumiem, siedzi, ręce zaciera, wizję roztacza, to jest taki projekt: rekin, płaszczka, meduza. Łeb urywa.

- Była pani w oceanarium?

No pewnie, że byłam, mam córeczkę Hanię, każdy, kto ma córeczkę, był w oceanarium. Tymczasem on mówi, że cała Polska, Kraków, Gdańsk, wszyscy to zobaczą, poza tym jaki to prestiż: telewizja, radio, prezydent! Rekomendacje? Proszę bardzo. To fundacja chrześcijańska, a on jest tej fundacji założycielem i prezesem. PREZESEM! *Any questions?*

- Zimno - zauważa.

I zaraz dodaje, że to już koniec mojego ubóstwa, wkrótce sobie biuro otworzę w Zieleniaku, w Proremie, gdzie zechcę, w szklanym domu, w samiusieńkim środku gdańskiej starówki, na dole, na górze, na dachu.

- Mój Boże, ale ma pani szczęście!

Jezu, ale mam szczęście! Jak on tu trafił do mnie, ten cudotwórca?

- Po tabliczce - wyjaśnia. - Tabliczka była na płocie.

Co on mi tam opowiada, to przeznaczenie, cud

przecież. No, nie cud? Niby mi taki po jakiejś głupiej tabliczce na płocie przychodzi, dziesięć tysięcy na początek obiecuje i to za jednego tira? A na tirze ryby głębinowe, oceanarium? Bynajmniej. Tylko światło przeznaczenia ten mój los skostniały może roztopić, z baraku raz na zawsze wydobyć. Nie ma co, słucham posłusznie, działałam. Tylko piorunem, bo terminy gonią, w Krakowie czekają, gdy na Rynku stanie ten kompleks wyklejonych tirów, wyobraźcie sobie, Sukiennice, Kościół, hejnał, w dole Wawel, a pośrodku te ryby.

Moje ryby.

Zamawiam na kredyt (pięć tysięcy netto) trzydzieści metrów wydruków na folii ze zdjęć czterysta euro sztuka i jadę na stocznię, do hangaru, gdzie stoi ta przyczepa wspaniała i przez tydzień kleję dwanaście metrów długości z jednej i dwanaście z drugiej, dwa i pół wysoką plus owiewki plus te osłony na koła rybami wyki ejam. Żeby pęcherzy nie było, takie duże płachty wydruków kładę na wodę. Pyskam litrami, ręce drętwieją, woda zamarza...

Ach, gdzie te moje ryby pojechały? Na jakim *tournee* w świecie dalekim tak przepadło moje oceanarium, że nigdy

nie wróciło? Ach, gdzie pierwszy klient studia reklamy? Już nigdy, żadna instytucja ani sąd, ani komornik, nikt nie odnajdzie inicjatora głębinowych projekcji w przyczepie tira na krakowskim rynku, prezesa chrześcijańskiej fundacji, człowieka, który, przyjmując fakturę przelewową, wraz z rybami zamilkł na zawsze.

Nie zamilkł, niestety, urząd skarbowy, który od nigdy nieopłaconej faktury zażądał podatku VAT. I jeszcze jednego. Nazywa się dochodowy. Od słowa: DOCHÓD.

Nic mi po świętym Krzysztofie.

\*\*\*

Święty Krzysztof nie jest patronem zziębniętych naiwniaków, którzy ze strachu przed bezrobociem zakładają działalność gospodarczą dochód zero minus ZUS. Jakiego patrona mają naiwniaczy? Jakiego patrona mają bezrobotni w samobójczej desperacji zakładający firmę? Święty Krzysztofie, mógłbyś być naszym patronem? Mógłbyś na chwilę spuścić z troskliwego oka kierowcę zielonego BMW? Święty Krzysztof gwizdże na działalność gospodarczą jednoosobową. Nie ma się co dziwić. Działalność gospodarcza w Polsce to prosta sprawa. Trafia ci się klient, zlecenie, jesteś w euforii, wypruwasz żyły, zapożyczasz się, wystawiasz fakturę i to jest koniec twojej historii. A raczej początek, bo przecież trzeba zapierdalać. Trzeba faceta z BMW spłacić. I codziennie rano, pędząc do roboty z foliami samoprzylepnymi, myśleć ciągle to samo. Ciągle tę jedną myśl przemyśliwać w tę i nazad. Jedną, a wierzącą jak kamień. Myśl, a właściwie pytanie. Pytanie pełne zdumienia i bezsilnej złości z powodu niezrealizowanych planów z tych dziecięcych podróży do szkoły, gdy z bólem głowy układało się frazy do książki:

Co ja tu, kurwa, robię?!

Człowiekowi niełatwo jest zrozumieć, co on tu, kurwa, robi. Człowiek może sobie takie pytanie powtarzać jak mantrę, ale odpowiedzi nie zna. Człowiek w przestrzeniach wewnętrznych może się trząść jak zmarznięty ratler, ale wewnętrznych przestrzeni nie opuszcza. Trzęsie się więc, ale przecież biega,

biega jak w kołowrotku. A póki biega (choćby w kółko), zdaje mu się, że w tej bieganinie jest jakiś sens.

Żeby ujrzeć obraz, trzeba opuścić jego ramy.

Ale człowiek ram nie opuści, człowieka z tych ram musi coś wyrzucić, wystrzelić brutalnie a boleśnie. Tak mnie z ram witryn oklejanych folią samoprzylepną wystrzeliło zapalenie mózgu. A myśl „Co ja tu, kurwa, robię?” zamieniła się w paniczną refleksję objającą się o szpitalne ściany: „Co ja tam, kurwa, robiłam tyle czasu?!”.

Bo czas się teraz gwałtownie skurczył, czas się sprął, zbiegł się jak wełniana czapka na obolałej głowie. Liczę każdą straconą minutę. Stracone minuty to ZUS, który trzeba odjąć od przychodu. Stracone minuty to nigdy nie zapłacona faktura za rekiny z folii samoprzylepnej. Stracone minuty to bieg zziębniętego ratlera. To kołowrotek bezsensu.

Liczę je skrupulatnie i modłę się do świętego Krzysztofa, nie mojego patrona, by po odjęciu straconych minut starczyło mi czasu na to, żeby żyć.

\*\*\*

Modlitwy nie pomagają. Święty Krzysztof, jak każdy Krzysztof w moim życiu, ma mnie w dupie. I w końcu przychodzi ten dzień. Znasz to? Musisz znać. W życiu każdej kobiety przychodzi ten dzień. Dzień, w którym nie możesz wstać. Po prostu nie dasz rady. Ból głowy się tak rozhušta, że przywrzesz do poduszki na mur. Wszystko będzie krzyczeć, że musisz zostać w łóżku. Boli nie tylko głowa, teraz już bolą wszystkie mięśnie. I kręgosłup. Na samą myśl, że czeka cię cały dzień aktywności, załatwiania, karmienia, zawożenia, ustalania, rozmawiania, odbierania telefonów, e-maili, jakichś tłumaczeń, wyprostowanej sylwetki, uśmiechniętej miny, wpasowania się w ten system, ten cały napięty system oczekiwań, że będziesz, że dźwigniesz, że ogarniesz, że zrobisz, że ugotujesz, że podasz, sprzątniesz, upierzesz, umyjesz, przytulisz, uśpiasz, spełnisz każdy obowiązek i jeszcze w tym wszystkim SPODOBASZ SIĘ - robi ci się słabo. Słabo ci się robi, że ciągle coś musisz robić, że ten kołowrót to jakieś przekleństwo, jakieś fatum ludzkości.

Pytasz samą siebie, dlaczego wciąż musisz coś robić, dlaczego ktoś tak to zorganizował i nawet w sobotę, w niedzielę i święta ty wciąż, w kółko MUSISZ, kurwa, coś robić? Dlaczego, gdy siedzisz i patrzysz w punkt daleko, na chmury, dlaczego jakaś niewidzialna matka Eli Kozior drze na ciebie mordę, że TRACISZ CZAS? Dlaczego to samo mówisz swojej córce, która ma ochotę nic nie robić, która się obija beztrudnie, macha nogą, dłubie w nosie, a ty jej przerywasz, bo cię to uwiera, bo ci się wydaje, że to głupie, bo jakaś niezgoda na takie tracenie czasu każe ci ją czymś zająć?

Ty nigdy nie tracisz czasu, ty jesteś zawsze zajęta, tobie nawet wstyd się przyznać, że nie jesteś zajęta. Nawet jeśli właśnie nic nie robisz, w życiu się do tego nie przyznasz. Co robisz? A coś robię, no muszę to i tamto, przecież chyba nie myślisz, że nic nie robię? „Jak to? Ja nic nie robię?”. To może ty nic nie robisz, bo ja aktualnie mam napiętą strunę grafiku. Moja matka powtarzała z wersalki: „Inteligentny człowiek nigdy się nie nudzi!”.

Te słowa są jak przekleństwo, klątwa wkurwionej wróżki ze Śpiącej Królowny, jakieś fatum pieprzone, bo jeśli chcesz, żeby najważniejsza osoba na świecie, twoja wewnętrzna matka, twój rodzic-krytyk uznał cię za osobę inteligentną, to ty musisz od świtu do nocy zapierdalać.

Nawet w sobotę, w niedzielę, w święta, nawet wieczorem, po pracy, nawet jak dzieci weźmie sąsiadka, nawet gdy wszystko pozałatwiane, porobione, poczyszczane, ugotowane, wylizane, wypieszczane - nawet wtedy nie możesz się poobijać, więc idziesz na TBC, bo przecież nie wolno ci się ponudzić ani chwili, teraz musisz się ODCHUDZAĆ.

I co jeszcze musisz? Musisz jeszcze zrobić włosy, paznokcie, depilację, maseczkę, korektę biustu, triceps, solarium, silikon, kolagen. Cokolwiek już byś odhaczyła, zaraz coś wymyślisz, coś nowego, zaraz ci podadzą, napiszą w kolorowym piśmie i już masz robotę. Nie wiedziałaś, że masz pajęczki na udach, które się usuwa laserem - już wiesz. Nie wiedziałaś, że masz cellulit, który się usuwa masażem z kremem za dwieście pięćdziesiąt? Już wiesz. Nie

wiedziałaś, że na desce do krojenia pomidorów jest siedem miliardów bakterii, które się szoruje misterem properem total maks? Już wiesz. Już pędzisz do marketu z nowym zadaniem. I tak pędząc, przewalasz w głowie tę myśl, to pytanie, które uwiera podobnie jak poprzednie: „Po co to wszystko?!”.

Nie znasz odpowiedzi. Nikt nie zna odpowiedzi. Ciało waży jakby trzysta kilo, przywiera do łóżka, przylega do poduszki, wszystko w tobie krzyczy: NIE! Nie wstaję!

Wstajesz.

\*\*\*

Do niedawna wstawałam o siódmej, myłam głowę, przerzucałam szafę, gdzieś w locie sklejałam kanapki dla dzieci, by po chwili podskakiwać na dziurach mojej drogi do pracy. Wydawało mi się, że biorę udział we wściekłym maratonie pod natłokiem obowiązków. Dziś wspominam z nostalgią to zbijanie bąków.

Jeśli człowiek jest zajęty, powinien wziąć sobie na głowę trochę więcej zadań, a w mig się wyjaśni, że jego napięty dotychczas grafik był jedynie furkoczącą bezwładnie chorągiewką na wietrze. Pobudka o siódmej? Refleksje nad szafą? Śniadanie? I wreszcie: gapienie się w okno?

Gdy się pracuje na etacie, pisząc przy okazji książkę, blog i felietony, dodatkowo wychowując potomstwo, trzeba wstawać najpóźniej o piątej. Pojęłam to niedawno, kombinując, w jaki sposób wydłużyć dobę, by zmieścić w niej, oprócz wszystkich obowiązków, dzieło mojego życia. I jedyne, co mi przyszło do głowy, to skrócenie nocy kosztem dnia. Wstaję więc teraz o piątej, zamykam się w pokoju, piszę książkę przez godzinę, potem myję głowę, robię kanapki, jadę po dziurach, w myślach morduję blondynkę z toyoty yaris, wpadam do biura, odpalam kompa, gazeta, praca, Internet, spotkanie, siedem spotkań, zdjęcia, projekt, praca, powrót z pracy, tankowanie, lekarz, szkoła, dziecko, zakupy, dom, obiad, odkurzacz, kolacja, felieton, kot, drewno, kominek, paznokcie, fryzjer, buty, sen, pobudka, prysznic...

Mam w biurze lodówkę. Podczas przerwy w pracy wyskakuję do sklepu po śniadanie, a tam się rozpędzam. Kupuję wędlinę, ogórki kiszone, ser, mięso na obiad. Kilogram sernika. Warzywa. Wkładam to do lodówki, a po skończonej pracy jadę do domu. Nigdy nie udało mi się pamiętać o zabraniu zakupów. Mam kilka torebek. W różnych kolorach, do butów, do płaszcza. W każdej z nich stajnia Augiasza. Dokumenty, które wędrują z jednej do drugiej i tracą po drodze swoją liczebność. Podczas kontroli, w banku, na poczcie, w urzędzie skarbowym - znajduję już tylko świstki z parkometrów, paragony po zostawionych w firmowej lodówce ogórkach.

Rachunki to elementy gwiazdozbioru Kasjopei. Rzecz zbyt rozpędzona, zmienna, obrotowa. Niemożliwa do okiełznania. Przyzwyczajam się więc do wiecznie odłączonego telefonu, braku prądu, wezwań do zapłaty. Wezwania zresztą łatwo gubię, tak samo łatwo o nich zapominam.

Proces. Systematyczność. Planowanie. To hasła, których znaczenie znam czysto teoretycznie. Pamięć? Owszem, *Pchłą Szachrajkę* wyrecytuję z pamięci, choć nauczyłam się tego wiersza w wieku dwóch lat. Ale nazwisko sąsiadki? Data urodzin przyjaciółki? PESEL?! Poplątane elementy, niedokończone wnętrza, migracja sprzętów. Nic nie ma swojego miejsca, wszystko, wraz z myślą Heraklita, płynie. Kalendarz? Notatnik? Miałam go kiedyś, zostawiłam w Niemczech. Kupiłam drugi, trzeci, nagle notatniki zaczęły pączkować, ten z Niemiec wrócił, a tu pojawił się jeszcze jeden i kolejny w prezencie, na urodziny, na gwiazdkę. Zadania, kontakty, terminy rozsypały się po notatnikach, by wreszcie zniknąć przez przypadek, nieuwagę, w stosie nigdy nieodzyskanej makulatury. Samochód? Na desce rozdzielczej świecą tajemnicze lampki. Jest ich podejrzenie dużo. Nie wiem, co oznaczają. Ostatnio wymyśliłam, że zalepię je wszystkie czarną taśmą klejącą, bo mnie skrajnie denerwują. O myciu auta już pisałam, nic się w tej kwestii nie zmieniło. O tankowaniu i wędrówkach z kanistrem - nie muszę. Samochód służy mi do osiągnięcia celu, poruszam się więc nim często i zawsze w ogromnym pośpiechu. Zablokowana więc w korku,



zamknięta w tej nużącej przestrzeni - zwykle nabieram przekonania, że oto właśnie wybiła moja ostatnia minuta, bo ani jednej więcej w tych okolicznościach - nie przeżyję.

Ten proces zagubienia galopuje, gmatwa się, pętli i wkrótce napiszę, że tęsknię za tym dzisiejszym poukładaniem. Albo zwariuję.

Zwariuję?

\*\*\*

Nie, nie przyjdzie mi do głowy poprosić Mikołaja o pomoc. W mojej głowie nie ma takiej opcji. Mikołaj jest zajęty, wyjechał, nie wiem, może w pracy, może na Księżycu, na pewno w RFN. Nie będę mu głowy zawracać. Nie będę głowy zawracać. W moim świecie wszyscy mężczyźni od zawsze byli gdzieś poza życiem, poza światem. W naszej rodzinie żadna kobieta nie zawracała głowy żadnemu mężczyźnie.

Oczywiście, że się wściekam, że wszystko jest na mojej głowie. A jednocześnie nic nie robię, aby to zmienić. Nie umiem tego zmienić. Nie umiem zrozumieć, że ojciec to pięćdziesiąt procent genów i dokładnie ta sama odpowiedzialność. Nie przeskoczę w głowie tej wiecznej nieobecności mężczyzn, nie przełamie własnych przyzwyczajzeń, które przecież polegały na tym, że razem z Babcią tylko czekałyśmy, aż ten dziadek przestanie się kręcić i pójdzie sobie w cholere.

Dom był pełen kobiet i taki był porządek świata. Kobiety zajmowały się dziećmi, domem, zakupami, pracą, kombinowaniem od pierwszego do pierwszego i wszystkim, co dotyczyło życia. Dlatego ja teraz wstaję o piątej. Dlatego jednak zwariuję.

\*\*\*

Tego dnia siedziałam od świtu nieruchomo i patrzyłam w monitor. Wiedziałam, że to już kolejny dzień, a może kolejny tydzień, kiedy piętczą się zadania, że lista zadań jest długa i skomplikowana, a im dalej lecą minuty, godziny i

dni, tym lista robi się dłuższa i jeszcze bardziej zawiła. I że już nie pomoże mi żaden diagram Gantta, żadne stopniowanie spraw pilnych i ważnych, żadne analizy SWAT, nic kompletnie, bo znalazłam się w tak czarnej dupie, że nic mi nie pomoże. I zaraz zadzwoni ktoś ważny i zada mi pytanie, na które nie będę znała odpowiedzi, bo od kilku tygodni nie zrobiłam nic i niczego nie wiem. Bo każda kartka A4 waży trzysta ton i nie mogę jej przełożyć z półki na półkę. Bo otwarcie programu komputerowego wywołuje ból w prawej łopatce, który promieniuje do kręgosłupa, stamtąd do krzyża, przez biodro do nogi i jest tak silny, że paraliżuje każdy ruch.

Nie ruszam się. Nie ruszam się, aczkolwiek konstatuje, że od kilku godzin - a może od kilku tygodni

- słucham na słuchawkach w kółko jednej piosenki, a raczej utworu operowego. Enrico Caruso *Una Furtiva Lagrima*. Kiedy utwór się kończy, klikam pętlę na YouTube i słucham od początku. Słucham bardzo głośno. I łzy lecą mi po policzkach. Ktoś wchodzi do biura, ktoś wychodzi, u mnie opera.

I łzy.

Gdzieś około dwunastej z jakiegoś powodu wyłączyłam YouTube, wstałam od komputera i poszłam do łazienki. Ale w tej łazience to nie wiem. Chyba mi się w głowie zakręciło. Chyba zlew wyleciał przez okno. Chyba drzwi się zatrzasnęły. Nie wiem. Nagle znalazłam się na podłodze i znów zaczęłam płakać, ale to już nie były łzy po policzkach, tylko taki histeryczny szloch, głośny lament. Płakałam przez godzinę, ale nic się nie zmieniło. I nic nie wskazywało na to, że coś się może zmienić. Ludzie wchodzili, mijali mnie, trzaskali drzwiami. Woda leciała ze spłuczki, potem z kranu. Szeleścił papier. Przez otwarte okno dobiegały głosy dzieci. Ktoś zapalił papierosa. Zrobiło mi się niedobrze.

I właśnie wtedy weszła do łazienki Iwona. Wzięła mnie za rękę, popatrzyła w oczy. Zapytała mnie o coś, nie wiem o co, ale wydawało mi się, że chodzi o moją mamę. Mama poszła gdzieś, poszła z ciocią Jadzią, a ja właśnie wyszłam z salki

katechetycznej i się zgubiłam. Świat jest strasznie duży, tak duży, że aż pulsuje mi w skroniach tym ogromem. Wszystko jest ciemne, czarne, kipi czarna woda. Rosną smoki, trzaskają drzwi. Do każdego dziecka podchodzi jego mamusia, a mojej nie ma. Taty też nie ma. Tata wyjechał z jakiegoś powodu, prawdopodobnie się na mnie obraził. Rzucił kolczatką, trzasnął drzwiami. A ja tu siedzę bardzo samotna, wtulona w fotel, siedzę z szarymi włosami, ze zniszczona lalką od ruskich, nie znam języka niemieckiego i kompletnie nie wiem, gdzie jest mój paszport.

I strasznie boli mnie głowa. Wtedy Iwona zaprowadziła mnie do niej. Nie do mamy. Nie do taty. Do takiej małej, niepozornej kobiety z zielonymi oczami w Poradni Leczenia Psychiatrycznego. I właśnie te oczy będą mnie prowadzić krok po kroku, pomaleńku, z upadkami, z siniakami na kolanach, do sukcesu.

\*\*\*

- Co panią ostatnio zdenerwowało?
- Baba za kierownicą.
- Może pani o tym opowiedzieć?

Opowiadałam o tym od początku, pani doktor. Od zawsze opowiadałam, jak to jest z tymi babami. Baba mnie wkurza, głupia baba, baba za kierownicą, baba z bólem głowy, baba zołza, baba ciotka, wstrętne babsko, gruba baba, stara baba, baba z cellulitem, baba pomarszczona, śmierdząca baba, baba paszczur, baba pierdoła. O Jezusie, jak ja się wściekłam. Moje wewnętrzne przestrzennienie wypełniła kipiąca czarna smoła. Zabić! Udusić! Rozszarpać! Nie, sorry, jestem opanowana, jestem kulturalna, cudem tej kretynki nie zabiłam! Ja się spieszę! Ja nie mam czasu na niekończące się ciągnięcie dwadzieścia na godzinę! Jest dwudziesty pierwszy wiek! Są statki kosmiczne i kosmiczne prędkości! Samoloty ponaddzwiękowe! Pendolino! Światłowody! Gdzie, do cholery, jest miejsce na takie guzdralstwo? Gdzie czas na telepanie się drezyną? Ja się nie zgadzam! Ja się gotuję, ja wrę!

Pamięta pani Adasia Małczyńskiego? Jego dramat w kolejce

po gazetę? I te baby wybierające to i śmo, rozciągające mu przed nosem gacie? Dżisas, kurwa, ja pierdołę!

- Czy ta baba za kierownicą dowiedziała się, że pani jest na nią zdenerwowana?

Oczywiście, że się nie dowiedziała. Oczywiście, że żadna baba za kierownicą się niczego nie dowiedziała i to nie dlatego, że zepsuł mi się klakson i nie mogłam na nią trąbić. Ale głównie dlatego, że to nie była żadna baba, tylko, sorry, zapomniałam, całkiem to wyparłam, że to nie była baba, to nie była nawet baba z jajami, tylko facet pizda.

A ja do faceta nie podskoczę, nic mu nie powiem, słowa nie wyduszę, bo facet to facet jednak. Więc jedyną ofiarą mojej porannej furii, jedyną osobą, która każdego poranka dostaje dotkliwie wpierdol, jestem ja sama. Ja. Bufor tego świata.

\*\*\*

Według encyklopedii jest to urządzenie stosowane w kolejnictwie, przeznaczone do łagodzenia sił nacisku i uderzeń oraz utrzymywania sprzęgniętych wagonów w odpowiedniej odległości. Jest jeszcze wiele innych znaczeń tego określenia. Ktoś zapomniał dopisać najważniejszego:

Bufor to ja.

To ja stoję między ojcem i matką, kiedy rzucają w siebie butami. To ja wybiegam przed zbliżającym się złym humorem ciotki. To ja kalkuluję, czym jeszcze mogłabym zrazić do siebie narzeczonego i czego zrobić nie mogę, żeby tylko nie zobaczyć jego prawdziwego Ja. Jestem poduszką między moją córką a światem. Jestem buforem między Mikołajem a Hanią. Biorę na siebie wszystkie niedogodności, każdy problem, zabierając mu cenną szansę na poznanie możliwości własnej córki. Dźwigam ciężar rodzicielstwa, jakby obok nie było nikogo, jakbym była jedyną osobą na świecie. Albo nie. Jakbym NIE CHCIAŁA ZAWRACAĆ NIKOMU GŁOWY. Bo jak komuś będę zawracać głowę, to się okaże, że nie jest już taki miły, to - Bóg wie, co się okaże.

Bufor.

Schodzę z drogi kapryśnej przyjaciółce, żeby tylko jej nie

stracić, żeby nie usłyszeć wyrzutów, ile dla mnie zrobiła, a ja taka niewdzięczna. Ulegam matce, żeby nie krzyczała, żeby się nie denerwowała. Żeby ONA nie miała problemu. Wybawiam innych swoją nerwową paplaniną, gdy palną jakieś głupstwo, żeby nie pozwolić nikomu radzić sobie z kłopotliwą sytuacją. Zgadzam się na coś, co mi się nie podoba, by inni nie mieli kłopotów.

Przebieram się w krótkie spódniczki i naginam rzeczywistość w nadziei, że się wreszcie tak spodobam, że facet mnie pokocha. Tak jak wtedy, gdy przez dwa lata trwałam nad aparatem telefonicznym czekając na sygnał od Krzysztofa, który nigdy przecież nie wyjechałby ze mną do żadnej Australii. On chciał tylko zabić nudę.

Ja jednak, zamiast postawić jakiś warunek i nie tracić czasu - stałam się buforem między Krzysztofem a jego znudzeniem. Całą swoją energię skierowałam na to, żeby Krzysztof się nie nudził. Bo przecież jakby się nudził, to bym dowiedziała się wcześniej, że mnie nie kocha i może bym się dostała na psychologię?

Tak, to też ja przyglądam się czasem samej sobie ze zdumieniem, jak to się dzieje, że robię z siebie takiego pajaca tylko dlatego, żeby ktoś inny, mój mąż, koleżanka, ojciec, teść, ktokolwiek (nie ja) miał lepszy humor niż miałby, gdybym z siebie tego pajaca nie zrobiła. Przyglądam się i kołaczę mi to pytanie w głowie, to najważniejsze pytanie w życiu, pytanie na które odpowiedź obnaża cały ten bezsens: po co? Po co ja to robię? A co by było, gdybym tego nie robiła? Co by było, gdybym pozwoliła wszystkim ciotkom i babkom denerwować się na to, że moje dziecko wali w gacie? Że nie włączyłam w czwartym miesiącu jej życia marchewki? Że nie mam w domu firanek? Co by było, gdybym przestała tak się martwić o ich odczucia? Gdybym przestała zwracać uwagę na rzucanie kluczami, przekleństwa, krzyki?

Przecież zawsze mogę sobie po prostu wyjść. Mogę się na przykład zdziwić, jak to jest, że ktoś postanawia zachowywać się w taki sposób? Mówić takie rzeczy? Krzyczeć? Przeklinać?

Dlaczego mam się starać za kogoś, żeby był fajny? Co mnie to

obchodzi, że nie jest? Co ma ze mną wspólnego jakiś wybuch wściekłości klienta, który tupie nogami, bo nie mam czasu w weekend, gdy zajmuję się swoją rodziną? Który rzuca słuchawką, gdy odmawiam mu czegoś? Dlaczego mam ustępować, dostosowywać się, robić makijaż w weekend, kiedy chcę odpocząć? Tylko dlatego, żeby mojemu facetowi było przyjemnie, bo jak jestem bez makijażu, to jemu jest nieprzyjemnie? Niech się sam umaluje.

Dlaczego z kolei mam nie robić makijażu, gdy mam na to ochotę, tylko dlatego, że jakiś Jarek ma problem, nie wyleczył swoich lęków i wciąż ma tak niskie poczucie swojej wartości, że jest posrany ze strachu, gdy wyglądam zbyt ładnie. Bo przecież jak mijam jakiegoś faceta na ulicy, to, nie daj Boże, mu się spodoba i natychmiast pójdę zrobić mu loda!

Dlaczego mam nie spotykać się z Izką, którą mój chłopak z jakiejś przyczyny uważa za głupią, a która przecież wcale głupia nie jest? Przecież to ja chcę się z nią spotykać, nie on, więc o co chodzi?!

Dlaczego mam się zmuszać do robienia czegoś, czego nie chcę, tylko dlatego że ktoś ma problem? Co ja jestem?

Jestem buforem. Ty też jesteś buforem.

I tak się będziesz naginać, tak się dostosowywać, żeby w końcu świat zrobił się fajny. Tylko że on się w ogóle nie robi fajny. A ciebie już właściwie nie ma. Ty się zużyłaś, starłaś od tych ciągłych uderzeń problemów innych, od ciągłych uderzeń własnych ciosów. Na przykład w samochodzie, za toyotą yaris. Na przykład w kolejce w supermarkecie. Ile razy stłukłaś siebie wewnętrznym młotkiem autoagresji?

Nie, jeszcze tego pytania nie zadajesz. Jeszcze upierasz się, żeby być buforem, zaklinaczem rzeczywistości, w której kiedyś wreszcie zobaczysz to wszystko, czego nie widziałaś do tej pory. Twój ojciec przestanie się obrażać, twój narzeczony przestanie cię rzucać. Twój żonaty kochanek się rozwiedzie, twoja przyjaciółka cię zrozumie. Twój szef cię nigdy nie zrani, a twoja córka nigdy nie doświadczy od świata przykrości. Męża uda ci się wyręczyć absolutnie we wszystkim, za co doceni cię cały świat. Zwłaszcza teściowa. To się na pewno kiedyś stanie.

Dzięki tobie.

Jesteś największą czarodziejką tego świata. Iluzjonistką.

\*\*\*

Ćwiczenie jest pozornie proste. Wyobrazasz sobie, że jest cię dwie. I wcale nie po to jest cię dwie, żeby więcej zrobić. Cel jest dokładnie odwrotny. Cel jest taki, żeby zrobić dokładnie tyle, ile trzeba. Brzmi nedorzecznie? Moment.

Jest cię dwie. Jedna z was jest jak dziecko. To właściwie jest dziecko. Uwielbia zabawę, lody, skakanie na trampolinie i głośny śmiech. Ale to też ta istota, która łatwo się męczy, nie chce się do niczego zmuszać, boi się krwi. Płacze. Znasz ją? Jest cudownie twórcza, ma szajbnięte pomysły, trochę niebezpieczne, na przykład takie, żeby rzucić pracę w agencji reklamy i zacząć pisać blog za friko.

To ta sama ty, która bez namysłu zgadza się na wszystkie warunki publikacji tekstu tylko dlatego, że ktoś ją pochwalił. To też ta sama ty, która sobie funduje dodatkową robotę na weekend za psie pieniądze, a potem się wkurwia na cały świat, że znów ktoś ją w coś wmanewrował.

To ona, rozkosznie bezbronna dziewczynka, która siedzi w środku ciebie i potrzebuje twojej opieki.

I teraz jest jeszcze druga ty. Druga ty jest odpowiedzialna, poważna, akuratna. Druga ty podejmuje ważne decyzje. I to właśnie ona ma się opiekować.

I prawda jest tak, że gdyby tylko ta druga zobaczyła tę małą, w życiu by jej nie dała skrzywdzić. Może gdyby w starym albumie rodzinnym znalazła jej zdjęcie, gdyby je odkurzyła i wrzuciła na wygaszacz, może wtedy by się nią zaopiekowała? Ale tego nie robi. Ale dziwnym trafem w kółko ją krzywdzi. To właśnie druga ty, nie źli ludzie, wmanewrowuje ją w robotę za psie pieniądze w weekend. To druga ty jej pozwala zgodzić się na publikację za darmo, bo ktoś ją pochwalił. To ona od pięciu lat nie zażądała podwyżki, bo jej szkoda firmy, nie siebie. To ona odkłada robotę na potem, żeby na dwa dni przed terminem, ta dziecięca Ja ze łzami w oczach i z rozdygotanym sercem,

łatała swoimi dziecięcymi rękami twoje zaniedbanie. To ona troszczy się o tych wszystkich facetów, którzy ją klepią po tyłku w pracy, mimo że trzęsie się w środku z lęku i upokorzenia. Ale ty się nie sprzeciwiasz, bo przecież dla ciebie ważniejsze jest czyjeś dobre samopoczucie.

Gdy twoja mała Ja przychodzi zapłakana, bo ją ktoś krzywdzi, nie zaparzasz jej herbaty, nie okrywasz kocem. Przebierasz ją za małą lafiryndę i wysyłasz w czerń sobotniej nocy, żeby jakiś obcy facet ją dotykał. Żeby gdzieś w bramie miasta poszarpały ją smoki. Bo tobie, tej dużej, wydaje się, że wtedy będziesz bardziej atrakcyjna, że sobie coś udowodnisz. Ale jedyne, co sobie udowodnisz, to własna auto agresja.

Wlewasz w swoją małą Ja cztery browary i wciskasz w jej dziecięce usta pół paczki fajek. Choć wiesz, że nazajutrz w pracy będzie bardzo, bardzo chora. Będzie tak chora, że nie będzie mogła wstać z łóżka. Ale ty jej podasz dwa ibupromy i trzy aspiryny i bezwzględnie rozkażesz wstać do roboty.

Żeby wyklejała tiry.

A wszystko dlatego, że obie jesteście bardzo daleko I nieważne, w jakiej dupie będzie twoja mała Ja, duża systematycznie z psychopatycznym zapamiętaniem spuści jej wpierdol, jak matka Eli Kozior.

I dopiero wtedy, gdy już nie wyjdiesz o własnych siłach z łazienki, gdy nie podniesiesz się z podłogi w kiblu, dopiero, gdy Iwona wyciągnie cię za rękę i zaprowadzi do Poradni Zdrowia Psychicznego, dopiero wtedy zrozumiesz, czyj jest ten profil z twoim zdjęciem na Facebooku. Dopiero wtedy zaczniesz ci majaczyć myśl, że ty to ty. I że powinnaś zacząć się o siebie troszczyć. I mimo tego, że komuś się to nie spodoba, mimo tego, że ktoś oczekuje czegoś innego, mimo tego, że być może ktoś się nawet obrazi, to nikt inny, tylko TY musisz przeżyć SWOJE życie.

\*\*\*

- Mikołaj, postanowiłam, że będę pisać.

-Co?!

- Pisać. Całe życie chciałam pisać, zaraz umrę i tego nie



zrobię. Rzucam pracę. Mam dość wyklejania tirów. W dupie mam gadzety reklamowe, ulotki i billboardy. Nie ma znaczenia, ile na tym można zarobić. Pieprzę to. To moje życie.

Ożeż kurwa mać! Pokażcie mi męża, który słyszy, że to twoje życie! Pokażcie dom, w którym wszyscy chodzą na palcach, bo mama pisze! Ha, ha, ha! Co robi? Chora jest na głowę? Fanaberia kolejna? A obiad? A rachunki? A wywiadówka? A poważne życie? Niezły ubaw. Sorry, to ty teraz będziesz książki pisać? To może ustalmy, co będziemy jeść, brukiew? Może od razu weźmy się połóżmy i poumierajmy z głodu. Tym bardziej, że nie jesteś żadnym Ernestem Hemingwayem. Nie jesteś nawet facetem. Jak facet pisze, to dom zamiera, zastyga w ciszy i sakralnym oczekiwaniu na efekt geniuszu. Jak kobieta pisze, to ma ostrą histerię macicy, którą należy przeczekać z umiarkowaną cierpliwością, ukradkiem pukając się w czoło, nie zapominając jednak o systematycznych dziabnięciach złościwości. Jak kobieta pisze, to może po nocy, bo w dzień jest wystarczająco dużo do zrobienia. Jak kobieta pisze, to, gdy pewnego dnia dostaje maila z gratulacjami, to przecież nie z powodu jej literackich dokonań, tylko, uwaga, dlatego że nadawca zobaczył jej fotkę w Internecie. Tę fajną fotkę, na której całkiem niezła z niej dupa. To chyba wiadomo, o co chodzi?

Prawda jest taka, że nie ma na świecie ani jednego człowieka, któremu zależy na tym, abyś robiła to, co chcesz. Nie ma ani jednego człowieka, który śni po nocach, żebyś zaczęła malować. Robić zdjęcia. Lepić garnki. Zmienić zawód. Prowadzić blog. Pisać felietony do wymarzonego pisma. Napisać książkę.

Nie ma nikogo, kto za ciebie to robi. Jesteś tylko ty.

I ty musisz sobie wystarczyć.

\*\*\*

- Marta, puść jednak ten felieton, który ci teraz wysłałam. Ma tytuł pliku z końcówką poprawiony3.

- Ten pierwszy był OK. Ten drugi też. Wiesz o tym, że

jesteś wiecznie niezadowolona z siebie, dziewczynko?

Jak mam być zadowolona z siebie, skoro mój demon na mnie patrzy? Mój demon jest strasznym smokiem, ma siedem miliardów par bardzo krytycznych oczu i czyta nimi moje teksty. A ja się w nich rozbieram do naga i trzęsę ze wstydu. To jak mam być zadowolona, Marta? Ja wiem, że jesteś redaktorką jednej z czołowych redakcji w Polsce i musisz się znać na tym, co przyjmujesz do publikacji. I najprawdopodobniej zwykle masz rację, ale teraz niestety się straszliwie mylisz. Mylisz się zasadniczo w tej kwestii od dwóch lat, a to dlatego, że jeszcze nie widziałaś tamtego mojego zdjęcia na Facebooku. Jak je zobaczysz, to zrozumiesz, jaki popełniasz błąd. Bo, chociaż miałam załamanie nerwowe i byłam w szpitalu na głowę, i przeszłam terapię, i w końcu postanowiłam, że zdobędę się na odwagę i zmienię swoje życie, ja nadal wątpię. Ja wątpię na każdym kroku, mimo wszystko, mimo tego, że przecież musiałam w siebie uwierzyć taką wielką wiarą, wiarą za wszystkich ludzi na świecie.

Wątpię.

Chcę uciekać z tego leżaka, chcę się schować pod kołdrę, pod koc, pod materac. I nie mogę. Jestem dokumentnie goła. I taka właśnie muszę stanąć przed demonem. I taka właśnie staję co tydzień, kiedy publikujesz mój felieton w gazecie. Kiedy pod felietonem ukazują się komentarze. Kiedy ktoś piszę, że jestem głupia. Że bez sensu. Że sorry, nie ten pułap.

Trzęsę się, jak wtedy w przedszkolu.

\*\*\*

Najtrudniejszy był płacz. Ale nie dlatego, że był, że się pojawiał, że nie było rady, bo łzy leciały uparcie z byle powodu, z powodu złego słowa, z powodu zmarszczenia brwi, z powodu spojrzenia krzywego. Nie. To znaczy tak. Tak, wściekła byłam na siebie i na ten płacz, który pojawiał się niechciany, zawstydzający, głupi. I że nie mogłam go nigdy opanować. Nie mogłam opanować łez wtedy, gdy kierownik żartował. Nie mogłam opanować, gdy tata podnosił głos. Gdy buty leciały

przez okno. Gdy mama znikła za rogiem. Gdy dostałam cztery plus. Gdy Babcia zachorowała. Gdy chomik zmarł. I Misiek.

Ciągle płakałam. Płakałam nawet wtedy, gdy nic złego się nie działo. Na filmach płakałam, przy książce. Płakałam, gdy Babcia opowiadała o pogrzebie Rysia.

Płakałam, gdy dziadek umarł. Gdy straszy pan nieporadnie przechodził przez ulicę i samochody na niego trąbiły. Gdy przypominała mi się ta mała czarna Misia, która w wieku pięciu lat stała się matką Polką.

Płakałam na apelu w Dzień Zwycięstwa, płakałam podczas hymnu Polski. Płakałam na mszy, przed i po spowiedzi. Do dziś płaczę w kinie.

Nienawidzę płaczu. Ale płaczę. Płaczę i konam ze wstydu.

- A czego się pani wstydzi?

Patrzę na kobietę z zielonymi oczami i myślę bardzo długo. Tak długo myślę, że zaczynam się bać, bo mój czas zaraz minie. Zaraz się skończy terapia, a ja, kurwa, nie wiem, czego się wstydzę, kiedy płaczę.

- Wstydzę się płaczu. Bo płakać to znaczy zawracać innym głowę, to znaczy być gałganem nieszczęścia, to znaczy być gorszym. Od dziecka płaczę i noszę ten wstyd, bo ja jestem gorsza w ogóle, ale kiedy płaczę, to już jestem gorsza od tej gorszej siebie. Płacz obnaża, z płaczem już nie można poświrować w masce, płacząc nie można udawać, że ma się wszystko w dupie. Poza tym nikt płaczu nie lubi, nigdy nikt mojego płaczu nie lubił, a jak płakałam, to...

- To co?

Zamilkłam i w tej ciszy nagle usłyszałam to, co słyszałam zawsze, gdy pojawiały się łzy:

„A ty czego znowu ryczysz?”

- Kto tak mówił?

- Rodzice.

- A co pani mówi, kiedy Hania płacze?

\*\*\*

Opowiem wam historię o Alicji, zwanej potocznie Kasią. To bardzo prosta historia i wcale nie żadna baśń. Alicja była małą

dziewczynką, gdy pierwszy raz ujrzała smoka. Zamknęła oczy. A smok ciągnął za włosy, ryczał w nocy pod łóżkiem, a w dzień skakał po zamkniętych powiekach. Na plecy wlaził.

Alicja rosła ze smokiem na plecach i coraz bardziej się garbiła. Smok wyjadał jej serce i płuca tak, że oddychać nie mogła. Zza zamkniętych oczu nigdy nie ujrzała tęczy. Oddychała płytko, cicho, by smok nie usłyszał. Cicho jadła i piła, cicho się bawiła. Co smok chciał, robiła. Ale smok chciał coraz więcej, aż zjadł jej całe serce.

Zadzwoniła do koleżanki, do męża, do Oli. Żadnej ulgi. Prosiła wszystkich, pomóżcie, ale nikt jej nie pomógł. Kot z Cheshire jej nie wsparł, nie pomógł Kapelusznik. Aż w końcu umarła. Udusiła się na śmierć. Zeszła pod ziemię, do trumny wlaźła. Z pajakami w trumnie zaległa. W czarnej wodzie się utopiła. W pustkę się rozpadła.

Z pustki, jak Kot z Cheshire, myśl się wydobyła. Zielona zorza polarna, posmak nicości. Czy już do wszystkich dzwoniłaś, Alicjo? Wszystkim się już poskarżyłaś? Na pewno? Wszak na liście kontaktów została jeszcze jedna osoba. Jeden nietknięty numer telefonu. I jego właściciel, który nie wie, że cisza to nie zgoda. Że twoje milczenie to ból. Że się boisz. Że umarłaś. Że wcisnęłaś się w fotel, pluszem udusiłaś. Że ten tynk znad zatrzaśniętych drzwi wciąż odpada w twoim sercu. Że trzy dni milczenia odebrały ci mowę. Że sześć lat nieobecności ściągnęły na ciebie wyrok nigdy nieugaszonej tęsknoty.

Nie ma Kota z Cheshire. Nie ma nikogo, kto wykona ten telefon. Jesteś tylko ty sama. I tylko ty możesz zadzwonić. Zadzwonź więc i powiedz. Weź miecz i walcz. To nie jest twoja ostatnia szansa. To szansa JEDYNA.

Spod wieka trumny, z pajęczyn mokrych wyjęła Alicja dłoń. Komórkę z bagna wyłowiała. Wyświetlacz przetarła. Mrok gęsty jak welur trupim światłem rozdarła. Nacisnęła klawisz. I zadzwoniła. Do najstraszniejszego swojego lęku. Do niepokonanego smoka o siedmiu miliardach par oczu. Do swojego ukochanego taty. Do swojej najdroższej mamy. Do samej siebie.

Tęcza to zwykle białe światło. Tylko inaczej widziane.

## KOBIETA W KOŚCIELE

Jeśli to nawet był koniec świata, to i on się skończył. Zdumiona, że nadal żyję, że mnie pioruny nie dosięgły, wyszłam na gdańską starówkę, by sprawdzić, co z tego świata zostało. Burza się uspokoiła wprawdzie, ale deszcz ciął nadal. Po kamienicach ulicy Szerokiej, Chlebnickiej i Piwnej spływały gniewne jeszcze po nawałnicy strugi, więc szłam pośpiesznie, by mnie deszcz nie zmoczył, choć moczył i tak. Poddałam się w końcu żywiołowi, niech leje, z cukru w końcu nie jestem.

Szłam teraz powoli, coraz wolniej i wolniej, aż przystanęłam koło kościoła i, mrużąc oczy od kropli, spojrzałam w górę. Kościół strzelał fajerwerkami wież prosto w niebo, wysoko, wysoko, że się w głowie kręciło i z powodu tego monumentalnego rozmiaru ogarnął mnie dziwny lęk.

Lęk paraliżuje i każe nieruchomo stać. Więc stałam w deszczu ja i on stał, budynek jak stodoła ogromny, wysoki jak Mont Blanc. A w tym deszczu i ciemnościach stracił swoją barwę cegły i stał się niemal czarny i lśniący jak granitowa skała.

Nagle obudził mnie dzwon. Nie wiem wciąż, czy on naprawdę bił, czy na skutek apokalipsy usłyszałam wewnętrzny głos opatrności? Dzwon początkowo słaby, za każdym uderzeniem coraz bardziej rozhuśtany, wydobył wreszcie ponurą i gniewną pieśń o przybywających wiernych, ale i o takich też, co zamiast przybyć, chodzą na drinka z chłopcami, upijają się w bramie, prowadzą byle jak, i to się jeszcze okaże, komu ten dzwon bije. Więc na deszczu mam nie stać, tylko włączyć do środka i to pędem!

Posłusznie wbiegłam przez kutą bramę do środka kościoła i wciągnęłam mokry zapach trzeszczących drewnianych łąw. Przeszłam przez przedsionek, w którym baba prezentowała pamiątki, minęłam drzwi wejściowe i oto, zwabiona głosem dzwonu - nie wiadomo, czy ku pojednaniu, czy zgubie -

znalazłam się w środku tej kobyły trojańskiej. Onieśmielona przytłaczającym ogromem sklepień i niedostępnym w dali ołtarzem, skręciłam odruchowo w lewo i wbiegłam do pierwszej napotkanej kapliczki, aby się w niej schronić przed tym kategoriycznym majestatem.

Usiadłam w małej ławce przypominającej szkolną kozę dla uczniów z końca listy i, ciężko oddychając, podniosłam wzrok. A to, co zobaczyłam, przypominało komiks, tyle że wielki, na całą ścianę i bez dymków. Dymki były zbędne, bo sens malowidła był prosty i zrozumiały dla każdego, bez didaskaliów.

Obraz składał się z trzech części. Główna - centralna przedstawiała anioła z mieczem i dość cwana miną szefa, a cały był w zbroi i to w sumie dziwne, bo reszta zebranych była goła jak święty turecki i żadnych szaberek nie mieli. Przewracali się na trawie w wielkim poddaństwie, niektórzy składając dziękczynnie dłonie, inni w potępieniu grzęźli na czworakach w błocie. Nad całością śpiewały chóry aniołów i zastępy świętych, a najważniejsza postać ubrana w czerwoną kieckę siedziała na tęczy z nogami opartymi o podnózek w kształcie kuli ziemskiej. Po lewej stronie malowidła sprawy się miały całkiem niezłe, bo golasy już uspokojone szły z uśmiechem do pięknego zamku, a nieliczni ubrani pozdrawiali ich wesoło.

Zupełnie inaczej wyglądała sytuacja po prawej stronie. Kosmaty czarny diabeł ze skrzydłami motyla dźgał widłami nieszczęsnych, co z przerażonymi minami przewracali się pokracznie i, nie mogąc nigdzie zwać, podnosili bezradnie ręce.

W prawym dolnym rogu centralnej części obrazu leżała zaś niewiasta. Patrzyła w nieskończoność, gdzieś za kadr malowidła, a twarz miała spokojną jak jezioro. Wstałam z klęcznika zaintrygowana postacią i podeszłam bliżej. Tak, dziewczyna miała rude włosy i niebieskie oczy i cała była jakaś taka anielska, a jednak znalazła się po prawej stronie. Nie niepokoilo jej to jednak, spokojnie sobie leżała, jakby czekała na finał całej imprezy, by na koniec wstać spod przygniatającej czy może chroniącej ją deski, otrzepać się z błota i pójść w swoją stronę? Jaka wolność była w tych jej oczach! I chociaż

diabeł skakał, furkotał, odgrażał, gromy ciosał, widłami machał - ona nic. Leżała jak na plaży i myślała o niebieskich, jak jej oczy, migdałach.

I zrobiło mi się dzięki tej pannie bardzo wesoło. Już nie czułam lęku przed ogromem twierdzy i znikł niepokój wywołany biciem dzwonu.

Sąd Ostateczny? Koniec świata? Co by nie było i tak się skończy. A że człowiek coś z tego życia urwie? Że poczuje jego smak? Najwyżej pod deską poleży, przed diabłem się schowa. Nic się nie stanie.

Opuściłam budynek, pozdrawiając babę z pamiątkami i pobiegłam przed siebie.

Koniec świata? A skąd. Życie!

\*\*\*

W życiu czasem trzeba milczeć. Milczeniem okazać miłosierdzie. Kiedy człowiek milczy, trochę wybacza. I moja Babcia milczała. Bo choć znała grzechy dziadka, dobrze je na sobie czuła, dopiero po latach ujrzała jego duszę. Spojrzawszy pewnego razu w te przerażone oczy duszę swego męża zobaczyła.

A w duszy miał, mój Boże!

Żeby chociaż zło! Żeby zło z zębami na głowie, z łuskami u nóg, ze szczeciną na plecach! Żeby zło pokraczne, parszywe, do prostej nienawiści tylko się nadające! Ale nie. Tam zła nie było. Jego dusza na pół rozerwana, cierpiąca jak poszarpane zębem drapieżnika, a nie dobite zwierzę, skrywała SUMIENIE.

Sumienie, ta wiecznie głodna hiena, żre dusze śmiertelne. Żre żywcem, a nie zabija.

To go dopadło.

Kazała mu wtedy pójść do piwnicy, ziemniaki przynieść. Poszedł i znów przepadł. Długo go nie było, a na kartoflanke dzieciaki czekają. Woda się bałwani, a tu nawet nie obrane. Gdzie ten stary? Wraca. Błady, nieprzytomny.

Pijany!?

Trzeźwy. Zduszony charczy na progu, za serce się łapie, chwilę potem leży. Co się stało?

Do piwnicy szedł, kłódkę otworzył, po ciemku, po omacku, bo lampy naftowej zapomniał, zapalki gdzieś przepadły, jak na złość. Maca ścianę, gdzie kontakt, a kontakt wyrwany.

„Job twa mać!” - pod nosem zaklął i idzie powoli do worka z ziemniakami, powinien leżeć pod ścianą. Maca, jest. Rozerwany! Ktoś się do piwnicy wkradł, kontakty pourywał, worek poszarpał, słoiki pewnie zwędził, będzie awantura! Maca dziadek rozerwany worek, ziemniaki na podłodze rozsypane. Maca i jeden po drugim zbiera do siatki lnianej, co mu ona dała, żeby w nich ziemniaki przyniósł. Jeden, dwa, trzy, największe wybiera, bo największe najłatwiej ostrugać. Wzrok do ciemności się przyzwyczaja, już widać ziemniaki, worek rozerwany widać, półki ze słoikami - nienaruszone. Ośmielony ręką po tych bulwach przesuwają, gdzie większa. I nagle trafia nie na ziemniak, ale na coś miękkiego, gładkiego, coś takiego jakiegoś, jak... Czy w ciemności już śmielsze, patrzą co to? Gładkie i pulchne, i miękkie z ziemniaków wystaje, co on gładkiego, miękkiego ma w dłoni? Białe takie, znajome jakby, choć wspomnienie o nim wódką codziennie ścierane, nagle wściekle wyraźne, zmaterializowane z samego dna pamięci.

Mój Boże, Matko Jedyne, babka, gdzie wy wszyscy jesteście?!

Ja tu w piwnicy, ja w piekle, na dnie przepaści, w grobie pogrzebany żywcem. Zamiast ziemniaka, nóżkę trzymam, małą i miękką, w trumiennym buciku.

\*\*\*

*Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi i poczęła z Ducha Świętego.*

Opowiem wam o pewnej Dziewczyńce. Dziewczynka ma kilkanaście lat, jakieś plany i pasje. Kto wie? Kogo to obchodzi? Pewnej nocy nawiedza ją jakiś osobnik o imieniu Gabriel i pozamiatane. Dziewczynka jest w ciąży. Jak to się stało? Dziecinne pytanie. Każdy wie, że do niczego nie doszło. Nic się nie wydarzyło, jakby ona sama się od własnej cielesności odcięła. Jakby jej nie było. To najdoskonalszy pomysł ludzkości na kobietę idealną. Nie mieć ciała, a z ciała czynić powinność. Nie być, a wykonywać polecenia.



Być użyteczną, a nie istnieć. I ona faktycznie, jakby nie istniała, bo gdy urodziła syna, nie miała wiele wspólnego z jego wychowaniem. Snuła się po kartach historii jak duch, zjawia, nierzeczywista, bezwolna i pokorna. Jej żywot zwieńczył równie bierny koniec: Wniebowzięcie.

Ta, w najdrobniejszym szczególe przemyślana postać będzie miała wiele twarzy. W zależności od sytuacji, miejsca i czasu. W zależności od potrzeby interpretacji. Dla kobiet zostanie wzorem pokory, a dla mężczyzn - Królową, w imię której można forsować swoje racje.

Ale wszystko przed nami. Mamy na to dwa tysiące lat.

Tymczasem nasza Dziewczynka spuszcza święte powieki i przyjmuje los ze słowami:

*Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twego.*

\*\*\*

Włosy miała kasztanowe, lekko falowane, gęste. Czesła je do góry na modę przedwojenną. Oczy zielonoszare. Duże piersi, duże uda. Wschodni uśmiech radosny, zęby ładne, białe, z wyraźną diastemą. Taka piękna na fotografii ślubnej, ile miała wtedy lat?

Osiemnaście.

I po co, taka ładna, zaraz wyszła za mąż?

Żeby żyć.

Żeby żyć, gdy ze wschodu szli i w ładnych dziewczynach przebierali. Żeby żyć, gdy skrzywdzonej dziewczyny nikt już nie chciał. Żeby żyć, gdy już nie było nadziei.

Starość jest najpiękniejszym czasem, mówiła. Starość to młyn, który się zatrzymał i teraz służy tylko jako eksponat w skansenie. Można sobie usiąść, pomyśleć, powspominać. Ponudzić się wreszcie. Pomodlić się do woli. A ona uwielbia się modlić. Woła wnuki na różaniec i zamyka się z nimi w pokoju na długie godziny. Owszem, najpierw różaniec, pięć dziesiątek, nie mniej, mniej to może dziadek. Niech sobie na szybkości w tym swoim bałaganie odmawia. A ona będzie śpiewać cały różaniec. I wnuki będą śpiewać z nią.

Z Babcią się śpiewało! Z Babcią się fruwało! Z Babcią po tym różańcu, jak po Jaśkowej fasoli, do nieba się szło.

Potem była litania do Najświętszej Marii Panny. Maria Panna w litanii przybierała różne postacie. Była więc Królową, wiadomo. Była Królową wszystkich Świętych, Królową Świata, Królową Polski, Królową Patriarchów, Królową Proroków, Królową Królów.

Ale była też, co zawsze elektryzowało wnuki i budziło szereg pytań, Wieżę Dawidową. Wieżo Dawidowa, módl się za nami! Jakby tego było mało, była dalej Wieżą z Kości Słoniowej!

Wieżo z Kości Słoniowej, módl się za nami!

Gdy dołączy kolejna wnuczka, Kasia, nie da za wygraną. Czemu z kości słoniowej? Czemu Dawidową? Co ma jakiś Dawid do Matki Boskiej? Co za Dawid? U nas był w klasie taki Dawid, mówili na niego Żydek. Czy to imię żydowskie, wnikała, czy Dawid to był Żyd? A Matka Boska? Kim była?

„Żydówką” - odpowiadała Babcia i dzieci zamierały na chwilę. Zamierały, bo przecież być Żydem to być kosmitą, z czarnego rozdziału historii niedawnej, z pieca krematoryjnego wyjętym, kościotrupem abstrakcji. Jak to, Matka Boska Żydówką? Ta piękność z obrazu, ta dumna i dobra Niebieska Panienska na tak dobrze znanych starych fotografiach, wśród zapadłych żeber, wśród łachmaniarzy, w popiele? Wszak w litanii nie było: Królowo Kościotrupów! Nie było: Królowo Skazańców! Nie było: Królowo Zagazowanych! Nie było: Królowo Spopielonych! Nie było wreszcie: Królowo Żydów!

Babcia z milczącą mądrością kiwała głową i opowiadała o Łazarzu, o Jezusie, żydowskim Synu Bożym, który maluczki ukochał. I że go potem zabili.

- A kto zabił?

- Żydzi, a kto! - obruszała się Babcia i świat, jak to on ma w zwyczaj, zataczał pętlę paradoksu.

\*\*\*

Nie, nie chodzi mi o tę rozhisteryzowaną wspólnotę. Chodzi o miejsce. Niezwykłe, mroczne a świetliste, pachnące kamieniem, majestatyczne schronienie przed

czasem. Ale czy tylko o czas mi chodzi? Czy orzeczywistość równoległą?

To miejsce ktoś nam ukradł, ktoś zagarnął. Ktoś nam je zohydził, zradykalizował, zmaskulinizował.

W kościele na nieskończony beczynności spędziłam całe dzieciństwo. Całe dzieciństwo i połowę wczesnej młodości. Na oko licząc, jakieś tysiąc niedziel i diabli wiedzą ile rekolekcji. Plus pierwsze piątki miesiąca.

I święta. Zatem półtora tysiąca godzin nicnierobienia. Półtora tysiąca godzin siedzenia i patrzenia przed siebie. Myślicie, że się nudziłam? Nigdy. Inteligentny człowiek nigdy się nie nudzi.

Wielka jest dziecięca ciekawość. Każda bowiem niedziela była taka sama, malowidła i rzeźby w kościele niezmiennie, kopia Matki Boskiej Ostrobramskiej przy prawej nawie bez zmian, kopia matki Boskiej Częstochowskiej w lewym ołtarzu nieruchoma jak kamień. Każda rysa i cień na twarzach świętych przestudiowane, nazwane i zapamiętane. Każdy witraż i na każdym witrażu postać - przepatrzone, przeanalizowane, w wielu kombinacjach wyobrażone. Anioły zaznajomione. Bożonarodzeniowe choinki zeskanowane, żółbki z bydłętami i dzieciątkiem wnikliwie obejrzone. Wielkanocne grobowce przebadane, zmartwychwstania ogarnięte. I żadnych niespodzianek.

A jednak zero nudy.

Rosłam w tym kościele, dojrzewałam i jednak nadszedł moment, że nie wiedziałam, co ze sobą zrobić podczas niekończących się kazań. Aż nagle z ambony padło hasło o grzechu cudzołóstwa, o bezceństwie uciech cielesnych, o sromocie samogwałtu (Chryste Panie, co za słowo!). I natychmiast przestałam się nudzić. Moja wyobraźnia wybuchła. I każdą mszę jej poświęciłam. Każdą minutę z godziny beczynności przekulałam w intensywny czas wzmożonych rozmyślań. A miałam mnóstwo zaległych spraw do przemyślenia. Co gorsza, za diabła nie dało się z nikim o nich pogadać! Od wieków są sprawy, o których we wczesnej młodości nie da się gadać. Ale w moim przypadku nie dało się

po stokroć. A na pewno nie tak, jak ja bym chciała. Tak śmiało? Tak obrazowo? Tak namiętnie? Tak straceńczo? Tak bezecznie? Tak opętańczo? Tak ostatecznie?

Tak. Tak śmiało, tak obrazowo, tak namiętnie, tak straceńczo, tak bezecznie, tak opętańczo, tak ostatecznie.

O sprawach absolutnych nie można myśleć w pośpiechu. Sprawom absolutnym należy się czas. A w kościele czas był. Było też godne miejsce. Zaduma. Anielskie skrzydła. Przestrzeń. Wizje. Barwy. Światło. Mrok. Dreszcz na plecach, chłód tęsknoty, żar pożądania. Rzeczywistość równoległa. Tajemnica. Objawienie. Absolut.

Seks jest sprawą absolutną. Przez te wszystkie godziny niedzielnych, świątecznych, pierwszopiątkowych i rekolekcyjnych mszy myślałam o seksie, rozkładałam kwestię namiętności na czynniki pierwsze. Moja wyobraźnia pruća bezkres otaczającej mnie przyzwoitości. Moje myśli darły na strzepy przyjętą wokół cnotliwość. Skulone w kościelnej ławie plecy drżały z podniecenia. Kotary rżęs skrywały załzawione z rozkoszy źrenice. Szary pozór wełnianego beretu przykrywał kłębowisko najbezwstydniejszych myśli świata. Między mysimi warkoczykami rozgrywały się sceny istic orgiastyczne. Boże, co ja tam wyprawiałam! Jak ja się tam kotłowałam! Jak ja się nie prowadziłam! Ile ja z siebie rzeczy zdarłam!

Najpierw te zwykłe, popielate wdzianka, te szaliczki, paltociki, kołnierzyki, te rajstopy z dzianinki, te gryzące sweterki. Potem bawełniane podkoszulki i także galoty. Szybko się jednak ta garderoba wykruszyła, bo wyobraźnia moja poleciała w kosmos. Tak więc już na kolejnej mszy miałam na sobie, a raczej z siebie w duchu zdierałam koronki i falbanki. Najpierw w kolorze beż. Przyzwoicie, po maminemu. I pończochy na duży pas z klinami po bokach. Matka się nie pokapowała, bo garderobę miała w zwyczaju rozciągać po całym mieszkaniu tu i ówdzie, bez nadmiernej dyscypliny. Nigdy nie wiedziała, gdzie wetknęła pończochy, jakże więc mogła wpaść na to, że jej dwunastoletnia córka paraduje do kościoła w odsądzonej od czci i wiary bieliźnie?

Potem było coraz śmieiej. I coraz frymuśniej. I coraz

barwniej. Otóż weszłam w fazę czerwieni. Z filmów, z literatury, z paryskich zapisków Emila Zoli, z lupanarów piwnic teatralnych, z Hemingwayowych opowieści o dziwkach z moteli amerykańskich i z tego jednego jedyne go pokazu striptizerki w Miejskim Ośrodku Kultury w Kętrzynie, kiedy to dziadkowie, nieświadomi do szczętu, zabrali mnie na fundowaną przez zakład pracy imprezę familijną. Otóż na tej familijnej imprezie - ku przerażeniu Babci - wybiegła na scenę tancerka w czerwonych koronkach i jednym śmiałym ruchem je zrywając, pokazała, jak to dziadek, chichocząc euforycznie, określił: „broszkę”.

Z czerwieni przeszłam gładko do czerni. Każda szanująca się wszeteczniczka przechodzi w pewnym momencie z czerwieni do czerni, bo czerwień to tylko przygoda, a czerń ma w sobie wszystko. A wszystko to zarówno duch i ciało, tajemnica i bezwstyd, radość i mrok, obietnica i dramat, wierność i zdrada, powaga i żart, cnota oraz śmiertelny, niewybaczalny grzech cudzołóstwa.

Ja wprawdzie cudzołożyłam tylko z samą sobą, w żadnym cudzym łóżu się przez te zielone lata nie znalazłam, jednak moje wycieczki mszalne osiągnęły taki pułap, że z cudzołożenia mogłam śmiało robić profesurę. Ale ja nie zamierzałam na profesurze z cudzołożenia kończyć. Ja chciałam z cudzołożenia dostać nagrodę Nobla! Będąc więc już w czarnej bieliźnie, rzuciłam się w wir wynalazków. To ja w wieku lat trzynastu opracowałam stringi! To ja wymyśliłam przezroczyste staniki z tiulu! To ja zaprojektowałam koronkowe gorsety z przytroczonymi paseczkami na pończochy! To ja wreszcie wymyśliłam pończochy samonośne! Przymocowane gumką recepturką do chudego jak gałąź wierzby uda. Pończochy, rzecz jasna, z pojedynczym szwem z tyłu. Zasady trzeba znać od dziecka. Ja znałam. Ja miałam matkę w takich pończochach. Kto miał matkę w takich pończochach, głupoty, choćby w kościelnej ławie, nie palnął. Ja nie palnęłam. Ja w pończochach z pojedynczym szwem odstawiałam swój pierwszy striptiz w życiu. Pokaz erotyki, teatr jednego widza. A może dwóch? Kto wie, może nawet i tysiąca? Kto wie, czy tylko ja siebie na tej

wyobrażonej scenie oglądałam? Czy nie widział mnie tam chór Aniołów? Świętych? Czy nie widziały mnie Matki Boskie? Częstochowska czarna i jaśniejąca Ostrobramska? Postacie biblijne z witraży czy na pewno mnie nie spostrzegły? Czy nie widział mnie wreszcie sam Bóg? Czy nie widział mnie Chrystus Pan? Czy z grobu zmartwychwstały na potajemnie wykradzioną matce frymuśną bieliznę się nie napatoczył? W szale potępieńczym rzuconą pończochą czy nie oberwał?

Nie wiem. Są rzeczy dla mnie niepojęte, ale najbardziej niepojęte działo się obok. Wtedy, gdy dopadała mnie orwellowska Policja Myśli. Bo z tych myśli właśnie, z tych podsuniętych przez samego kapłana - trzeba było się WYSPOWIADAĆ.

\*\*\*

To był mój największy strach, najdotkliwsze upokorzenie. Ten moment, kiedy okazało się, że muszę powiedzieć o najskrytszych tajemnicach mojego ośmioletniego życia obcemu mężczyźnie.

Musiałam wyznać wszystko komuś, kogo nie znałam, nie lubiłam, kogo nawet nie widziałam, bo był ukryty za kratką. Musiałam mu wykrztusić z przerażeniem najgłębsze swoje sekrety, najintymniejsze szczegóły mojego JA.

Przekroczyłam granicę własnej na siebie agresji i zacisnęłam na swojej szyi pętlę dławiącego wstydu. Mdlałam ze strachu, słysząc zza tej kratki zachrypnięty od surowości głos, ten karcący ton i brak cierpliwości, to ponaglanie, żeby ominąć regułki, żeby przejść od razu do tego, co najważniejsze. Do tego, co we mnie siedzi najgłębiej, do własnych ułomności i własnej na to niezgody, tej samej niezgody, która mnie ukorzy, udupi na całe życie.

Nie chciałam tego, czułam że to jakaś przemoc, ale to była przemoc tak wyrafinowana, tak ubrana w te święte metafory, że niemożliwa do określenia, zwłaszcza dla dziecka. Dla dziecka, które z jakichś powodów musi wywlec swoją intymność i boleśnie zeszkrobać z niej swoje „grzechy”.

I nie chodziło wcale o to, że dostałam dwójkę albo kłóciłam

się z koleżanką, to było mniej ważne, choć za to też mogłam dostać reprimendę. Nie chodziło też tak naprawdę o opuszczenie mszy świętej w niedzielę, bo gdzież bym śmiała. I choć niewiele grzeszyłam, zawsze w tym momencie czułam się gorzej. Jednak nic mnie tak nie deprymowało, nic mnie tak nie mordowało jak ten jeden, jedyny grzech. Bo koniec końców, dziwnym trafem zwykle chodziło o ten jeden konkretny, najstraszliwszy, śmiertelny i niewybaczalny grzech: „samogwałt”.

To, że to grzech, dowiedziałam się na lekcji religii, jakoś na początku podstawówki. To, że ten grzech jest śmiertelny, że za ten grzech idzie się do piekła na wieczne potępienie, na wieczne smażenie się w smole, na niekończące się tortury - dowiedziałam się w wieku ośmiu lat. W wieku ośmiu lat musiałam przyjąć, że dotykanie własnego ciała prowadzi do samozagłady. I wtedy też musiałam zrozumieć, że każda chwila nieuwagi, każda moja słabość dyktowana najnaturalniejszą w świecie ciekawością, ściągnie na mnie konsekwencję tego zdławionego wyznania przy konfesjonale. Że znów będę czuć gnijące spustoszenie, rozpadające się fragmenty swojej wartości, niszczącą siłę poczucia niewyobrażalnej winy, która wymiecie ze mnie dziecięcą ciekawość i akceptację swojego ciała.

Znów na kolanach skulę się przed wielkim mężczyzną z zachrypniętym od surowości głosem i będę się krztusić, będę się palić ze wstydu, będę się kajać z powodu, którego właściwie nie rozumiem. I tak cichym głosem, jakby mnie nie było, jakbym w ogóle znikła, jakbym się pod ten konfesjonał zapadła, jakbym starła się w proch wiekiusty, będę odpowiadać na srogie pytania obcego faceta, będę się kruszyć przed jego dociekliwością: „Ale sama, czy z kimś?!”, „Ale jak często?!”, „Jak długo”, „Gdzie?!”, „Dokładnie!”. A potem, wracając do kościelnej ławki, będę łykać łzy z upokorzenia i niemocy, bo za co to - przecież tak naprawdę nic złego nie zrobiłam, tylko byłam ciekawa.

Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

A więc pójdę do piekła.

## FEMINISTKA

Jestem cienka jak kartka papieru.

Drzę na wietrze zawsze zbyt gwałtownym dla papierowych istnień.

Chciałabym zgnieść się w kulkę i schować w twojej dłoni. Ale nie mogę jej nigdzie znaleźć.

Jestem kartką papieru, ale nie pisz po mnie.

Jestem zbyt cienka, by znieść zapisanie twojego numeru telefonu na mojej skórze.

Każda cyfra drapie na wylot nieuchronnym oczekiwaniem.

Jestem cienka jak kartka papieru.

Robię z siebie samolot i wypuszczam przez okno.

To jest najcichsza katastrofa na świecie.

- Dzień dobry. Proszę księdza, jestem dziennikarką feministycznej gazety. Chciałabym przeprowadzić z księdzem wywiad.

- Jest pani feministką?

- Oczywiście, a ksiądz nie jest?

- A co to znaczy: feminizm?

- To proste. Feminizm, od łacińskiego słowa *femina* - kobieta, jest to ideologia równouprawnienia kobiet. Podstawą programu feminizmu jest dążenie do emancypacji i równouprawnienia płci pod względem formalnym i faktycznym.

- W porządku. W takim razie ja też jestem feministą.

\*\*\*

Zośka nigdy w życiu nie przyzna, że jest feministką. Feministki są brzydkie, nieogolone, sfrustrowane. Zośka nie jest sfrustrowana. Jest mężatką od dawna, wyszła ponownie za mąż rok po wyjeździe pierwszego męża do Niemiec.

Zośka wywodzi się z tradycyjnej polskiej rodziny, jej matka



miała czworo dzieci i cały dom na głowie. Ale Zośka jakoś nie kwapi się do takiego kieratu. Nigdy się nie kwapiła, nawet jak mąż butami rzucał. Niedawno wróciła z pracy i opowiedziała pewną historię.

Jej dwa razy młodsza znajoma płakała, jak to bardzo jest zmęczona, bo gdy wraca z pracy musi zrobić obiad, w dodatku czeka na nią stos koszul do prasowania. Koszul, rzecz jasna, należących do męża. Zośka ściągnęła brwi i spytała, czy mąż jest chory, bo skoro chory, to chyba nie ma pilnej potrzeby noszenia koszul? Nie, nie jest chory, wręcz odwrotnie. Ma wyjazd służbowy i potrzebuje szykownych ubrań. Zatem, docieka Zośka, czy mąż ma obie ręce? Ma. A może pracuje na dwa etaty i nie ma go w domu? Nie, pracuje tyle samo godzin, co ona.

- To może macie taką zasadę, że mąż ci w zamian prasuje sukienki? - pyta Zośka.

- Ależ skąd!

- Może po prostu lubisz prasować?

- Zwariowałaś, padam na twarz?!

- Więc czemu on sobie sam nie uprasuje tych koszul?!

- Jak to: sam?

- No sam! Chyba dorosły jest?

- Zośka! Czy ty nie prasujesz mężowi koszul?

- Nie.

- To po co on ciebie ma?!

\*\*\*

Ja wiem, co Zośka powie po przeczytaniu tej książki. Nic dobrego, na pewno. Na pewno nie pochwali. Ona się weźmie za pouczanie. Nie możesz tak pisać, nie możesz tak myśleć, nie możesz tak czuć. Nie możesz tak reagować na moje słowa, gdy ci mówię, że nie możesz tak mówić. Nie możesz tego wszystkiego mieć w głowie, bo to kompletnie, absolutnie bez sensu. Denerwują ją te wszystkie porąbane feministki, plotą głupoty. Jak ona je ogląda w telewizji śniadaniowej, to ją po prostu skręca. To trzeba świat do góry nogami wywracać, robić widowisko, pikietę, marsze i cudaczyć w telewizji, żeby

odmówić zrobienia obiadu? To nie wystarczy powiedzieć: „Nie”?! Nie wystarczy? A któraś może spróbowała choć raz? Czy zrobiła potulnie, a potem pisała pełne żalu listy do babskich gazet? Zamiast powiedzieć: „Nie, kochanie, nie będę ci służyć, bo jestem twoją żoną, nie służącą” one zbierają z podłogi skarpetki, skaczą nad swoimi mężami, kwoczą, rozpieszczają, służą, a potem mają pretensje do całego świata. One się nie sprzeciwiają, tylko idą na pikietę. One nie powiedzą wprost. One będą psioczyć do przyjaciółek. Niech on się domyśli o co chodzi. Tymczasem one będą DBAĆ!

O Boże, jak one DBAJĄ. Jak ona słyszy to słowo, to już ją szlag trafia. One dbają! Nie, nie o siebie, dbanie o siebie to pindrzenie się, to rychtowanie, to tylko przykrywka, wybieg, wymówka. To dbanie nie ma nic wspólnego z dbaniem o siebie. To dbanie o niego. Te starania, to bieganie wokół, wstrzykiwanie botoksu, wyskakiwanie ze skóry. Wszystko po to, żeby on sobie nie poszedł do innej. Zośka popuka się w czoło.

I niestety, będzie miała trochę racji. Będzie miała rację z tą cholerną koszulą niewyprasowaną, z tym, że warunki ustalają obie osoby, mąż i żona, z tym, że żonie warunków się ustalać NIE CHCE, bo ona nie wierzy w to, że może coś ustalać, że może stawiać granice, że może zawalczyć. Ona kładzie uszy po sobie, jest pasywna, bo nie będzie się przecież stawiać z teściowej, nie będzie się chandryczyć, przecież wszyscy POWINNI wiedzieć, na czym polega sprawiedliwość.

Tylko że nikt tu nie ma pojęcia, na czym polega ta jej sprawiedliwość.

Nikt nie wie, na czym polega jej poczucie krzywdy.

Nikt nie wie, o co jej chodzi, bo ona po prostu tego nie mówi. Ona owszem, pokazuje dąsy, fochy i niezadowolenie, ale nie mówi, O CO CHODZI. Ona chodzi nadęta, ona zamienia się w zołzę, ale nie umie powiedzieć:

Nie.

Spokojnym tonem, bez cienia obrazy i złości.

Nie.

Nie, kochanie, nie zrobię obiadu.

Nie, proszę cioci, nie będę stawiać inaczej stóp.

Nie, proszę pana, nie można mnie klepać po tyłku.

No więc, jeśli Zośka mi to wszystko powie, będę siedzieć cicho, bo nawet nie wiem, jak mam się z tym pokłócić. Nie mam pojęcia, jak podważyć tę logikę, bo sama ją doskonale pamiętam, ten paraliżujący moment oceny, taksowania wzrokiem i chwilę okrutnej szczeroci seniorki znakomitego rodu, w którym NIGDY nie było żadnych rozwodów, a w który miałam wtargnąć, wychodząc za Mikołaja: „Łatwo nie będziesz miała”.

No oczywiście, że łatwo nie będę miała, ale nie dlatego, jak się powszechnie uważa, że jestem z rozbitej rodziny. Łatwo nie będę miała, proszę pani, bo cała jestem DOSTOSOWANIEM, cała jestem z plasteliny, rozdygotanej plazmy. Jestem dygoczącym zmarzniętym ratlerkiem, który na jedno cmoknięcie merda ogonem i się łasi, a na tupnięcie ucieka. Łatwo nie będę miała, bo chcę wszystkich wyręczyć, wszystkich chcę wyprzedzić, samą siebie chcę wyprzedzić. Bo chcę być najlepszą żoną świata, która nie potrzebuje żadnej pomocy, ze wszystkim sobie poradzi. Sama sobie udowodnię, jak bardzo jestem samowystarczalna. Muszę być najlepszą matką i stanąć na głowie, bo to MOJE dziecko, a nie: NASZE. Ktoś mnie nauczył, że jest inaczej? Ktoś mi pokazał, że dziecko wychowuje dwoje rodziców?

Dlatego też będę najlepszą pod słońcem bizneswoman, która sama sobie założy firmę i sama będzie wyki ej ać tiry.

\*\*\*

Ale, zaraz, zaraz, komu ja się całe życie chciałam przypodobać? Kogo przekonać, że jestem fajna? Komu przynosiłam piątki od góry do dołu? Sobie? Naprawdę?

- Co dostałaś z matematyki?

- Cztery plus.

- Dlaczego nie pięć?

No to, kurwa, następnym razem dostałam pięć. I co, Zosiu? Co się stało? Co takiego fajnego załatwiły te piątki? Świat kręcił się tak samo, słońce świeciło, deszcz padał. Nikt się mną

specjalnie nie zainteresował. To może jeszcze bardziej miałam się postarać? Może jeszcze mocniej przypodobać? Może zmyć jeszcze jeden stos naczyń? Może zrobić spaghetti? Kotlety panierowane? Zupę pomidorową? Może założyć sukienkę za kolana, może się bardziej umalować? Może zacząć chodzić do kościoła? Może zrobić szalik na drutach? Może wyprasować koszulę mężowi? Może podać rybę po grecku?!

Tymczasem Zośka nic nie mówi, nie puka się w czoło, nie wymądrza się, nie moralizuje i nie poucza. Nie peroruje, jak jest doskonała w tym, że wcale nie musi być doskonała, a jak niedoskonała w swoim dążeniu do doskonałości jestem ja.

Nie mówi nic.

Patrzy przez całą długość stołu, patrzy bez słowa, przechyla głowę i nagle, zupełnie nieoczekiwanie zadaje mi takie oto pytanie:

- Jaki to kolor farby?

Co?! Przecież ja już od kilku lat nie farbuję włosów! Od kilku lat! Już! Bo przez dwadzieścia lat malowałam.

Malowałam na różne kolory, czasem złoto kanionu, czasem lodowy blond, czasem miedziany, tycjan, mahoń, albo po prostu sen Szeherazady. Malowałam tak namiętnie i intensywnie, że pewnego dnia odpadły przy samej skórce. Wtedy właśnie nosiłam taką krótką fryzurę, jak feministka. Ale prawda jest taka, że to nie była fryzura na feministkę. Tamta fryzura nie miała nic wspólnego z feminizmem. Tamta fryzura była moim fiaskiem, tarczą, na której wyniosła mnie Claudia Schiffer. Wielką przegraną w walce o inną mnie.

O mnie, która nie istniała, która mieszkała gdzieś na wyspie lazurowego morza międzyplanetarnej rzeczywistości. Na wielkoformatowym plakacie przyczepionym do Kauflandu. Na reklamie szamponu. We śnie nigdy nie zasypiającej Szeherazady.

No i wypadły mi te włosy, ale jej tego wcale nie mówiłam. I teraz też jej nie mówię, bo jakbym powiedziała, to bym właśnie odsłoniła tę smutną, małą, rozdygotaną, krzątającą się w tkaniu lepszej siebie ignorantkę, która w wieku trzynastu lat nie

wiedziała, Jezu, słuchajcie, trzymajcie się za brzuchy, ona nie wiedziała, co to jest RWPG!

Nie. Nikomu tego nie powiedziałam, a jak koleżanki pytały, skąd taki pomysł na fryzurę, odpowiadałam, że taki mam styl. Ale to gówno prawda, żaden styl, to była moja głupota, zażarta niezgoda na samą siebie. I teraz z taką samą niezgodą, z tonem przygotowanym do walki odpowiadam na jej pytanie, a w odpowiedzi zawieram najstraszliwszą prawdę swojego życia:

- To kolor naturalny.

A ona kiwa głową i w tym kiwnięciu jest ogromne uznanie dla mojego wyrafinowanego gustu:

- Bardzo naturalny.

Po czym przybliżyła się i przyglądając uważniej, ze słabo skrywaną zazdrością ponawia pytanie:

- Ale jaki to kolor?

- Prochy Hadesu - wypalam, choć wydawało mi się, że wcale nie chciałam tego sarkazmu.

Jednak wystrzełam z siebie okrutny, sarkastyczny pocisk, by ugodzić ją za ten znieawidzony popiół i wiekiistą przeciętność, na które mnie na samym początku mojego życia skazała. Ona, posiadaczka filmowej fryzury, rudokasztanowa piękność.

- To znaczy, jaki to numer? - Pocisk chybił celu, a kotłująca się we mnie złość zaczyna przechodzić w rozbawienie. - Sama bym sobie walnęła taki kolor.

Ja tymczasem mam swoją projekcję filmu z Claudią Schiffer w roli głównej. Klatka po klatce przewijają mi się obrazy, jak to było z lodowym blondem, który tak naprawdę miał kolor budyniu, jak to było ze złotem kanionu, który przypominał marchewkę, jak to było z mahoniem, który miał odcień buraków i jak to było ze snem Szeherezady, po którym wypadły mi włosy. I jak to jest teraz z popielatym, mysim, szarym, znieawidzonym odcieniem żadności, o który moja matka, kobieta o najpiękniejszych włosach na świecie, dopytuje się od kwadransa, bo SAMA BY SOBIE TAKI WALNEŁA.

\*\*\*

Jest taki moment, w którym dociera do ciebie, droga Kasiu, dlaczego Hanzi ciebie zostawił. Mało tego. Jest taki moment, w którym dociera do ciebie, dlaczego nie miał innego wyjścia. Dociera do ciebie, że zrobiłabyś to dokładnie samo.

To był ten wyczekany letni wieczór, kiedy po powrocie z Niemiec zapisałam cztery strony drobnym makiem, jak się ubiorę na spotkanie z ukochanym. To był ten wymarzony dzień. On się chyba nawet tego dnia nie spóźnił, wyjątkowo. Wszystko było jak we śnie, jak w bajce, gdy nagle, z niewyjaśnionych przyczyn spytałam go, kiedy zamierza mnie rzucić. Czy w ogóle mu się podobam? Czy to wszystko nie oznacza przypadkiem, że nie ma chwilowo lepszej dziewczyny na oku? Jak często zmienia dziewczyny? Ile dał mi czasu?

Nie wiem, skąd mi się to wzięło. Może spojrział inaczej, może nie wziął mnie za rękę? Może się za kimś obejrzał? Może się zamyślił? Może zanucił coś pod nosem. Może zaśmiał się zbyt głośno? Może za mało na mnie patrzył? Może patrzył zbyt obojętnie? Nie wiem. Wiem tylko, że to powiedziałam. Że coś mi kazało to wszystko spieprzyć. Że coś mi kazało przywołać znajome uczucie odrzucenia. Bo przecież on mnie wcale nie odrzucał. Ale ja mu kazałam się odrzucić. Ja mu podałam na tacy to rozwiązanie jako jedyne właściwe. Jedyne srodek na uproszczenie komplikowanej przeze mnie sytuacji. Gadamy o makaronie z truskawkami i jest fajnie? Zaraz, zaraz, jakie fajnie, ja fajnie nie miałam w życiu, to teraz też nie może być dobrze. Żadnych „dobrze”! Żadnych „zwyczajnie”! Ja jestem idealnie pasującym elementem do tej maszyny zbrodni codziennych, do tych porzuceń, do tych emocjonalnych szantaży, do tych zerwań, które mi potem serwował tak hojnie narzeczony od łańcuszka!

To ja jestem siłą napędową dla wszystkich psychopatów tego świata. To ja jestem ich paliwem. Ja i moje rozedrgane oczekiwanie, kiedy w końcu przyjdzie cios. Tak na to czekam, tak się domagam, że cios w końcu musi przyjść. Bo jak jest „dobrze”, to mnie to, kochani, nie bawi. Ja nie chcę „dobrze”. Ja mówię, że chcę, ale ja nie chcę, bo ja w „dobrze” czuję się jak

w kosmosie, jak na Marsie. Ja nie mam tlenu, moim tlenem jest kortyzol, hormon stresu, ja muszę mieć hormon stresu do oddychania, do życia! Mnie w dzieciństwie porzucono, na mnie się obrażano, ze mną się zrywało, we mnie się butami rzucało. Ja słyszałam krzyki, ja widziałam krew. Ja uciekałam po dachach przed ludźmi, przed kierownikiem mojej matki, który strzelał ze staników sekretarek i krzyczał na mnie groźnie, gdy mówiłam, że się nie boję. Ja uciekałam przed Miedzianogłowym, znajomym rodziców, który tak się napił, że obrzygał jedyną rzecz, którą miałam na własność.

Moją kołderkę od Babci.

Uciekałam z lęku przed opróżnianymi w zastraszającym tempie butelkami wódki, przed imprezą za ścianą. Ja uciekałam w panice przed bratem koleżanki matki, pod którego opieką zostawałam, gdy miałam pięć lat i który chciał się ze mną bawić „w lekarza”. Ja się bałam wieszaków, węży ogrodowych i piorunów w oczach.

To czego ja mam teraz chcieć? Zwyczajnych dni, poranków bez kaca, śpiewu ptaków i dziergania gobelinów? Długich, spokojnych wieczorów w ogrodzie? Bujania się w hamaku wśród kwitnących krzewów, zatopienia w ciszy?

- Kochanie, napijesz się herbatki z malinami?

Ha, ha, ha! Nie rozśmieszaj mnie, Mikołaj. Jakie kochanie? Jakiej herbatki z malinami? Spierdalaj mi z tym „kochaniem” i z tą herbatką. Dziewczyna ze Wschodu to nie bukiecik fiołków. Dziewczyna ze Wschodu chce wódki, absyntu, spirytusu. Z arszenikiem. Ona musi czuć rozgrzany pręt na kręgosłupie od góry do dołu. Musi być rozszarpana, rozerwana, do kości dotknięta, do zera upokorzona. Musi się oderwać, upić, upalić, zerwać z rzeczywistością, przejść na drugą stronę, zepsuć wszystko. Ona wyszuka z tłumu najbardziej psychopatyczną osobowość i skieruje na siebie jej manipulacje. Musi zostać wyrzucona, wykpiiona, wyśmiana, publicznie sponiewierana. Ona nie może nawet powiedzieć, co czuje, choć czuje się podle. Co ma mówić? Normalna rzecz. Czucie się podle jest jej domem, jej ostoją, jej całym światem.

Najwyżej pójdzie się wyrzygać, jak Jolka, jak Miedziano

głowy.

Kobieta z zielonymi oczami patrzy bez zdumienia, bez odrobiny krytyki, bez dezaprobaty. Ani się nie śmieje, ani nie oburza. Ani się nie gniewa, ani nie niecierpliwi. Nie mówi, że nie ma czasu, że szybciej, do brzegu, o co chodzi. Nie mówi, że gadam bzdury, że się mylę, że w głowie się nie mieści, żeby być tak pojebanym. Nie odrywając ode mnie pełnych współczucia oczu, sięga ręką do półki, na której leżą chusteczki higieniczne i bez słowa mi je podaje.

\*\*\*

- Co pani robi ze swoim bólem głowy?

- Jak to: co robię?

- Czym pani się leczy? Czy jest pani pod opieką neurologa? Bierze pani leki?

- Migreny nie da się wyleczyć.

- Czym pani uśmierza ból?

Patrzę na w te zielone oczy i kompletnie nie rozumiem pytania. Tego bólu się nie da uśmierzyć. Mówiłam już przecież. W szpitalu nawet leżałam. Dwa tygodnie rzygałam pod łóżko i nic się nie zmieniło.

- Brałam aspirynę.

- Pomagało?

Ból głowy nie jest od tego, żeby coś pomagało. To się dzieje i koniec. Nie ma na to rady.

- Zrobili mi prześwietlenie.

- Pomogło?

Mój Boże, ta facetka jest jednak stuknięta. Jak mogło mi pomóc prześwietlenie? Jak może mi pomóc cokolwiek? Migrena jest genetyczna. Mam nieustające bóle głowy od dziecka i nauczyłam się z tym żyć. To się robi tak, że jak przychodzi ten ostry ból, człowiek się chowa do ciemnego pokoju, zasłania od światła, przykrywa i nieruchomieje. Jak już nie może wytrzymać, wymiotuje do wiadra. Wiele razy tak robiłam. Nieruchomiałam, gdy Hania miała dwa lata i dreptała wokół mnie, to to, to tamto, pićku, siku, tralala, a ja leżałam na wersalce i jęczałam z bólu. Ona była bardzo rozumnym



dzieckiem. Po cichu zwinęła się w kłębek i zasnęła mi w nogach. Da się. TO się da.

- Ibuprom, ewentualnie dwa ibupromy. I trzy aspiryny.

- Pomogło?

Kurwa, co za głupie pytania. No pewnie, że nie pomogło. Może trochę. Tak, żeby nie krzyczeć.

- Zapijam colą.

- Pomaga?

Nie. Nie pomaga. Nic mi nie pomaga.

- To po co pani to robi?

- To co mam robić?

I ona teraz, że od ponad dziesięciu lat są na rynku specjalistyczne leki leczące migrenę. Że każdy głupi lekarz mi to przepisze, jak tylko mu się przyznam, że cierpię na bóle głowy. Że powinnam chodzić systematycznie do neurologa i mieć przeze niego prowadzoną terapię.

- Nie chcę do neurologa. Byłam. Opowiadał, że żona też ma migreny.

- Niech pani pójdzie choćby do rodzinnego.

\*\*\*

Trzy miesiące szłam. Trzy miesiące, może dłużej. Trzy miesiące oszukiwałam się, że nie mam czasu. Że coś muszę innego. Że nie dziś. Że jestem zajęta. Że nie zdążę. Że korek. Że ślisko. Że mam pilny raport. Że dziecko chore. Że muszę felieton napisać. Że na blogu coś. Że ojciec dzwoni. Że pada. Że nie teraz. Nie dziś. Jutro.

A gdy już porobiłam wszystko, co niezbędne, wszystko, co tak bardzo przeszkadzało mi pójść do lekarza, pomyślałam wreszcie, że ja wcale nie chcę tych leków. Ja ich po prostu nie potrzebuję. Ja się nauczyłam żyć z tym bólem, tak jak nauczyłam się żyć z rozgrzanym prętem na kręgosłupie. Ja za te leki, drodzy państwo, serdecznie dziękuję, tak jak dziękuję za herbatkę z malinami i faceta, który nie ma granicznego zaburzenia osobowości. Ja tę migrenę w jakiś przedziwny sposób polubiłam, pokochałam, ja bez niej żyć nie umiem. Ona mi daje poczucie wyjątkowości, bycia w tym kręgu męczennic,

dzielnych i szlachetnych heroin, które w ciąży będą wchodzić przez okno akademika, które będą wyki ej ac tiry i smażyć kotlety dwa dni po porodzie.

Bo ta męka je wyróżnia. Uszlachetnia. Sprawia, że są wyjątkowe. Dają radę.

\*\*\*

OK. To może powiem, jak było naprawdę. Jak to było, kiedy trafiłam do szpitala, gdy ostatnio mnie zabrali z pracy karetką. To było tak, że w szpitalu dali mi taki zastrzyk, co natychmiast uśmierzył ból. Natychmiast.

I wiecie, co się stało? Powiem wam, powiem szczerze, jak na tej pieprzonej spowiedzi, co tak naprawdę wtedy zaszło. A to, że odebrał mi ból fizyczny, strącono mnie w piekło bólu psychicznego. W czeluść totalnej depresji, w dół bez dna. Leciałam w przepaść pełną robactwa i czarnej spienionej wody. Każda myśl, absolutnie każda, była zagładą. Każdy dźwięk i każda perspektywa. Wizja życia, które się kończy śmiercią. Guz w mózgu kobiety z drugiego piętra, guz w piersi sąsiadki z naprzeciwka. Umierająca Jolka woła w nocy: „Mamo, boli!”. A matka stoi bezradna.

Dziadek w piwnicy z wyimaginowaną nogą Rysia w dłoni. Babcia za małą trumną w czarnych pantoflach. Misia prosząca o chleb dla siostry. Druga wojna światowa. Auschwitz. Komora gazowa. Żółty gaz zamiast wody z prysznicą. Zdjęcie w rocznicowym dodatku „Gazety Wyborczej”. Matka z dzieckiem na rękę stoi pod ścianą do rozstrzelania. Umundurowany Niemiec mierzy do niej z karabinu. Czy kiedy zabije matkę, dziecko będzie umierało powoli w masowym grobie? Noemi?

Zatęskniłam wtedy do swojego ciemnego pokoju, do spokojnego, zwyczajnego, znajomego bólu głowy w białej w poduszkę. Och, jak zatęskniłam do swojej bezpiecznej migreny!

A teraz słyszę od psychiatry, że ludzkość wymyśliła na nią skuteczny lek? Jakiś chory z ambicji zespół lekarzy chce odebrać mi moje zbawienie? Jak to? Ktoś pozbawia mnie błękitu w mojej krwi? Ktoś mi tu mówi, że to takie proste? Gównu proste.

- Dzień dobry. Była pani u lekarza z tymi migrenami?
- Nie mogę. Nie mogę tam pójść.
- Dlaczego?

Dlatego, że to jedna z niewielu stałych rzeczy w moim życiu. Jedna z niewielu rzeczy, które mnie identyfikują inaczej niż tylko szarą mysz z nadwagą. To coś, co mnie ratuje przed utonięciem w czarnej wodzie, przed zagładą w komorze gazowej, przed obłędem strachu, przed smokiem o siedmiu miliardach par oczu.

To coś, co sobie wymyśliłam jako dziecko dla własnego ratunku przed zbyt dużym światem, w obronie przed dorosłymi.

- Ale pani jest już dorosła.

## KOBIETA DOŚĆ DOSKONAŁA

Ujrzałam ją w małej knajpie na krakowskim Kazimierzu. Siedziała na wprost okna, wieczorne słońce rozjaśniało jej twarz i rozkładało się na ramionach niby rudy kołnierz. Wyglądała jak posąg ze złota, pomnik własnej urody. Lekko się uśmiechała, nie chichotała jednak histerycznie, jak to mają w zwyczaju knajpiane trzpiotki. Nie śmiała się też zbyt szeroko, na głos - jak to mam w zwyczaju, nie przymierzając, ja.

Tego spokojnego półuśmiechu pozazdrościłam w pierwszej sekundzie. Potem zaraz odrzuciłam zazdrość, zrozumiałam, że uczucie to jest zupełnie pozbawione sensu. Musiałabym bowiem zazdrościć po kolei wszystkiego, każdego centymetra jej rozświetlonej twarzy, koloru oczu, rzęs, włosów. Musiałabym zazdrościć jej drobnych dłoni, jej przezroczyściego nadgarstka ozdobionego jedynie skromnym łańcuszkiem. Musiałabym zazdrościć roztargnienia jej palców, które bezwiednie przewracały pudełko papierosów, choć ona wcale nie paliła. Tak bym musiała się tej zazdrości poświęcić, że na nic więcej nie starczyłoby czasu. A już na pewno nie starczyłoby czasu na podziw. Kto by chciał się pozbawić podziwu na rzecz beznadziejnej zazdrości? Podziw więc został, zazdrość przepadła. I tysiąc sprzeczności w tych niezdecydowanych ustach, niczym odwieczna rozterka Mony Lisy: uśmiechać się czy nie? - przykuło mój wzrok do tej twarzy i kazało studiować ją szybko a dokładnie, by zapamiętać jak najwięcej.

Od chwili, gdy ją ujrzałam, sama jakby znikłam. Moja nieobecność w tym miejscu była jej obecnością. Nie mogąc oderwać wzroku od zjawiska, przestałam odpowiadać na pytania knajpianych kompanów: „Ej, jadłaś już te zapiekanki?”. Zamilkłam, wyszłam z bieżących spraw, opuściłam to późne popołudnie. Ono zresztą też chyba z siebie zrezygnowało i skierowało blask zachodzącego słońca, niczym jupiter, właśnie

na jej twarz.

Kto wie, czym jest piękno? Czyż nie chwilą właśnie? Jeśli w tym momencie zgrały się razem: złoto promieni słonecznych, mleczna delikatność skóry, nieopisana kruchość dłoni, nieznośna a jednocześnie idealna niepewność uśmiechu z wywołującym niedosyt wrażeniem ulotności - czyż nie stał się właśnie cud arcydzieła?

Gdybym miała możliwość zatrzymania tej chwili! Gdybym mogła pędzlem Leonarda uchwycić ją, uwięzić na płótnie! Albo gdybym mogła choć zrobić zdjęcie! Ale nie mam aparatu, nie umiem robić zdjęć, a już na pewno nie umiem zrobić takiego zdjęcia, które nie zamordowałoby piękna. Więc co? Mój Boże, mam pstrykać komórką? Nie ma takiej komórki na świecie, która by nie obraziła tego cudownego obiektu, która by nie zdarła z niego aury. Zresztą, każdy gest, odwrócenie się po aparat, pochylenie się nad płótnem, nawet skreślenie jednego przymiotnika na knajpianej serwetce to kolejna sekunda niepatrzenia na bóstwo. Jedyne więc, co mi przyszło do głowy, to wstać i podejść. Wstać, podejść i powiedzieć.

Wstać, podejść i powiedzieć.

Ależ to wstyd! Jak to - wstanę, podejdem i powiem? Co sobie ludzie pomyślą? Tak się przecież nie robi! Jezu, czy tak się robi? Kto z was tak zrobił? Kto wstał i podszedł, i powiedział? Ja się wstydzę. Ja nie mogę. Wezmą mnie za wariatkę. Popukają się w czoło. A ona? Ona wstanie i wyjdzie. Albo inaczej: wrzuci ramionami. Każde wrzucenie ramionami mnie - zachwyconą jej pięknem - w tym momencie zabije.

Sparalizowana więc niemocą patrzyłam dalej. Ale patrzyłam jeszcze tylko przez chwilę, bo obraz się zaciemniał, uciekał, wreszcie: znikł. Słońce spadło z jej ramion, czar prysł i ze złotej bogini wyrosła nagle ciemna postać ze szklanką piwa w niewidocznej dłoni. Ot, po prostu - dziewczyna. Dziewczyna, w sumie całkiem niezła, może trochę mało wyraźna, trochę zbyt niemrawo konwersująca z koleżanką, która sobie nic z utraconego cudu nie robi.

Nie, nie! Wróć! Było inaczej! Było zupełnie inaczej!

Zdecydowałam się jednak. Wstałam, podeszłam i powiedziałam:

- Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie.

Najpiękniejsza Kobieta na Świecie otworzyła usta, zamknęła je, znów otworzyła, aż wreszcie spytała:

- Naprawdę?

Owszem, może mówiłam to z jakimś nierozumnym żalem, może wciąż jeszcze po mnie ta zazdrość się tłukła? Grunt, że skinęłam głową i z miną w stylu „nic na to nie poradzę”, zapewniłam:

- Tak.

Wtedy Najpiękniejsza Kobieta na Świecie wstała, objęła mnie, a potem chwyciła za ramiona i nieco od siebie odsunęła. Odwróciła mnie twarzą do okna i spojrzała badawczo, tak samo jak ja na nią przed chwilą. I z uśmiechem, ale też z jakąś dziwną ulgą w głosie, z jakimś takim długo wstrzymywanym westchnieniem - odparła:

- Ty też.

\*\*\*

Mówicie, że jestem paszczurem? Mówicie, że ktoś rzucił na mnie zaklęcie? Zła Królowa? Poczekajcie. Nie tłuczmy luster! Jesteśmy w baśni. W baśni wszystko może się zdarzyć. Nawet to, co niemożliwe. Słuchajcie zatem cierpliwie, co się dzieje dalej. Co dalej z tą kobietą, która podchodzi do lustra. Pamiętacie ją? Pamiętacie, co mówiła? Pamiętacie jej kolejne pudełka od farb do włosów? Pamiętacie jej niekończące się wędrowki po salonach piękności, jej poszukiwania cudu wśród reklam krzyczących o tym, jak strasznie dużo musi ze sobą zrobić? Pamiętacie kompleksy cer amidów? Kolagenowe mikstury? Aplikacje z kofeiny? Człowiek przez całe życie nie może pojąć trygonometrii, a sonoforezę kawitacyjną - w try miga. Człowiek latami nie może zmienić pracy na lepszą, ale przez całe życie podejmuje mordercze próby zmiany siebie na kogoś innego. Kogoś poza tym wszechświatem, poza kosmosem, poza tkanką żywą? Przez całe życie prześladowuje go photoshopowe wcielenie boskości, nigdy nie osiągnięte

stadium perfekcji i ten nieśmiertelny okrzyk:

Boże, jaka jestem gruba!

Boże, mam ciało. Boże, jestem zbudowana z tkanek, z kości, z kwasu deoksyrybonukleinowego, z wody, białka, tłuszczu i najwstydlivszej na świecie krwi menstruacyjnej. Z pokrytej włoskami skóry. Ze zmarszczek. Z cellulitu. Z worków pod oczami. Z trzech włosów na krzyż, w dodatku popielatych. Z krzywo stawianych stóp, po tatusiu. Z oburzających w miejscach publicznych karmiących cyczków, z macicy, do której zagląda cały kraj. Boże! Odetnij mi to wszystko, odbierz mi ciało. Zamiast niego zostaw mgłę, obłok, jedwab, zapach i burzę miedzianych (cyklamenowych, lodowy blond, złoto kanionu, sen Szeherzady) włosów na nieistniejącej głowie. Zostaw doklejone paznokcie na nieistniejących palcach. Zostaw sztuczne rzęsy na ściętych botoksem powiekach. Zostaw bazę i podkład, kolagen zamiast twarzy. Może wówczas spojrzę na siebie w lustrze łaskawie? Może wtedy siebie pokocham? Może zrobię się dla siebie nieco bardziej miła i dobra? Może znajdę dla siebie odrobinę ciepła, może przytulę to, co po mnie pozostało?

Czy jeszcze będzie co przytulać?

\*\*\*

Jesteś singielką, porzuconą żołą, matką Polką, walczącą z rywalkami lwicą, dziewczynką, nastolatką, feministką, babcią, KOBIECĄ.

Czujesz się samotna, zraniona, oszukana. Siedzisz skulona w fotelu, mierzysz w świat z lufy karabinu, wyciągasz granat z za pleców. Ile jeszcze ataków musisz odebrać? Ile jeszcze ciosów musisz znieść? Ile jeszcze problemów musisz sobie wziąć na głowę?

Ten łańcuszek nigdy się nie kończy. Nawet jeśli twój niedoszły narzeczony ci go odbierze, masz jego ogniwa w głowie.

Potrzebujesz przyjaciółek. Przyjaciółki są niezbędne, nawet jeśli on ich nie lubi. Takie prawdziwe, z krwi i kości, co się napiją z tobą wódki, wysłuchają cierpliwie i pozwolą płakać w rękaw. Nie szukaj porad w Internecie ani w

babskich pismach. W babskich pismach znajdziesz własną szubienicę. Tam nic o tobie nie napisali. Tam napisali o świecie złożonym z kobiet wkurwionych na inne wkurwione kobiety. Tam napisali o tym, jak „zadbać” o swojego faceta.

Ty masz zadbać o siebie. Dla siebie.

Nie szukaj porad w Internecie. Na hasło „rzucił mnie facet” wyszukiwarka podpowiada cynicznie: „na łóżko”. Zrób wszystko to, na co ma ochotę ta mała dziewczynka ukryta w tobie. Nie oszczędzaj na niej. Kup jej drożdżówkę. Kup jej to, czego ona potrzebuje, a czego do tej pory się wstydziałaś. Bo ci było głupio, że może ktoś o tobie pomyśli coś złego. To, co ktoś o tobie pomyśli, to nie twoja sprawa. To, że komuś się nie podobasz, to nie twoja sprawa.

Jesteś sobą. Jesteś tym, kim chcesz być. Może trzpiotką, przysłowiową blondynką, która nade wszystko kocha się zryczeć przy *Tytaniku*? A może wojowniczą Walkirią, która uwielbia nurkować w morzu, naprawiać rowery i biegać po skałach? Lubisz słonie i węże afrykańskie. Potrafisz godzinami oglądać programy przyrodnicze z głosem Krystyny Czubówny w tle. Masz cellulit, znamię na lewym ramieniu. Zęby nieco krzywe, włosy popielate. Oczy w kolorze nieokreślonym, raz niebieskie, raz zielone, podkrążone od pełnego ciekawości wpatrywania się w świat.

To wszystko jest w tobie cudowne i niepowtarzalne.

To wszystko zachwyca od momentu, w którym ty się zachwycisz.

Nikt inny nie wymyślił takich słów, kiedy był dzieckiem. To właśnie ty przekręcałaś sylaby, śpiewałaś piosenki od tyłu i tworzyłaś własny świat na strychu. Tylko ty potrafisz latać we śnie stylem żaby. Tylko ty budowałaś nekropolie dla chomików. Tylko ty boisz się siedmiu miliardów par oczu.

Chcesz coś w sobie zmieniać, katować się na siłowni, by schudnąć? Niepotrzebnie. Siłownia jest dla twojej przyjemności. Ty jesteś dla twojej przyjemności. Przyjemność innych ludzi to ich sprawa. Kup sobie zatem ulubiona kremówkę i zjedz ją przed telewizorem, w porze TVN TURBO, pamiętając oczywiście, by przełączyć na TVN STYLE. No,



chyba że wolisz TVN TURBO. Pozwól się samej sobie rozpieścić.

Zacznij chodzić nago po domu. Względnie we frymuśnej bieliźnie. Koniecznie w tych zabójczych butach, które trzymałaś w szafie przez trzy lata. Przepróż czerwoną sukienkę, którą oddałaś do sklepu. W niej paraduj po sypialni. Mówisz, że jesteś sama w domu i nikt cię nie widzi? Nieprawda. Widzi cię najważniejsza osoba na świecie. Ty.

Pamiętasz tę dziewczynkę, która potrafiła odpowiedzieć własnemu ojcu: nie? Kiedy ostatnio powiedziałaś: nie? Uwolnij w sobie to dziecko. Mów to, co myślisz, co czujesz. Bez zbędnych ogródek i namysłów. Nie kombinuj. Każda przekombinowana riposta jest oddalona od ciebie o lata świetlne. Zastanawiasz się, jak komuś odpyskować? Żałujesz, że nie powiedziałaś dosadniej? Daj spokój. Szkoda energii. Po prostu mów, co czujesz.

Nie wstydź się. Nie zasłaniaj rękami ust. Nie rezygnuj z własnych potrzeb. Nie ustępuj. Nie staraj się dopasować. Nie wytrzymuj.

Nie oddawaj najlepszej porcji tiramisu żadnemu facetowi, który ma focha, w nadziei, że zobaczysz na jego twarzy uśmiech wdzięczności. Nie zobaczysz.

Jego foch jest jego sprawą. Twoją sprawą jest twoje życie.

\*\*\*

Wróć. Jeszcze raz. Za dużo zakazów. Za dużo nakazów. Kiedy Ewka mówiła mi: „Rób, co chcesz!”, natychmiast buntowałam się:

- Nie mów mi, co mam robić!

Nie mówię więc, co masz robić. Nie mówię o tobie w ogóle. O nikim nie mówię, oprócz siebie. O nikim nic nie wiem, oprócz siebie. Jestem kobietą. Jestem nic niewiedzącym narratorem wszechsobowym. Dźwigam swoje lustro i przeglądam się w nim jak Narcyz. Ale nie wszystko jest w nim jeszcze odkryte.

Nic nie jest jeszcze stracone.

\*\*\*

Kobieta podchodzi do lustra. Ludzie ją obserwują, a ona patrzy w swoje odbicie, wszyscy czekają, kiedy wreszcie wrzaśnie: „Boże, jaka jestem gruba!”. Ale ona wcale tak nie krzyczy. Nie krzyczy też: „Jaka jestem brzydka!” ani też nie krzyczy: „Jaka jestem stara!”.

Nie.

Ona patrzy w swoje odbicie, milczy, ale nie dlatego, że nie wie, co powiedzieć, nie. Ona milczy, jakby chciała gapiów w niepewności potrzymać i oni faktycznie, jak w tym teatrze, zapierają dech. Już sami nie wiedzą, co myśleć. Gruba, nie gruba? Stara, nie stara? Brzydka, nie brzydka? Jaka ona jest? Cholera wie, ona nic nie mówi. Może jednak jej nie lubią? Może czują do niej niechęć, coraz wyraźniejszą złość, czują też pogardę, niektórzy kiwają z politowaniem, ktoś puka się w czoło? Może myślą, co za wariatka, co za gruba, stara i brzydka baba? Lustro jest nieme, tafla zgaszona. Jedno tylko zakłęcie może je obudzić. Jakie to zakłęcie? Jak to leci? Szeherazado, podpowiedz. Co ma ukazać lustro, kto wie? Ludzie patrzą, trzeba im wyjaśnić. Trzeba powiedzieć, co mają myśleć. Czy świat zwariował, zupełnie się skończył? Gdzie skromność, stopy do wewnątrz, trzy włosy na krzyż w kolorze popiel? Nie ma, nie ma nic, wszystko się skończyło. Wszystko się zaczęło. Czterdzieści minut z amoniakową mazią na głowie wybiło, przebrzmiało raz na zawsze. A baśniowa kobieta patrzy w lustro i oprócz tej małej z szarymi włosami, tej śmiesznej drepczącej w miejscu pozorantki, widzi nagle kogoś jeszcze.

Tam ktoś jeszcze stoi!

Ktoś patrzy władczo, nieprzyjaźnie, okrutnie krytycznie. Stoi i chce powiedzieć coś przykrego, coś strasznego, coś, po czym znów ta mała się skuli, zmechaci, zawstydzi. Że ktoś widzi? A jak nie widzi, to na pewno zaraz zobaczy? Zaraz się przekona, ile można udawać, droga panno, ile można strugać tę doskonałość, takie rzeczy w końcu wychodzą! Takie rzeczy wypływają jak wąż z klatki, podczas gdy inni rechoczą, aż zapominasz języka w gębie. Jeszcze chwila, moment, już się odpowiednie recenzje piszą, już się komentarze wykuwają, już pół Polski grzmi, jak strasznie dałaś dupy. Osiem lat

podstawówki na piątkach o niczym nie świadczą. Elitarne liceum, nie rozśmieszaj mnie. Jedne studia, drugie, przestań. Sukcesy w pracy? Felietony? Książki? Przypadek. Każdy, kto umie palić głupa tak jak ty, tego dokona. Ale podstawy, ale baza? Gruntowna wiedza? Perfekcja w każdym calu? To ma tylko Ela Kozior. Ty się jeszcze musisz bardziej postarać. Musisz kupić siedem sukienek, przeczytać pięćdziesiąt książek i nauczyć się, kim był Grotowski. Musisz zmienić kolor włosów, w ogóle fryzurę całą, musisz się odchudzić, zlikwidować cellulit, worki pod oczami, podnieść owal twarzy. Już ci nawet tego brakuje, brakuje ci czasu, żeby naprawić samą nienaprawialną siebie. Nie, nie wystarczy ci to, co powiedziała Izka z pierwszej liceum. Nie wystarczy, że jesteś OK. Musisz być PRZEZAJEBISTA.

Może wtedy będziesz fajna.

Tak mówi. Okrutny krytyk, ciotka Jadźka, matka, ojciec i pani z przedszkola. Wszyscy się skleili w jedną postać, w jedną całość, w jednego smoka o siedmiu miliardach par oczu. Stoją przed lustrem i ryją taflę w skazy, w rysy, tysiące niedoskonałości, dokładnie po to, żeby osiągnąć doskonałość.

\*\*\*

Na pozór składasz się z prostych elementów. Masz dwie nogi, dwie ręce, dłonie, których jedyną zawilnością jest kolor lakieru na paznokciach. Mówią, że czerwony daje siłę. Nieprawda. W obliczu odrzucenia wszystkie ręce opadają tak samo.

Ramionami wzruszasz dla obrony. To wzruszenie ramion działa czasem jak tarcza: „nic mnie to nie obchodzi”. Nic cię nie obchodzi i wszystko jest ci obojętne? W gruncie rzeczy nic nie jest ci obojętne. Nie jest ci obojętne, jak ktoś na ciebie patrzy. Nie jest ci obojętne, co o tobie mówi. I nie jest ci obojętne, gdy jesteś mu obojętna.

Tylko proszę, nie mów nic o ustach! Każde ich zagłębienie, kąciaki, wypukłości, wszystko to pamiątka setek małych śmierci. Śmierci twoich nienarodzonych słów - uduszonych milczeniem próśb, zamordowanych uśmiechem protestów.

Twoje plecy też udają prostotę. Odsłonięte zdają się być

najzwyklejszą powierzchnią opalonej, rozciągniętej na łopatkach skóry. Ale nie. One są raczej skuloną konstrukcją ciężkich jak tęsknota oddechów. One są ściągnięte dreszczem oczekiwania, strachu przed oceną, nawet przed pozornie nie znaczącym komentarzem.

Żebyś chociaż miała piersi! Przecież w piersiach nic nie może być skomplikowanego. Ot, cyci, prosta rzecz. Ale nie masz. Nie masz już od dawna. Zabrali je ci wszyscy faceci, którzy nadali sobie prawo decydowania o kobiecych częściach ciała.

Owszem, na pierwszy rzut oka zdajesz się być nieskomplikowana. Banał wieńczą twoje włosy, jasne i lekkie jak dmuchawce. Gdyby tak można było tę lekkość zachować, zamienić w pustkę, w beztroskę! Gdyby ten mit o głupawej blondynce mógł się wreszcie ziścić, byłabyś taka prosta, taka bezbolesna dla siebie i dla innych. Budziłabyś się jak nakręcany blaszany ptaszek i ćwierkała od rana wesoło. Dłonie z czerwonymi paznokciami wcale by ci nie opadały. Wzruszałabyś ramionami, bo nic by cię nie obchodziło. Z pleców spadałyby tęsknota i strach. Z ust na zawsze zniknęłaby śmierć. Bo po cóż zabijać słowa, które nie istnieją?

Na pozór składasz się z prostych elementów, ale wszystkie są zbyt. Zbyt duże oczekiwania. Zbyt wybujała wyobraźnia. Zbyt szczerze uczucia, których jest zbyt dużo. Zbyt gwałtowne reakcje, które tak chętnie są postrzegane przez pryzmat twojej gospodarki hormonalnej, która jest oczywiście ZBYT.

Jesteś kłębowiskiem emocji, uczuciowym węzłem gordyjskim. Powiedz, czy czasem, żeby go bardziej nie plątać, nie masz ochoty się po prostu wyrzucić? Schować się w dłoni, zgnieść jak zabazgraną kartkę, wysłać się gdzieś daleko, mieć już tę plątaninę z głowy? Ale nie umiesz tego zrobić. Choć składasz się z prostych elementów, nie możesz ich pozbierać.

Jestem taka sama.



Sylwia Kubryńska - niepokorna felietonistka „Wysokich Obcasów”. Autorka powieści ***Last Minute*** i Najlepszego Błoga na Świecie\*. Nie dostała żadnej specjalnej nagrody, nie zajęła żadnego miejsca w żadnym prestiżowym konkursie, ale tylko dlatego, że nie wzięła w nim udziału. Nie wiadomo, ile ma lat, gdzie mieszka i jak kończy się historia, którą opowiada.

# Chcesz być doskonała?

Musisz się bardziej postarać. Zmienić kolor włosów, zlikwidować cellulit. Zrobić trzypiętrowy tort i kolorowe kanapki dla dzieci. Wyprasować stos koszul i znaleźć czas dla przyjaciółki, którą rzucił mąż, chociaż tak się starała, zrzuciła pięć kilo, prasowała koszule, robiła kolorowe kanapki, a z tortu salto mortale.

To jest dla wszystkich kobiet, które żyją ściśnięte własnym życiem. To jest szczere, złością pisane życie zwyczajnej Kasi, która bardzo chce być fajna i dosyć szybko orientuje się, że inne są prawa dla niej, a inne dla chłopców. Kubryńska niczego nie udaje, nie stara się wymyślać losów i tła, tylko daje głos setkom, tysiącom kobiet. Przygody Kasi to przygody bez przygód, to właśnie ta szara szmata, w której żyją kobiety. Nie ma tu akcji z XIX wieku, kryminału i reportażu. Jest treść, od której po prostu robi się lepiej. Że ktoś też tak ma.

**Małgorzata Halber**

Dziękuję ci za tę książkę, Sylwia. Dajesz w niej piękny, ironiczny upust naszym zbiorowym, stłumionym kobiecym frustracjom. Napisałaś dla nas katharsis. Sprawiasz, że absurd i humor sytuacji samoograniczających się kobiet stają się widoczne. A to, co widać, da się zmienić. Tym razem już po swojemu. Nareszcie!

**Zuza Ziomecka**

Często narzekamy na brak polskich odkryć. I oto jest. Największe polskie odkrycie tego roku: Sylwia Kubryńska.

**Paulina Reiter**

redaktorka naczelna „Wysokich Obcasów”

**CENA 36,90 zł**

ISBN 978-83-7976-327-6



9 788379 763276

www.czwartastrona.pl

**CZWA  
RTA  
STRO  
NA**